Rachunki od Trumpa ■ Wszyscy ludzie Trzaskowskiego ■ Polska na marszu
Po co pisarzom nagrody ■ Jagoda Szelc: moja mistyka ■ Dalej niż Patagonia

Kraków 9 – 15 kwietnia 2025 nr 15 (3953) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Nietykalny

ABP JĘDRASZEWSKI ZAMIAST ODEJŚĆ, UMACNIA WŁADZĘ I WPŁYWY

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 01ecd57ba8

REKLAMA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

19 IV 1943

POWSTANIE W GETCIE
WARSZAWSKIM

Łączy nas pamięć

polin.pl

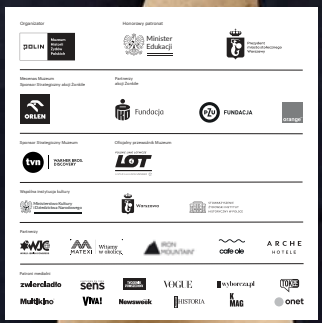

KS. ADAM

Boniecki: *Katecheza na nowo*

Doczekaliśmy się redukcji lekcji religii z dwóch godzin tygodniowo do jednej, ewentualności łączenia klas na religii itd. Prawdę mówiąc, obawa czegoś takiego towarzyszyła już przywróceniu religii do szkoły w 1990 r. Było wiadomo, że nie jesteśmy przygotowani. Opowiadali ci, co pamiętali czasy przedwojenne, o specjalnej kategorii księży – mianowicie „prefektów". Wiem, że nie wszędzie byli, wiem, że także i oni nie zawsze stawali na wysokości zadania, ale na ogół była to kadra nauczycielska, przygotowana i nadająca się do tej pracy. Jak było, tak było, w każdym razie, kiedy religia wróciła do szkół, nie mieliśmy kadry przygotowanej do uczenia w szkole.

Oby teraz nowy program okazał się lepszy niż ten, który nie zdał egzaminu. Jednak nawet doskonale przygotowany program nie wystarczy, jeśli nie będzie ludzi, którzy lekcje będą prowadzić ciekawie. Bo lekcje religii mogą być ciekawe, ale mogą też być mało interesujące. Mnie trzy lata religii (w męskiej wówczas szkole Rejtana) uczyli jezuici. Nie mieli problemów z dyscypliną, bo to, co mówili, było ciekawe. W kolejnym roku szkolnym nastał kolejny jezuita, podobno postać wybitna, jednak z pewnością nienadająca się do uczenia w gimnazjum. To było żałosne.

Pamiętam rozmowę na ten temat z jednym z biskupów, moim kolegą z lat seminaryjnych. Z całym przekonaniem bronił tezy, że każdy, kto zostaje wyświęcony na księdza, może uczyć religii. Ja byłem i jestem przekonany, że nie każdy. Istnieje na pewno wrodzony talent, albo ma się, albo się nie ma zdolności do mówienia w sposób przykuwający uwagę. Oczywiście, są ludzie merytorycznie nieprzygotowani, są też ludzie leniwi i o tych nie mówię. Ale są też ludzie, którzy nie potrafią mówić w sposób przykuwający uwagę. Myślę, że takim człowiekiem był nasz trzeci katecheta u Rejtana. Bardzo się starał, ale naprawdę nie mógł.

GRAŻYNA MAKARA

To, że lekcje religii są fakultatywne, jest dobre. Bo jak wszystko, co fakultatywne, mogą być świetne, pasjonujące, przyciągać ludzi swoją treścią – a nie przymusem chodzenia. Oczywiście zawsze znajdą się tacy, którzy nie będą chcieli chodzić na religię, jaka by ona nie była, ale to będą wyjątki, jeśli lekcje będą ciekawe. Ciekawe, nie znaczy, że opierające się na pytaniach uczniów i usiłowaniach odpowiedzi księdza. Lekcja musi zawierać dobrze przygotowany wykład.

Dobre przygotowanie krótkiego wykładu to oczywiście ciężka praca. Nie będę się rozwodził nad tym, ile wykładający musi mieć już w głowie, żeby przygotowanie samej lekcji było wartościowe. Ksiądz, który wiedzę swoją ogranicza do jednego skryptu zachowanego z seminarium, nigdy dobrze nie będzie nauczał religii (ani niczego innego).

Żywię wiele szacunku dla tych, którzy opracowują programy katechetyczne. Nie mam wątpliwości, że uczestniczą w tym ludzie znający zarówno tych, dla których te programy (skrypty, podręczniki itp.) są robione, jak i to, co chcą przekazać. Szacunek szacunkiem, ale pytanie pozostaje otwarte: dlaczego młodzi ludzie przestają chodzić na lekcje religii? Nawet jeśli odpowiedzi na to pytanie jest kilka, mnie interesuje jedna – chyba prawdziwa: lekcje religii nie dotykają rzeczywistych problemów. Nie dotyczą naszego życia – myślą uczniowie i z lekcji religii znikają. Po prostu szkoda im czasu.

Czy lekcje religii muszą być nudne? Nie, nie muszą, a nawet nie mogą. Tam, gdzie spotyka się religia i życie, jest dopiero ciekawe. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP ZA TYDZIEŃ W WIELKANOCNYM WYDANIU „TYGODNIKA"

RYSZARD KOZIOŁEK
o Chrystusie z Neapolu. Tak przerażająco piękna może być tylko śmierć.

ADAM STRUG
Śpiew mnie niesie przez wszystkie wymiary życia.

BARTEK KIEŻUN
Wszystkie chleby Jerozolimy. Pokarm powszedni.

Nie, nie będę Państwa namawiał do lektury tekstu **EDWARDA AUGUSTYNA** o tym, co dzieje się w Krakowie podczas ostatnich miesięcy rządów abp. Jędraszewskiego w miejscowej kurii – ten artykuł przeczytacie i bez moich poleceń. Podpowiem tylko, że kiedy już będziecie potrzebowali oddechu od relacji o personalnych i finansowych rozliczeniach oraz wątpliwych teoriach kaznodziejskich, znajdziecie go choćby w wywiadzie **ANNY GOC** i reportażu **MICHAŁA MILCZARKA**.

„Lubię być sama od zawsze. Dla mnie to najbardziej upragniony stan. Wyspokojenie to moja praktyka duchowa" – mówi reżyserka „Matek pingwinów" **JAGODA SZELC** w ostatniej z cyklu naszych rozmów na Wielki Post. Zaczyna mocno: od opowieści o widzianym niegdyś filmie, którego bohaterką była zakonnica decydująca się na radykalny gest kompletnego odcięcia od świata poprzez zamurowanie we własnej celi. I interpretuje jej gest w kategoriach poszerzenia tegoż świata; gest, dzięki któremu pojawiają się w nim myśli i doświadczenia z innego porządku; myśli i doświadczenia niedostępne w inny sposób.

Jagoda Szelc opowiada o podróżach do wewnątrz, odbywanych np. w trakcie samotnych wypraw do lasu – i o oczyszczeniu, jakie się wtedy osiąga; słowo „post" jest tutaj oczywistym kontekstem. Michał Milczarek z tych samych powodów podróżuje na koniec świata (przynajmniej takiego, jaki prezentuje się z naszej perspektywy i w naszej tradycji): do Patagonii i jeszcze dalej na południe, w stronę Ziemi Ognistej i Przylądka Horn.

Co, a właściwie kogo można spotkać w miejscu nazwanym Fin del mundo, na „białym dnie planety", tam, gdzie „ty i nic to jedno"? Dlaczego autor w końcu zawraca na północ? Nie odpowiem na to pytanie – po prostu zachęcam do lektury tych dwóch duchowych materiałów. Na ostatnie dni Wielkiego Postu z pewnością będzie dużo bardziej odpowiednia niż jakakolwiek homilia o szkodliwości Szkoły Frankfurckiej. Nawet, czy może zwłaszcza, jeśli ta ostatnia wyszła spod pióra obecnego metropolity krakowskiego. ©℗

MICHAŁ OKOŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor wydań specjalnych „TP", autor książek o futbolu, laureat nagrody Grand Press w kategorii publicystyka i Nagrody im. Mariusza Waltera w kategorii Sport w mediach.

28 Marsz, marsz Polonia
DARIUSZ KOSIŃSKI
W świecie rozproszonej władzy, niepewnej prawdy i zatartej różnicy maszerowanie stało się najważniejszym sposobem wytwarzania iluzji tego, co było podstawą realności dawnej polityki: wspólnoty i celu.

ROZMOWA NA WIELKI POST

44 Moja mistyka
ROZMOWA Z JAGODĄ SZELC, REŻYSERKĄ
Wyspokojenie jest moją praktyką duchową

64 W lustrzanym świecie
KAROLINA MOCHNIEJ
Naomi Klein uparcie przekonuje, że alternatywne rozwiązania polityczne istnieją. W dzisiejszym świecie to iskierka optymizmu.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // BEATA ZAWRZEL / NURPHOTO / GETTY IMAGES // JUSTYNA CIEŚLIKOWSKA / JCSTUDIOSET / DLA „TP" // DAVID LEVENSON / GETTY IMAGES

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Cła Trumpa
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Wszyscy ludzie Trzaskowskiego
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Kogo zabierze do Pałacu Prezydenckiego, jeśli wygra wybory*

21 Migracyjny poker
ŁUKASZ GRAJEWSKI, NANCY WALDMANN: *Politycy PiS jeżdżą wzdłuż granicy polsko-niemieckiej i straszą napływem migrantów. Których na razie nie widać*

24 Święta Małgonia od spraw codziennych
MAREK RABIJ: *Ona jedna, ich jedenaścioro, coraz bardziej niedołężnych i schorowanych*

■ ■ OPINIE

28 Marsz, marsz Polonia
DARIUSZ KOSIŃSKI

■ ■ ŚWIAT

34 Ameryka to ja
MARTA ZDZIEBORSKA: *Trump poszerza granice władzy wykonawczej i atakuje kwestionujących to sędziów. Czy USA czeka kryzys konstytucyjny?*

37 Ile kosztuje wsparcie Trumpa
MACIEJ ZANIEWICZ: *Surowce stały się kluczową kartą przetargową w relacji między Ukrainą a Stanami. Co to za złoża?*

40 Nowi sojusznicy Izraela
MAREK MATUSIAK: *Władze Izraela na każdą krytykę odpowiadają zarzutem antysemityzmu – i wyciągają rękę do światowej skrajnej prawicy*

42 Kwestia dostępności
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: *Loterie dla niewidomych w Hiszpanii: 90 lat nadziei*

■ ■ WIARA

44 Moja mistyka
ROZMOWA Z JAGODĄ SZELC

TEMAT TYGODNIKA

ARTUR WIDAK / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

12 Nietykalny
EDWARD AUGUSTYN
W Krakowie panowało przekonanie, że po złożeniu rezygnacji abp Jędraszewski ograniczy się do głoszenia kazań, święcenia dzwonów i urządzania rezydencji, w której osiądzie na emeryturze. Ale on zachowuje się tak, jakby wcale nie zamierzał odchodzić.

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA
32 STANISŁAW MANCEWICZ
53 ZUZANNA RADZIK
62 ELIZA KĄCKA **76** PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE:
ABP MAREK JĘDRASZEWSKI
FOT.: SYLWIA PENC / AGENCJA WYBORCZA.PL

48 Modlitwa w okopie
ANTONINA PALARCZYK: *Wychowani w postsowieckich domach, w czasie wojny doświadczają pragnienia Boga. Jak wygląda życie wiarą na wschodzie Ukrainy?*

50 Głód katechezy
MONIKA BIAŁKOWSKA: *Skoro szkołę Kościół przegrał, musi się skupić na parafii*

52 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 „Dziadek" z Drugiej Brygady
PIOTR HAPANOWICZ: *Był jednym z najlepszych dowódców Legionów Polskich podczas I wojny światowej*

■ ■ NAUKA

58 Gdzie ta rewolucja?
WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Czy komputery kwantowe zmienią świat?*

■ ■ KULTURA

64 W lustrzanym świecie
KAROLINA MOCHNIEJ

68 Szkocka szkoła gry
BARTOSZ SADULSKI: *The Beta Band: to będzie najbardziej niespodziewany powrót na scenę tego roku*

70 Wielka dewaluacja
MARCIN BEŁZA: *Społeczne oddziaływanie nagród literackich jest już bez znaczenia*

73 Polecamy
KSIĄŻKA, KOMIKS, GRA

74 Kłopoty w raju
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Skrzyżowanie" Dominiki Montean-Pańków*

75 Dlaczego mleko się nie kwasi
LEKTOR *o „Opowiadaniach zebranych" Sławomira Mrożka*

■ ■ ZMYSŁY

78 Kresy
MICHAŁ MILCZAREK: *W oddali zobaczyłem płynący cień statku. Rozpoznałem go. Było to widmo karaweli Trinidad dowodzonej przez Magellana*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
JAK TO MOŻLIWE – ZOBACZ NA STRONIE 83

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

CŁA TRUMPA

Prezydent USA twierdzi, że sto lat temu taka właśnie polityka uczyniła Stany bogatym krajem, i że on sprawi to teraz ponownie. Jednak przez tych sto lat świat trochę się zmienił.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

POWYŻEJ:
Protest pod hasłem „Hands Off!" (ręce precz) na National Mall w Waszyngtonie, 5 kwietnia 2025 r.

Donald Trump właśnie zrzucił bombę atomową na globalny system handlowy – powiedział w BBC Ken Rogoff, były główny ekonomista Międzynarodowego Funduszu Walutowego, oceniając decyzję prezydenta USA o obłożeniu cłami w zasadzie całego świata.

Zgadzają się z tym miliony Amerykanów, którzy w zeszły weekend, 5-6 kwietnia, wyszli protestować we wszystkich stanach USA. Oraz inwestorzy: zaledwie w jeden dzień od ogłoszenia planów Trumpa amerykańska giełda odnotowała największe spadki od czasu pandemii, tracąc 3,5 biliona dolarów. A to może być zaledwie początek, bo przez wszystkie przypadki odmieniane jest teraz słowo „recesja".

NOWA POLITYKA | „Przez lata ciężko pracujący obywatele Ameryki musieli biernie patrzeć, jak inne narody bogacą się i stają się potężne, często naszym kosztem" – mówił Trump, zapowiadając nową politykę celną. Minimalna stawka na towary sprowadzane z zagranicy ma wynieść 10 proc., ale – groził – „najgorsi przestępcy" zapłacą więcej.

W jednym rzędzie do płacenia wyższych stawek postawił zarówno rywali, jak i sojuszników Ameryki. I tak UE ma płacić 20-procentowe cła, Chiny 34-procentowe, a Korea Południowa 25-procentowe. „Obciążymy ich mniej więcej połową tego, czym oni nas teraz obciążają" – twierdził Trump, podkreślając, że w ten sposób USA pokazują, iż „są miłe".

Biały Dom wyjaśnia, że obliczając te stawki, wzięto pod uwagę stosunek deficytu handlowego USA z danym krajem do wartości importu i dodatkowe czynniki, takie jak manipulacje walutowe. Tyle że założenia te nie tłumaczą, dlaczego 25-procentową stawką obłożono Koreę Południową, z którą USA mają umowę o wolnym handlu. Albo dlaczego odrębne cła (29 proc.) nałożono na na-

leżącą do Australii maleńką wyspę Norfolk. Albo czemu wśród objętych 10-procentowymi taryfami są wysepki zamieszkane... tylko przez pingwiny.

LESOTHO I ROSJA | Wśród przykładów, w jak absurdalny sposób wyliczano nowe stawki celne, wymieniane jest Lesotho, o którym Trump mówił niedawno, że to „kraj, o którym nikt nie słyszał".

Maleńkie państwo na południu Afryki jest jednym z najbiedniejszych na świecie, a mimo to ma płacić 50-procentowe cła, bo ma potężny deficyt w stosunkach handlowych z USA. Rzeczywiście, w 2024 r. Amerykanie kupili tam towary (głównie tekstylia) o wartości 237 mln dolarów, a wyeksportowali produkty warte zaledwie 2,8 mln dolarów.

„Lesotho jest po prostu za biedne, by kupować cokolwiek w Ameryce" – wyjaśnia prof. Robert Reich, ekonomista i były sekretarz pracy USA, na platformie X, a od ceł nikomu tu nie przybędzie. Przeciwnie, Lesotho stanie się jeszcze biedniejsze (eksport do USA stanowił 10 proc. PKB tego państwa), za to Amerykanie za swoje dżinsy będą płacić znacznie więcej.

Co ciekawe, na liście krajów objętych nowymi cłami nie ma Rosji. Biały Dom wyjaśnia, że już jest obłożona sankcjami, które „uniemożliwiają jakikolwiek istotny handel". Jednak nie jest to prawdą: w 2024 r. Rosjanie sprzedali do USA nawozy, paliwo jądrowe i metale o wartości 3,5 mld dolarów.

AMBITNE CELE | Co Trump chce osiągnąć? Droższe towary z zagranicy mają zlikwidować deficyt handlowy USA i zachęcić amerykańskich konsumentów, by kupowali to, co wytworzono w kraju. To z kolei ma pobudzić gospodarkę i zwiększyć wpływy podatkowe, pozwalając w dalszej perspektywie odbudować przemysł i uczynić USA krajem bardziej samowystarczalnym. Według Trumpa taka polityka uczyniła Stany bogatym narodem ponad sto lat temu i teraz doprowadzi do tego ponownie.

Te zamierzenia są wyjątkowo ambitne, ale też – jak twierdzi znakomita większość ekonomistów – w dzisiejszym zglobalizowanym świecie nierealistyczne, jeśli metodą ma być wprowadzenie ceł. Przypomina to bowiem – jak mówił nam jeden z ekonomistów – strzelanie sobie w kolano z nadzieją, że dzięki temu inne części ciała staną się zdrowsze. Za przykład mogą tu służyć taryfy wprowadzone za pierwszej kadencji Trumpa na import stali (25 proc.), aluminium (10 proc.) i sprzęt pralniczy (20-50 proc.). W efekcie ceny pralek w USA wzrosły o ponad 30 proc. (spadły potem po wygaśnięciu ceł).

Teraz Stany mogą znów przerabiać ten scenariusz, tylko na nieporównywalnie większą skalę, bo wzrosną ceny wszystkich zagranicznych produktów sprzedawanych w USA. Np. cena iPhone'a, montowanego w Chinach z tajwańskich mikroczipów, może wzrosnąć o 43 proc. Podrożeje też kawa (USA importują 99 proc. kawy), oliwa, jajka, auta. Ostatecznie zdrożeć może niemal wszystko.

BĘDZIE RECESJA? | Bank J.P. Morgan szacuje, że prawdopodobieństwo recesji w tym roku w USA i na świecie wyniesie 60 proc., o 20 proc. więcej niż tydzień przed ogłoszeniem ceł Trumpa. Analitycy S&P Global szacują takie ryzyko na 30-35 proc. Przed recesją ostrzegają też HSBC, Goldman Sachs, Barclays, Deutsche Bank i UBS Global Wealth Management.

Inwestor Bill Ackman, uważany za sojusznika Trumpa na Wall Street, idzie jeszcze dalej, wieszcząc „gospodarczą apokalipsę". Aby jej uniknąć, prezydent powinien zawiesić swoje cła na 90 dni i je renegocjować. „W innym przypadku zmierzamy w stronę wywołanej przez nas samych gospodarczej zimy jądrowej" – uważa Ackman.

Obawy przed drożyzną, ale też utratą miejsc pracy oraz demontażem demokracji przez Trumpa i jego zausznika Elona Muska wyprowadziły właśnie miliony Amerykanów na ulice. Szacuje się, że protesty pod hasłem „Hands off!" (Ręce precz) były jednymi z największych w historii USA. ©

Poradzimy sobie

MAREK RABIJ

KILKA BRANŻ STRACI SPORO NA NOWYCH TARYFACH celnych, które od 5 kwietnia obowiązują przy imporcie do USA. Generalnie nasza gospodarka nie powinna jednak bardzo ucierpieć.

W 2023 r. popyt amerykańskich konsumentów i firm odpowiadał za 2,6 proc. polskiego PKB i ok. 3 proc. zatrudnienia. Aż 57 proc. wartości naszych powiązań gospodarczych z Ameryką stanowił jednak nie bezpośredni eksport, lecz produkcja na potrzeby kontrahentów zaopatrujących USA w swoje towary i usługi – głównie z Niemiec, Meksyku i Kanady. Konsekwencje wojny celnej, którą w ubiegłym tygodniu wypowiedział światu Donald Trump, powinny więc być dla naszego państwa relatywnie niewielkie.

Najbardziej ucierpi krajowy przemysł produkujący na potrzeby niemieckich firm motoryzacyjnych. Rykoszetem oberwą też firmy transportowe.

Zaboli również kilka branż bezpośrednio zaangażowanych w amerykański rynek, np. meblarska i spożywcza – choć one na szczęście nie żyją wyłącznie ze sprzedaży do USA. W eksporcie bezpośrednim Stany to nasz ósmy partner, mniej ważny niż np. Czechy.

W raporcie opublikowanym jeszcze przed ogłoszeniem decyzji o nowych taryfach Polski Instytut Ekonomiczny próbował oszacować ich wpływ na sytuację krajowej gospodarki. W zależności od wybranego scenariusza, decyzja Białego Domu miała kosztować Polskę od 0,11 do 0,43 proc. PKB. Warto przy tym podkreślić, że w najgorszym ze scenariuszy autorzy analizy zakładali nałożenie na UE ceł w wysokości 25 proc. Na razie USA zatrzymały się na 20 proc.

Stawiając coraz wyższy mur pomiędzy amerykańską a globalną gospodarką, Trump powinien liczyć się nie tylko z cłami odwetowymi, ale także z tym, że pozostałe kraje nie zdecydują się w ten sposób dociążać wzajemnej wymiany handlowej. Niemieckim producentom aut mniej opłaca się teraz eksport do USA, ale wciąż nie muszą się martwić z tego powodu o sprzedaż np. do Azji. Konsekwencje wojny celnej dla reszty świata będą więc w dużym stopniu zależeć od tego, w jakim stopniu poszczególne kraje zdołają wchłonąć nadwyżkę towarów, których ich firmom nie będzie się opłacało eksportować do Stanów.

Europie, a więc i Polsce, na zdrowie najbardziej wyszedłby brak adekwatnej reakcji odwetowej za amerykańskie cła. Po to, żeby towary *made in USA* nie kosztowały europejskich konsumentów więcej niż teraz i więcej pieniędzy mieli na wyroby krajowe. ©℗

THE WASHINGTON POST / GETTY IMAGES

Sądy są niezawisłe

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Jarosław Kaczyński po pamiętnym ubiegłotygodniowym zajściu z Romanem Giertychem na mównicy sejmowej oświadczył, że jego antagonista resztę życia powinien spędzić w więzieniu, zasługuje bowiem na dożywocie. Nie można wykluczyć, że w razie powrotu PiS do władzy lider tej partii będzie chciał wcielić w życie swoją zapowiedź. Uważa bowiem, że niezawisłość sądów jest tylko wtedy wartością, kiedy służy jego ugrupowaniu, więc zechce pewnie ją złamać.

Dziś na szczęście, mimo 8-letnich starań PiS, z tą niezawisłością wciąż nie jest źle. Dowodzą tego trzy sprawy z ubiegłego tygodnia. Po pierwsze, brak zgody sądu na to, by na wniosek komisji śledczej ds. Pegasusa wsadzić Zbigniewa Ziobrę do aresztu – za to, że nie stawił się na czas na posiedzeniu komisji 31 stycznia. To racjonalna decyzja.

Sąd napiętnował Ziobrę za ignorowanie wezwań komisji, ale też trafnie uznał, że 31 stycznia komisja mogła go przesłuchać, gdyby poczekała jeszcze 10 minut.

Nieco inny charakter ma kwestia wypuszczenia z więzienia i przekazania do domu pomocy społecznej Ryszarda Cyby, zabójcy działacza PiS z 2010 r. W tej sprawie organy wymiaru sprawiedliwości – sąd penitencjarny, dyrekcja więzienia, prokuratura – popełniły wiele błędów, a w efekcie zgodziły się na to, by Cyba, człowiek wciąż niebezpieczny, został pozostawiony bez realnego nadzoru w DPS. Nie przewidziały przy tym politycznych skutków swoich decyzji. O których powinni być co najmniej poinformowani zwierzchnicy więziennictwa i prokuratury w resorcie sprawiedliwości.

Tym niemniej w całej sytuacji jest jeden plus – sprawa Cyby to kolejny dowód na to, że w przeciwieństwie do czasów Ziobry, wymiar sprawiedliwości nie jest ręcznie sterowany przez rządzących. I dowodzi tego nawet ten brak odruchu zawiadamiania przełożonych.

Trzecią pozytywną decyzją było wypuszczenie z aresztu ze względu na sytuację rodzinną współpracowniczki Mateusza Morawieckiego Anny W., choć tu w grę wchodziła przede wszystkim kwestia kaucji. Jednak wnioski z wydarzeń ubiegłego tygodnia pozwalają skonstatować, że wciąż mamy niezawisłe sądy i niezależnych prokuratorów. ©℗

Politycy o zdrowiu

MAŁGORZATA SOLECKA

Przedsiębiorcy od 1 stycznia zapłacą niższą składkę zdrowotną – zdecydował Sejm. Niewystarczająca mobilizacja PiS (lwia część klubu zagłosowała przeciw) i wstrzymanie się od głosu przez Konfederację pomogły większości koalicji rządowej (Koalicja Obywatelska i kluby Trzeciej Drogi; Lewica głosowała przeciw) przeforsować rozwiązanie, które duża część ekspertów uważa za skrajnie szkodliwe.

Po pierwsze dlatego, że obniżenie składki zdrowotnej zmniejszy naturalny, niezależny od bieżących politycznych decyzji, przychód NFZ. W im większym stopniu Fundusz jest samowystarczalny finansowo, tym system ochrony zdrowia pozostaje mniej podatny na perturbacje. Gdy zależność od budżetu państwa, a więc decyzji ministra finansów i rządu, rośnie – tym większe prawdopodobieństwo kłopotów. Kłopotów szpitali, poradni, a przede wszystkim – pacjentów. Jeśli NFZ traci płynność finansową, tracą ją też podmioty lecznicze, które oszczędności zaczynają szukać w przekładaniu badań, zabiegów czy rozpoczynaniu drogich terapii.

Rząd zapewnia, że NFZ nie straci ani złotówki, bo ubytek oszacowany na ok. 5 mld zł w skali przyszłego roku zostanie zrekompensowany z budżetu państwa. Pod tą argumentacją podpisała się też ministra zdrowia. Choć Izabela Leszczyna jeszcze dwa tygodnie wcześniej twierdziła publicznie, że „NFZ nie udźwignie" obniżenia składki i ona za tym rozwiązaniem nie zagłosuje, ostatecznie podniosła rękę, by wykazać się lojalnością wobec premiera. Problem w tym, że ustawa nie zawiera opisu mechanizmu wyliczania ubytku i jego kompensaty, a poza tym – patrz wyżej. Pogłębia uzależnienie NFZ od decyzji ministra finansów.

To jednak tylko część problemu. Zmniejszenie składki zdrowotnej dla przedsiębiorców dotyczy, jak wskazują eksperci, w ogromnej części osób samozatrudnionych, które nie są przedsiębiorcami, a korzystają (nie zawsze dobrowolnie) z optymalizacji podatkowej. Patologia, jaką jest wypychanie pracowników z etatów na B2B, nabierze – trzeba to zakładać – wiatru w żagle. Może się okazać, że z dnia na dzień będziemy mieć nie 2,5 mln, a 4 mln „przedsiębiorców", koszty obniżenia składki zdrowotnej znacząco się podwyższą, spadną też wpływy z PIT i składki na ZUS. I nagle (choć nie do końca nieoczekiwanie) okaże się, że to, co miało napędzać polską przedsiębiorczość i gospodarkę, zacznie je dusić. ©

Poradnia specjalistyczna w Dolnośląskim Szpitalu Specjalistycznym im. T. Marciniaka we Wrocławiu, 9 maja 2024 r.

NA PUNKTY

POSŁOWIE
Jarosław Kaczyński nazywający Romana Giertycha „sadystą", „Jarku, siadaj spokojnie" – replikujący Giertych, tłumaczący później – w odpowiedzi na „nie jestem z tobą na ty, łobuzie!" – że jest wujem Kaczyńskiego, a na końcu Iwona Arent wykrzykująca do Giertycha „Złaź, morderco!" – tak wyglądała zwyczajna sejmowa środa.

PRETENDENCI
Oblicze polskiej polityki nie zniechęca, przeciwnie: przyciąga kolejnych chętnych. Państwowa Komisja Wyborcza zatwierdziła już jedenastu kandydatów na prezydenta i weryfikuje zgłoszenia sześciu kolejnych, wśród których jest m.in. dostarczający w ostatniej chwili wymagane podpisy z poparciem youtuber i przedsiębiorca Krzysztof Stanowski.

PROPAGANDA
Tymczasem rząd usiłuje zniechęcić nielegalnych imigrantów. Donald Tusk opublikował w mediach społecznościowych nagranie, na którym ogląda udaremnioną przez wojsko próbę sforsowania polsko-białoruskiej granicy, i zapowiedział kampanię w krajach, skąd pochodzi największa liczba chętnych, informującą, że szlak jest zamknięty. ©℗

Le Pen walczy o przetrwanie

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

To polowanie na czarownice – tak Marine Le Pen (na zdjęciu) określiła w ubiegłą niedzielę, podczas manifestacji jej zwolenników, werdykt sądu, który 31 marca uznał ją winną zarzutu defraudacji środków publicznych. Liderkę francuskiej skrajnej prawicy ukarano zakazem ubiegania się o stanowiska publiczne przez 5 lat; sąd orzekł też karę 4 lat pozbawienia wolności, w tym dwóch w zawieszeniu i grzywnę (100 tys. euro). Wyrok jest nieprawomocny.

BLONDET ELIOT / ABACA / EAST NEWS

Le Pen, wedle sondaży faworytka w walce o prezydenturę w 2027 r., przedstawia się jako ofiara „systemu", który chce za wszelką cenę wykluczyć ją z wyborów. Porównuje swój los do losu rosyjskiego opozycjonisty Aleksieja Nawalnego, zamęczonego przez Kreml. Po wyroku z poparciem dla niej pospieszyli jej sojusznicy w Europie (m.in. Viktor Orbán i Mateusz Morawiecki), a także Donald Trump i Rosja.

Jednak, wbrew retoryce Le Pen i jej sojuszników, zarzuty wobec liderki Zjednoczenia Narodowego (RN) mają mocne podstawy. Śledztwo wykazało, że w latach 2004-16 Front Narodowy (poprzednik RN) fikcyjnie zatrudniał asystentów eurodeputowanych, którzy pracowali tylko na rzecz krajowych struktur partii. W sumie partia miała wyłudzić tak od Parlamentu Europejskiego 4,5 mln euro.

Wątpliwości prawne dotyczą głównie jednej kwestii: czy sąd pierwszej instancji słusznie orzekł „natychmiastową egzekucję" zakazu ubiegania się o funkcje publiczne. Mógł odłożyć wykonanie tej kary do czasu wyroku sądu apelacyjnego.

Mimo wszystko Le Pen ma wciąż cień szansy na start w wyborach za dwa lata: jeśli sąd drugiej instancji złagodzi orzeczenie pierwszej instancji. Sąd apelacyjny obiecał bowiem, że rozpatrzy tę sprawę szybko, przed latem 2026 r.

A jeśli Le Pen zostanie definitywnie skazana? Wtedy zostaje „plan B", czyli kandydatura innego lidera RN: 29-letniego Jordana Bardelli. Le Pen już wcześniej namaściła go na swego zastępcę. Nie jest jednak wcale pewne, czy mimo dużej popularności na TikToku Bardella może liczyć na równie duże poparcie Francuzów jak Marine Le Pen. ©

Wzrasta agresja wobec księży

ARTUR SPORNIAK

Księża w Polsce czują się coraz bardziej zagrożeni – wynika z badania przeprowadzonego przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego. Połowa ankietowanych duchownych doświadczyła jakiejś formy agresji w ciągu ostatnich 12 miesięcy. 42 proc. księży mówi o szyderstwach, groźbach i wyzwiskach, 34 proc. doświadczyło hejtu w internecie, a 4 proc. fizycznej napaści. Z kolei 19 proc. księży zetknęło się z atakiem na kościół lub inne miejsce kultu. Powoduje to, że aż 90 proc. księży traci poczucie bezpieczeństwa, wychodząc poza parafię w sutannie czy koloratce, a 27 proc. unika chodzenia w stroju duchownym. Księża mają poczucie, że poziom agresji wobec nich wzrósł w ostatnich 10 latach – przyznaje to 86 proc. ankietowanych.

Agresja jest zjawiskiem społecznie niebezpiecznym. Nie tylko domaga się potępienia, ale też przeciwdziałania. By móc to skutecznie robić, trzeba przede wszystkim poznać, czym się karmi. Sami księża wskazują na dwa źródła: negatywny wizerunek księdza w mediach i polityczną polaryzację społeczeństwa. W pierwszym przypadku chodzi przede wszystkim o skandale pedofilskie, a w drugim – o polityczne zaangażowanie Kościoła. Jeśli zatem instytucja Kościoła chce w perspektywie długoterminowej zmniejszyć społeczną agresję wobec siebie, powinna powściągnąć polityczne zaangażowanie oraz czym prędzej powołać niezależną komisję do badania wykorzystania seksualnego małoletnich w Kościele, która dokonałaby transparentnego rozliczenia.

Najpierw jednak sami biskupi powinni przestać bagatelizować problem agresji. Bo to jeden z najważniejszych powodów, którymi ISKK próbuje tłumaczyć absencję w badaniu aż 18 diecezji z 45 wszystkich (m.in. krakowskiej, przemyskiej, gdańskiej czy łódzkiej) – w związku z nią w sondażu wzięło udział zaledwie 996 spośród ponad 23 tys. wszystkich księży. ©℗

MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

Niedźwiedź włamujący się do śmietnika w Tatrzańskiej Łomnicy, 30 września 2018 r.

Słowacja planuje rzeź niedźwiedzi

EKOLOGIA ▪ Trzysta pięćdziesiąt: aż tyle niedźwiedzi ma zostać zastrzelonych w majestacie prawa na Słowacji. Skala odstrzału, w sprawie którego decyzję podjął rząd premiera Roberta Ficy, jest bezprecedensowa. Ekolodzy protestują.

Decyzja zapadła po tym, jak w lesie koło miasteczka Detva (środkowa Słowacja) znaleziono ciało 59-letniego mężczyzny, który został zabity przez niedźwiedzia. Do tragedii doszło niedaleko zabudowań. Aktywiści ze stowarzyszenia na rzecz ochrony przyrody Ursia, którzy oglądali to miejsce, znaleźli rozrzucone ziarna kukurydzy (prawdopodobnie wystawione przez myśliwych jako przynęta), można więc sądzić, iż zaatakowany natknął się na żerującego niedźwiedzia, którego przywabił wyłożony pokarm.

To pierwszy taki przypadek w tym roku. Ale do gwałtownych spotkań ludzi i niedźwiedzi dochodziło tu już wcześniej. W marcu 2024 r. zginęła kobieta uciekająca przed niedźwiedziem (spadła w przepaść), a jesienią zginął grzybiarz. W rezultacie zwierzęta były już odstrzeliwane – w 2024 r. zginęło ich ok. 150 (w tym 93 zabito za zgodą władz).

„Nie możemy żyć w kraju, w którym ludzie boją się chodzić do lasu" – argumentuje teraz premier. Jednak skala obecnego odstrzału jest bezprecedensowa. Według naukowców z czeskiego Uniwersytetu Karola populacja niedźwiedzia brunatnego na Słowacji liczy trochę ponad tysiąc osobników, zginie więc ich jedna trzecia. Dlaczego akurat tyle? Rząd nie przedstawił dotąd uzasadnienia. „To logiczne, że im więcej niedźwiedzi, tym więcej spotkań z ludźmi i tym większe szkody" – stwierdził jedynie minister środowiska Tomáš Taraba.

Ekolodzy zwracają jednak uwagę, że choć w 2024 r. zabito rekordową liczbę niedźwiedzi, problemu ryzykownych spotkań tym nie rozwiązano. Co więcej, podobnie jak rok temu ma być to odstrzał prewencyjny, zamiast odstrzału skierowanego przeciw konkretnym agresywnym osobnikom. Zginąć mogą więc zwierzęta niesprawiające kłopotów oraz słabe i niedołężne, które najłatwiej będzie wytropić.

W niełatwej dyskusji między ekologami a zwolennikami odstrzału pojawia się wątek wzajemnego naruszania terytoriów: czasem ludzie wchodzą w lasach w strefy ochronne, gdzie nie powinno ich być, a czasem to niedźwiedzie zbliżają się do ludzkich siedlisk, zwabione łatwym dostępem do jedzenia.

Tymczasem choć 63 proc. Słowaków uważa, że zwierząt tych jest za dużo, to jedynie 34 proc. deklaruje się jako zwolennicy regulacji ich populacji np. przez odstrzał. Natomiast 47,5 proc. chciałoby znaleźć równowagę między ochroną niedźwiedzi a swoim bezpieczeństwem.

© PATRYCJA BUKALSKA

Puszka, ubrania, odpis podatkowy. Polak pomaga, ale raczej biernie

DOBROCZYNNOŚĆ ▪ Barometr Humanitarny to coroczne badanie naszych postaw, zlecane przez organizację Lekarze bez Granic. Jego tegoroczna edycja, zrealizowana przez agencję Opinia24 między 7 a 19 lutego, przynosi niepokojący wniosek – spada aktywność dobroczynna Polaków.

Według raportu aż 83 proc. ankietowanych deklaruje, że w ciągu ostatniego roku choć raz zaangażowało się w aktywność dobroczynną. Wynik ten, choć wysoki, jest nieco niższy niż w roku 2023 (88 proc.).

Najchętniej wrzucamy pieniądze do puszki (43 proc.), przekazujemy 1,5 procent podatku (39 proc.) lub oddajemy potrzebującym ubrania czy żywność (36 proc.). Najsłabiej wypadają te formy pomocy, które wymagają aktywności. Udział w wydarzeniu charytatywnym, oddanie krwi lub wolontariat deklaruje odpowiednio 14, 11 i 9 proc.

Draginja Nadaždin, dyrektorka polskiego oddziału Lekarzy bez Granic, mówi: – Po eskalacji wojny w Ukrainie obserwowaliśmy wzrost zaangażowania w pomaganie. Dziś wraca ono do poziomu sprzed pełnoskalowej wojny. Zmniejszyła się też różnorodność podejmowanych działań.

Najwięcej osób angażuje się w inicjatywy związane ze zdrowiem i leczeniem (78 proc.) oraz opieką nad zwierzętami (74 proc.). Mniej entuzjazmu niż dwa lata temu budzi pomoc w walce z niedożywieniem (spadek z 81 do 72 proc.) oraz działania na rzecz praw człowieka (z 67 do 61 proc.). Najwyraźniejsze spadki dotyczą jednak wsparcia dla uchodźców i migrantów – podczas gdy na początku 2023 roku gotowość pomocy uchodźcom deklarowało 62 proc. badanych, a migrantom 52 proc., w 2025 roku odsetki te spadły do 43 i 34 proc.

Te zmiany znajdują odzwierciedlenie w odpowiedziach na pytanie o konkretne grupy społeczne, które Polacy chcą wspierać. W ciągu ostatnich dwóch lat zmniejszyła się liczba osób deklarujących chęć pomocy ofiarom konfliktów zbrojnych – z 35 do 25 proc. Jeszcze większy spadek dotyczy uchodźców (z 15 do 4 proc.) oraz migrantów (z 6 do 4 proc.). – Zmiana postaw może być efektem zmęczenia kryzysami migracyjnymi i konfliktami zbrojnymi, zwłaszcza w kontekście wojny w Ukrainie oraz napięć na granicy z Białorusią. Wpływ mają również przekazy polityczne, w których podkreśla się konieczność ochrony interesów narodowych oraz ograniczania pomocy humanitarnej – mówi Urszula Krassowska, dyrektor badań społecznych w agencji badawczej Opinia24. – Dodatkowo narracje polityczne często łączą temat migracji z zagrożeniami ekonomicznymi i społecznymi, co może zniechęcać społeczeństwo do angażowania się w pomoc.

©℗ JACEK TARAN

Ostatni posiłek komara

MEDYCYNA ▪ Od początku wieku utrzymuje się powolny trend spadkowy w liczbie zgonów na malarię, ale ogólna liczba zachorowań w tym okresie ani raz nie spadła poniżej 220 milionów. Medycyna gorzej radzi sobie z prewencją niż leczeniem, a przenoszące m.in. tę chorobę komary wciąż pozostają najbardziej zabójczymi zwierzętami na planecie.

Stąd też jednym z zainteresowań medycyny jest ograniczenie zachorowań – trwają prace nad szczepionkami przeciwko zarodźcowi malarii, a zmodyfikowane genetycznie komary wypuszczone do środowiska mają utrudnić im rozmnażanie. Ciekawym pomysłem wydaje się również zatrucie komarzego pokarmu – ludzkiej krwi.

Kilka lat temu pojawiły się badania na temat iwermektyny, która spożyta przez komara wraz z krwią w ciągu kilku dni jest w stanie doprowadzić do jego śmierci. Takie właściwości odkryto właśnie dla nityzynonu, leku stosowanego w rzadkiej chorobie genetycznej – tyrozynemii. Związek ten wpływa na metabolizm aminokwasu tyrozyny. Zablokowanie tego szlaku u pacjentów z tyrozynemią jest zbawienne, ale u komarów staje się śmiertelnym zagrożeniem.

Toksyczna krew z nityzynonem okazuje się skuteczniejsza niż ta z iwermektyną – zabija komary oporne na insektycydy i działa szybciej. Niestety, lek nie będzie chronił przed zarażeniem ani leczył malarii. Jeśli jednak okaże się bezpieczny dla osób bez genetycznej mutacji, może stanowić dodatek do innych metod kontroli malarii.

© BARTOSZ KABAŁA

Nowa AI gra w grę, używając wyobraźni

SZTUCZNA INTELIGENCJA ▪ Zdobycie diamentów to jeden z kamieni milowych rozgrywki w Minecrafcie. Są one niezbędne do wykonania zaawansowanych narzędzi i pancerzy. Aby je wydobywać, gracze muszą przygotować żelazne narzędzie i wykopać tunel, co jest ryzykowne – można w nim natrafić na strumień lawy. Fora internetowe roją się od poradników dla nowych graczy, pomagających poradzić sobie z tym wyzwaniem. Ci bardziej zaawansowani potrzebują ok. 20-30 minut, by uzyskać pierwszy diament w grze.

MATERIAŁY PRASOWE

Ten temat zainteresował redakcję „Nature" nie tylko dlatego, że Minecraft to jedna najpopularniejszych gier komputerowych na świecie – 200 mln osób uruchamia ją przynajmniej raz w miesiącu. Inżynierowie z DeepMind należącego do Google'a pochwalili się właśnie na łamach tego pisma stworzeniem Dreamera (Marzyciela) – systemu AI, który samodzielnie nauczył się wydobywać diamenty w Minecrafcie.

Dreamer nie otrzymał żadnych instrukcji – mógł w otwartym świecie gry robić, co chciał, wykonując także bezsensowne ruchy, jednak był „nagradzany" za każdym razem, gdy przypadkiem zrealizował jedno z 12 działań, które przybliżały go do zdobycia diamentów. W informatyce metodę tę określa się jako uczenie przez wzmacnianie. Co 30 minut badacze resetowali grę, dzięki czemu zmieniał się cały stworzony w niej, bogaty świat – pełen różnych obiektów, wyzwań i przeszkód. Dreamer musiał więc za każdym razem odnajdywać się w nowym środowisku. Po 9 dniach szkolenia osiągnął poziom zaawansowanych graczy.

Już wcześniej inny zespół z Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej w Vancouverze wyszkolił w tym samym zadaniu sztuczną inteligencję, ale ich system play2 uczył się inną metodą – analizując zachowania ludzkich graczy. Powstanie Dreamera jest dużym osiągnięciem, ponieważ przetestowany w bezpiecznym środowisku gry komputerowej algorytm można będzie wykorzystywać także w innych warunkach – np. implementując go w robotach, które poruszać się będą w prawdziwym świecie.

W publikacji podsumowującej dokonania Dreamera badacze z DeepMind przekonują, że ich system zasługuje na swoją nazwę, ponieważ dzięki treningowi wykształcił bogaty, wewnętrzny model świata gry i potrafi wyobrażać sobie konsekwencje swoich działań. Jego umiejętności uczenia się przetestowano już na 150 innych zadaniach.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

A Ω

TEMAT TYGODNIKA

NIETYKALNY

W Krakowie panowało przekonanie, że po złożeniu rezygnacji abp Jędraszewski ograniczy się do głoszenia kazań, święcenia dzwonów i urządzania rezydencji, w której osiądzie na emeryturze. Ale on zachowuje się tak, jakby wcale nie zamierzał odchodzić.

EDWARD AUGUSTYN

Cieszyłem się, gdy został metropolitą. Myślałem: przynajmniej nie trzeba będzie kazań za niego pisać".

„Wszystkim się wydawało, że skoro idzie na emeryturę, to da sobie spokój. Tymczasem on nie odpuszcza. I wygrywa sprawa za sprawą".

„Mówiono, że traci wpływy. A on owinął sobie nuncjusza wokół palca".

Trzech księży, trzy opowieści o tym, co mówi, robi i planuje abp Marek Jędraszewski. Mieszkają w różnych miejscach diecezji, nie znają się osobiście. Porozmawiają chętnie, ale anonimowo, różnie to tłumacząc: urzędem, jaki wciąż pełnią (proboszcza, pracownika uniwersytetu), albo świętym spokojem na emeryturze, którego nie warto tracić.

Nie byli w gronie tych, którzy uruchomili internetowy zegar, odliczający dni do przejścia metropolity na emeryturę. Ani wśród tych, którzy układali prześmiewczy psalm pożegnalny „Marcus emeritus". Ale nie ukrywają, że czekali z niecierpliwością na 24 lipca 2024 r., dzień 75. urodzin arcybiskupa i złożenia przez niego – zgodnie z prawem kanonicznym – rezygnacji z urzędu.

Trzy dni wcześniej hierarcha poinformował jednak, że papież poprosił go o pozostanie na urzędzie do czasu znalezienia następcy. Nie była to wyjątkowa sytuacja. Zdarza się, że ustępujący biskupi pełnią urząd przez dwa-trzy (przypadek kard. Franciszka Macharskiego), a nawet pięć lat (jak kard. Seán O'Malley z Chicago) po osiągnięciu wieku emerytalnego. Są w tym czasie pełnoprawnymi ordynariuszami diecezji – nie „przejściowymi" czy „zastępczymi" administratorami.

Abp Jędraszewski z przysługujących mu praw korzysta codziennie. Podejmuje kontrowersyjne decyzje personalne i finansowe. Chciałby także sprawować rząd nad duszami i umysłami, nawet jeśli jest to dużo trudniejsze niż odwoływanie proboszczów.

Gdzie błądzi myśl arcybiskupa

Gdy przeprowadzał się do Krakowa w 2017 r., wiele osób uważało go za intelektualistę. Wprawdzie przez pięć lat w Łodzi zdążył już wygłosić kilka kazań i przemówień, które przeczyły tej opinii, ale jednak sława specjalisty od Lévinasa, którego chwalił „sam Tischner", zrobiła swoje. Spodziewano się mądrych homilii i pogłębionych refleksji.

Nie jest tajemnicą, że jego poprzednik, kard. Stanisław Dziwisz, nie miał głowy do teologicznych rozważań. I że korzystał z pomocy ghostwriterów – grupy księży, często z tytułami naukowymi, którzy pisali za niego teksty publicznych wystąpień.

– Czasem brał gotowca, a czasem łączył fragmenty z kilku wersji – opowiada pierwszy z moich rozmówców. – Różnie wychodziło. Ale przynajmniej nie było błędów ani głupot. I nie chodzi wcale o „tęczową zarazę" czy „kłamstwo smoleńskie". Proszę posłuchać kazania, jakie wygłosił miesiąc temu w Kalwarii Zebrzydowskiej. Ono najlepiej pokazuje, jakimi drogami błądzi myśl krakowskiego metropolity.

Protokoły Mędrców z Frankfurtu

Charakterystyczną, choć nie oryginalną cechą kaznodziejstwa abp. Jędraszewskiego jest umiejętność łączenia ewangelii z bieżącą polityką. Nie inaczej było w kalwaryjskiej homilii do księży, zebranych na pokutnej pielgrzymce w pierwszą sobotę Wielkiego Postu.

Arcybiskup szybko przeszedł od proroka Izajasza i ewangelisty Łukasza do premiera Tuska i ministry Nowackiej, którym wytknął walkę z Bogiem (zmniejszenie liczby godzin religii) oraz „planową deprawację dzieci i młodzieży w duchu, przepraszam, że tak powiem wprost, masturbacji i ideologii gender" (edukację zdrowotną w szkołach).

Po czym wyjawił zgromadzonym źródło wszelkiego zła, jakim jest „Dwanaście zasad Szkoły Frankfurckiej" (patrz: ramka), wprowadzanych dziś w życie – jego zdaniem – przez Unię Europejską i polski rząd. O demonicznym wpływie tej grupy metropolita pisał także w tegorocznym Liście na Wielki Post, co może oznaczać, że o rzekomym spisku Horkheimera, Adorna, Marcuse'a i innych dowiedział się niedawno i uznał za swój obowiązek publicznie go zdemaskować. Kreśląc historię Szkoły Frankfurckiej posunął się nawet do pochwały totalitarnych systemów – stalinizmu i nazizmu – które skazały deprawatorów na banicję. ↦

Abp Marek Jędraszewski podczas procesji z palmami przed katedrą na Wawelu. Kraków, 2 kwietnia 2023 r.

ARTUR WIDAK / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Niestety, przybywszy do Ameryki, opanowali oni tamtejsze uniwersytety, wywołali rewoltę ’68 roku, a następnie przejęli instytucje państwowe – w USA i Europie – z pomocą których nadal realizują swe niecne cele. Na szczęście – zauważył abp Jędraszewski – „od kilku miesięcy Stany Zjednoczone budzą się z tego przerażającego bolszewickiego snu”.

– Słuchało się tego z zażenowaniem – komentuje jeden z krakowskich księży. – Zamiast teologicznej głębi, jakieś gazetowe wymysły.

Seksualizujący marksizm

Krytyka Szkoły Frankfurckiej z pozycji konserwatywnych nie jest niczym nowym. Jej uproszczoną formę, choć i tak o niebo bardziej merytoryczną niż kalwaryjskie kazanie abp. Jędraszewskiego, spopularyzował w 1992 r. amerykański kwartalnik „Fidelio”, wydawany przez Instytut Schillera (oskarżany o antysemityzm i sekciarstwo, a w ostatnich latach – usprawiedliwianie rosyjskiej agresji na Ukrainę). W Polsce o demoralizującym wpływie Szkoły prawicowe media piszą od ponad dekady. Przekonanie o spisku „marksizmu kulturowego”, którego spadkobiercy seksualizują dzieci, rozbijają rodziny i niszczą naród, jest też popularne wśród zwolenników Donalda Trumpa oraz na konspiracjonistycznych portalach w Indiach i Tajlandii.

Z dorobkiem Szkoły Frankfurckiej, która zasłynęła interdyscyplinarną teorią krytyki, ale też diagnozowaniem i prognozowaniem procesów społecznych (co jednak nie oznacza planowania czy inicjowania), można oczywiście polemizować. Choć trudno pojąć, że człowiek chlubiący się tytułami naukowymi i medalami, jakie na rzymskim uniwersytecie Gregorianum zdobywały jego prace o Ricoeurze i Lévinasie, odwołuje się do teorii spiskowych.

A może nie powinno to dziwić? Tuż przed przyjściem do Krakowa abp Jędraszewski opublikował przecież pamiętny artykuł „Chrzest Polski” („Łódzkie Studia Teologiczne” 26/2/2017), w którym przywoływał jako historyczne źródło nieistniejący „Żywot Mieszka” niejakiego Kpinomira (wymyślony dla primaaprilisowego żartu przez jednego z historyków). Odwołanie się w bądź co bądź naukowym czasopiśmie do fejkowego źródła pokazuje, że arcybiskup już od dawna ma problemy z krytyczną oceną źródeł.

Siła dekretu

Dużo większe emocje, niż poglądy abp. Jędraszewskiego, budzą jednak w krakowskich księżach jego ostatnie działania. Bo gdy wszyscy myśleli, że po złożeniu rezygnacji ograniczy się do święcenia dzwonów czy urządzania rezydencji przy kolegiacie św. Floriana, gdzie ma zamiar osiąść na emeryturze, on przystąpił do ofensywy. Ostatnie dziewięć miesięcy to walka z osobami i instytucjami, które zachowały finansową niezależność od kurii biskupiej, a także zabiegi o pomyślny dla siebie wybór następcy.

Trzy głośne konflikty pomiędzy metropolitą a podwładnymi, pokazujące, w jaki sposób działa arcybiskup i dowodzące jego niesłabnącej siły, opisywały już media. W czerwcu 2024 r. znani krakowscy proboszczowie – ks. Dariusz Raś z bazyliki Mariackiej i ks. Krzysztof Wilk z parafii w Nowym Prokocimiu – otrzymali decyzje o usunięciu ich z urzędów. W tym samym czasie arcybiskup wszedł również w spór z kapitułą katedralną, instytucją o ponad tysiącletniej tradycji, której członkowie mają służyć metropolicie radą i pomocą w zarządzaniu archidiecezją. Tak przynajmniej mówi prawo i tak było za czasów poprzednich krakowskich biskupów. Bo abp Jędraszewski żadnych rad nie potrzebował.

Wszystkie trzy dekrety arcybiskupa – dwa odwołujące proboszczów i jeden

„Dwanaście zasad Szkoły Frankfurckiej” – fragment homilii abp. Marka Jędraszewskiego z 8 marca 2025 r.

„Proszę pozwolić, że zacytuję dwanaście punktów pewnego programu:

- Uchwalić prawa, które ścigają rasizm i przestępstwa nienawiści;
- Wprowadzać ciągłe zmiany, aby wywołać zamieszanie;
- Propagować masturbację w szkołach, poddając dzieci jednoczesnej homoseksualizacji, pozyskiwać je poprzez prezentowanie pornografii w klasach;
- Systematycznie podważać autorytet rodziców i nauczycieli;
- Popierać imigrację, by zniszczyć tożsamość narodową i w ten sposób wznieść nowe wojny w przyszłości;
- Systematycznie promować alkohol i narkotyki;
- Popierać w sposób systematyczny dewiacje seksualne w społeczeństwie;
- Tworzyć nierzetelny wymiar sprawiedliwości, działający na szkodę ofiar przestępstw;
- Uzależniać od pomocy społecznej;
- Kontrolować media, sprzyjając im w misji ogłupiania społeczeństwa;
- Zachęcać do niszczenia rodziny;
- Atakować chrześcijaństwo na każdym odcinku, doprowadzając do wyludnienia się kościołów.

Brzmi swojsko? Ten program powstał 100 lat temu. Dokładnie w latach 20. XX wieku. Jest owocem tzw. Szkoły Frankfurckiej. Co to była za szkoła?

Tu arcybiskup wyjaśnia, że Szkołę Frankfurcką założyli ludzie Lenina, którzy chcieli formować dzieci w duchu „homo sovieticus”, „walczyli z tradycją grecko-rzymską”, propagowali homoseksualizm, aborcję i rozwody. Dalej mówi tak:

Tyle że Stalin, jak doszedł do władzy, zrozumiał, że na takich dzieciach i młodzieży nie zbuduje społeczeństwa. Więc zakazał aborcji i homoseksualizmu, a zwolenników bolszewickiej radykalnej edukacji wypędził z Rosji. I oni osiedli w Niemczech, we Frankfurcie, i stworzyli tę tzw. frankfurcką szkołę w 1923 r.

Ta szkoła przetrwała zaledwie 10 lat. Dlaczego tylko dziesięć? Otóż dlatego, że w 1933 r. doszedł do władzy Hitler, który też uważał, że tego rodzaju pomysły nie dadzą nic dobrego, jeśli chodzi o budowę silnej rasy aryjskiej, która mogłaby podbić świat.

A że większość tych zwolenników edukacji bolszewickiej, którzy przybyli z Rosji i działali w Niemczech, była pochodzenia żydowskiego, więc uciekli do Stanów Zjednoczonych i już przed wojną zaczęli wchodzić w struktury uniwersyteckie”. ©℗ opr. EA

ustanawiający zarząd komisaryczny nad kapitułą – jako powód sankcji podawały „nieprawidłowości w zarządzaniu majątkiem Kościoła”.

Przegrana bitwa

Zarzuty brzmią poważnie. Choć ze względu na brak transparentności w Kościele, zwłaszcza w sprawach majątkowych, oraz tajemnicę, jaką objęte są decyzje metropolity, nikt z zewnątrz nie jest w stanie ich zweryfikować.

Obaj odwołani księża odmówili mi rozmowy, tłumacząc, że zostali pisemnie zobowiązani do milczenia pod groźbą suspensy – każda ich wypowiedź udzielona mediom może zostać uznana za „szerzenie publicznego zgorszenia”, jakim jest bunt przeciwko biskupowi. Komentować sprawy nie chcą też kanonicy kapitulni.

– W przypadku zarządzania tak dużym majątkiem, jaki ma parafia mariacka czy kapituła, nieprawidłowości zawsze się znajdzie, jeśli się ich szuka – mówi mi ksiądz, który dobrze zna wszystkie te sprawy, choć w żadną nie jest bezpośrednio zaangażowany.

Wawelska kapituła jest właścicielem trzynastu kamienic w centrum Krakowa. Nie mniejszym majątkiem dysponuje parafia mariacka, uważana za najbogatszą w Polsce: ma kilka kamienic w mieście, sporo gruntów w okolicy, a do tego hotel, pensjonat i ośrodek wypoczynkowo-rekolekcyjny. Słowem „przedsiębiorstwo turystyczne”, zatrudniające ponad 60 osób.

Z kolei ks. Wilk zarządzał, do 2021 r., Katolickim Centrum Edukacji Caritas Archidiecezji Krakowskiej – instytucji, w której skład wchodzi dziewięć placówek oświatowych (przedszkola, szkoły podstawowe i średnie, internat). Zarzuty mu postawione mają dotyczyć właśnie tego okresu. Zarówno proboszczowie, jak i kanonicy odwołali się od dekretów metropolity do Stolicy Apostolskiej, która nakazała zawieszenie wykonania biskupich decyzji na czas rozpatrywania rekursów (jak w prawie kościelnym określa się odwołanie). Nie zdarza się to często. W Krakowie odtrąbiono więc spektakularną porażkę abp. Jędraszewskiego.

Komisarz na Wawelu

Znane przysłowie o watykańskich młynach, co mielą powoli, pozwalało odwołanym księżom i kapitule mieć nadzieję, że zmiana na biskupiej stolicy dokona się szybciej, niż kuria rzymska rozpatrzy ich rekursy. Tak się jednak nie stało.

> Jakie są zamiary metropolity, nikt nie wie. Ale w jakim stylu je realizuje, widzą i mówią wszyscy.

Pierwszy odpowiedź z Rzymu otrzymał ks. Wilk. Nieco później, pod koniec lutego – pismo dostała wawelska kapituła. W obu przypadkach watykańska dykasteria zaleciła posłuszeństwo wobec decyzji arcybiskupa.

Krakowskich księży szczególnie zbulwersowała przegrana kapituły. Szacowną instytucję, której członkami są księża z tytułami profesorskimi, oddano w zarząd komisarza, którym został proboszcz z Sułkowic, człowiek bez wykształcenia prawniczego czy ekonomicznego (zanim wstąpił do seminarium, skończył technikum mechaniczne w Nowym Targu), i bez większego doświadczenia (po święceniach był wikarym i proboszczem w niewielkich parafiach na Podhalu). Kanonicy kapitulni odmówili mu wydania ksiąg majątkowych, zapowiadając kolejne pismo do Watykanu, z prośbą o doprecyzowanie kompetencji komisarza.

Na odpowiedź z Watykanu czeka wciąż ks. Raś, choć duchowni, z którymi rozmawiałem, nie spodziewają się, by była inna niż w poprzednich przypadkach.

Franciszkańska Trzech

O co tak naprawdę chodzi w konflikcie metropolity z księżmi? Może – po prostu – arcybiskup postanowił w ostatnich miesiącach rządów uporządkować sprawy majątkowe archidiecezji i zlikwidować „państwa w państwie”, które bez jego wiedzy i zgody dysponują olbrzymim majątkiem? Albo może potrzebuje funduszy na realizację szlachetnych celów?

– W pierwszą niedzielę Wielkiego Postu ogłosił składkę na rozbudowę Zakładu Opiekuńczo-Leczniczego Caritas w Zatorze – mówi jeden z księży. – To inwestycja obliczona na lata i idąca w dziesiątki milionów złotych. Takich pieniędzy nie uzbiera się na tacę. Ale gdyby sprzedał ze dwie kapitulne kamienice albo kilka działek parafii mariackiej, pewnie by wystarczyło. Kuria współpracuje blisko z jedną z wielkopolskich firm deweloperskich, może więc coś jest na rzeczy.

Nie można jednak wykluczyć także innej ewentualności – metropolita kieruje się personalnymi urazami, a przejmując majątek niezależnych instytucji chce podreperować budżet kurii, która – z powodu spadku ofiarności wiernych – z roku na rok dysponuje coraz skromniejszymi zasobami.

Jakie są zamiary arcybiskupa, nikt nie wie. Ale w jakim stylu je realizuje, widzą i mówią wszyscy.

Od ośmiu lat krakowskim Kościołem rządzi grupa młodych księży (dziś już nieco po czterdziestce), lojalnych i posłusznych wobec metropolity, który powierzył im wszystkie kluczowe urzędy. Na czele listy są trzy nazwiska: ks. Grzegorza Kotali (kanclerza kurii, proboszcza parafii Świętego Krzyża, kanonika kapituły katedralnej), ks. Przemysława Michalczewskiego (który – jak śmieją się księża – „funkcji ma więcej niż japoński kalkulator”, m.in. ekonoma kurii, rzecznika prasowego, proboszcza parafii św. Floriana, pełnomocnika Arcybractwa Miłosierdzia, kapelana policji itd.) i ks. Stanisława Czernika (przewodniczącego rady ekonomicznej, proboszcza parafii św. Jadwigi, kanonika kapituły św. Floriana i Jana Pawła II).

W rozmowach z tutejszymi księżmi pojawiają się oskarżenia o arogancję i pychę, jaka króluje w kurii, oraz o niszczenie instytucji i osób, do których księża z „Franciszkańskiej Trzech” (jak złośliwie nazwano tę grupę, nawiązując do adresu kurii) mają osobisty uraz. Zausznicy abp. Jędraszewskiego mają też odpowiadać za przemienienie kurii w bastion, broniący go przed niechcianymi gośćmi. Czasy, w których każdy ksiądz z archidiecezji mógł przyjść do metropolity na rozmowę (a w jeden dzień tygodnia, w określonych godzinach, możliwe to było także dla wszystkich wiernych), wspominane są z rozrzewnieniem.

Lista ofiar

– Na liście skrzywdzonych przez arcybiskupa i grupę trzymającą w kurii władzę jest ponad 30 księży – mówi jeden z moich rozmówców. – Zostali nagle odwołani lub zawieszeni, bez podania przyczyn, bez możliwości obrony. Stracili parafie lub funkcje, mieszkają w domach rodzinnych lub u kolegów. Ks. Raś czy ks. Wilk ↦

↦ to tylko dwa nazwiska, które przebiły się do mediów, bo chodzi o osoby znane.

– To jego styl rządzenia – słyszę. – Tajnymi dekretami, bez konsultacji, bez poszanowania praw osób zainteresowanych.

Proboszcz z Nowego Prokocimia dostał godzinę na opuszczenie parafii („potraktowali go gorzej niż pedofila" – mówi jeden z krakowskich księży), proboszcz bazyliki Mariackiej konflikt z arcybiskupem przypłacił pobytem na oddziale kardiologicznym, a potem trzymiesięcznym leczeniem.

Skrzywdzone zostały też osoby świeckie, choćby trzy pracownice biura prasowego kurii, które w 2019 r. z dnia na dzień straciły pracę (ks. Michalczewski tłumaczył później, że dotknęło to jedynie „pracownic niezamężnych", natomiast „dwie pozostałe osoby, które w życiu prywatnym jako matki tworzą wraz ze swymi mężami katolickie rodziny, nadal pozostają pracownikami Biura Prasowego"). Albo nauczyciele i pracownicy zespołu szkół na Pędzichowie, którzy odeszli z pracy po objęciu przez ks. Czernika funkcji dyrektora Centrum Edukacyjnego Archidiecezji.

W pewnym sensie ofiarą jest także Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, który od lat otrzymywał pieniądze zebrane „na tacę" w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Decyzją arcybiskupa, ogłoszoną w ostatnią Wigilię, zbiórka przeznaczana będzie odtąd na „dzieła edukacyjne archidiecezji krakowskiej" (czyli w praktyce szkoły prowadzone przez Centrum Edukacyjne Archidiecezji).

> Abp Jędraszewski nie stracił wpływów: ma skutecznego lobbystę w rzymskiej kurii i swojego człowieka w warszawskiej nuncjaturze.

– Dziwne, prawda? – mówi jeden z księży. – Abp Jędraszewski jest wielkim kanclerzem uniwersytetu, ale o obcięciu funduszy na uczelnię rektor dowiaduje się z ogłoszeń parafialnych. Myślę, że nie bez znaczenia jest tu osobista niechęć, jaką panowie się darzą.

Watykańskie macki

Bo krakowski metropolita – zdaniem moich rozmówców – jest osobą pamiętliwą, długo chowającą urazy, bezwzględną w realizacji swoich zamiarów i pozbawioną empatii. W wypowiedziach księży pojawia się też obraz człowieka wpadającego w furię z powodu najmniejszej oznaki sprzeciwu, jak podczas ostatniego spotkania z kapitułą katedralną, gdy rugał kanoników za „szkalowanie go" w Watykanie.

Zarówno kapituła katedralna, jak i ks. Wilk nie składają broni. Proboszcz z Nowego Prokocimia wysłał kolejny rekurs – już nie do watykańskiej dykasterii, ale do Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej, ostatniej instancji prawnej w Kościele. Nie jest – przynajmniej w teorii – bez szans.

Bo o ile dykasteria w sporach księży z biskupami niemal zawsze staje po stronie ordynariuszy, o tyle w Sygnaturze wygrane podwładnych zdarzają się często. Powód jest prosty – sprawy w dykasterii rozpatrywane są przez jednego urzędnika, który zawsze, bez zagłębiania się w meritum, proponuje stronom rozmowę i polubowne załatwienie sprawy, co w praktyce oznacza apel o podporządkowanie się decyzji przełożonego. W Sygnaturze sprawę rozpatruje dziewięciu sędziów, którzy badają ją szczegółowo, zdarza się więc, że przyznają rację zwykłemu księdzu.

– Problem jednak leży gdzie indziej – mówi jeden z księży, dobrze znający watykańskie instytucje. – Promotorem sprawiedliwości, czyli prokuratorem w Sygnaturze Apostolskiej, jest ks. Paweł Malecha, blisko związany z Jędraszewskim. Znają się jeszcze z czasów poznańskich, obaj zrobili karierę dzięki wsparciu kard. Zenona Grocholewskiego. Z pomocą przyjaciela krakowski metropolita załatwił już w kurii rzymskiej niejedną sprawę.

Układ sił

Bo wbrew obiegowym opiniom abp Jędraszewski wcale nie stracił wpływów w Watykanie. Wręcz przeciwnie. Ma skutecz-

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świątek, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik), Joanna Pelka
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek, Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Jagłowska (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Michał Walkiewicz, Marcin Wójcik, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

nego lobbystę w rzymskiej kurii, ma też swojego człowieka w warszawskiej nuncjaturze. Jest nim ks. Jan Słowiński, doradca prawny nuncjusza, a prywatnie – chrześniak krakowskiego arcybiskupa (syn zaprzyjaźnionego z nim profesora z Poznania). Częste w ostatnim roku wizyty nuncjusza pod Wawelem, w Kalwarii Zebrzydowskiej czy na Podhalu pozwalają przypuszczać, że metropolita mocno pracował, by decyzja o wyborze jego następcy nie zapadła bez jego udziału. Wiele wskazuje, że skutecznie. Informacje, że nominacja została już ustalona, ale nie ogłoszona, są coraz częstsze. I że wybrany został kandydat arcybiskupa albo ktoś z nim uzgodniony.

Wśród krakowskich księży krąży pogłoska o spotkaniu abp. Jędraszewskiego z kardynałami Konradem Krajewskim i Grzegorzem Rysiem, do jakiego miało dojść niedawno w watykańskim mieszkaniu papieskiego jałmużnika. I choć wszyscy zastrzegają, że nie musiało ono mieć żadnego związku z powołaniem nowego metropolity, to jednak nie kryją zaskoczenia – obaj rozmówcy ustępującego arcybiskupa są przecież wymieniani w gronie jego potencjalnych następców (kard. Ryś odmówił nam odpowiedzi na pytanie, czy do takiego spotkania rzeczywiście doszło.)

To oczywiste, że abp Jędraszewski chciałby mieć wpływ na ten wybór: można mówić wiele pięknych słów o trosce o przyszłość archidiecezji, ale chodzi przecież również o sprawy przyziemne – nowy metropolita mógłby jedną decyzją pozbawić wpływów i karier „grupę trzymającą władzę", a nawet odmówić swemu poprzednikowi prawa do zamieszkania w „krakowskim Castel Gandolfo", jak księża nazywają szykowaną dla abp. Jędraszewskiego rezydencję przy parafii św. Floriana.

Wydarzenia ostatnich miesięcy pokazują jednak, że arcybiskup i jego świta mogą być o swój los spokojni.

©℗ EDWARD AUGUSTYN
Współpraca: ARTUR SPORNIAK

Ks. Dariusz Raś i ks. Krzysztof Wilk oraz czterech kanoników kapituły katedralnej odmówiło rozmowy na tematy poruszane w tekście. Nie otrzymaliśmy też odpowiedzi na przesłane mailem pytania do rzecznika Kurii Metropolitalnej w Krakowie.

OPP / FOT. GRAŻYNA MAKARA

AGNIESZKA ISKRA, wiceprezeska FTP. Na zdjęciu z prezesem Fundacji Aleksandrem Kardysiem

Projekty, za które odpowiadam w Fundacji – wśród nich coroczny Międzynarodowy Festiwal Literatury im. Josepha Conrada – przenoszą wartości „Tygodnika Powszechnego" poza jego łamy. W naszej Fundacji współtworzymy przestrzeń dialogu i działamy na rzecz społeczeństwa świadomego, odpornego na zagrożenia dla demokracji. Twoje 1,5% to inwestycja w fundamenty cywilizacji, w naszą bezpieczną i świadomą przyszłość. Naprawdę!

Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie ma realną moc. Masz pytania? Zadzwoń: 12 426 53 31 lub napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl – chętnie pomożemy!

1,5%

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

» KRS 0000 125 605

Twoje wsparcie pozwala zmieniać świat. Naprawdę

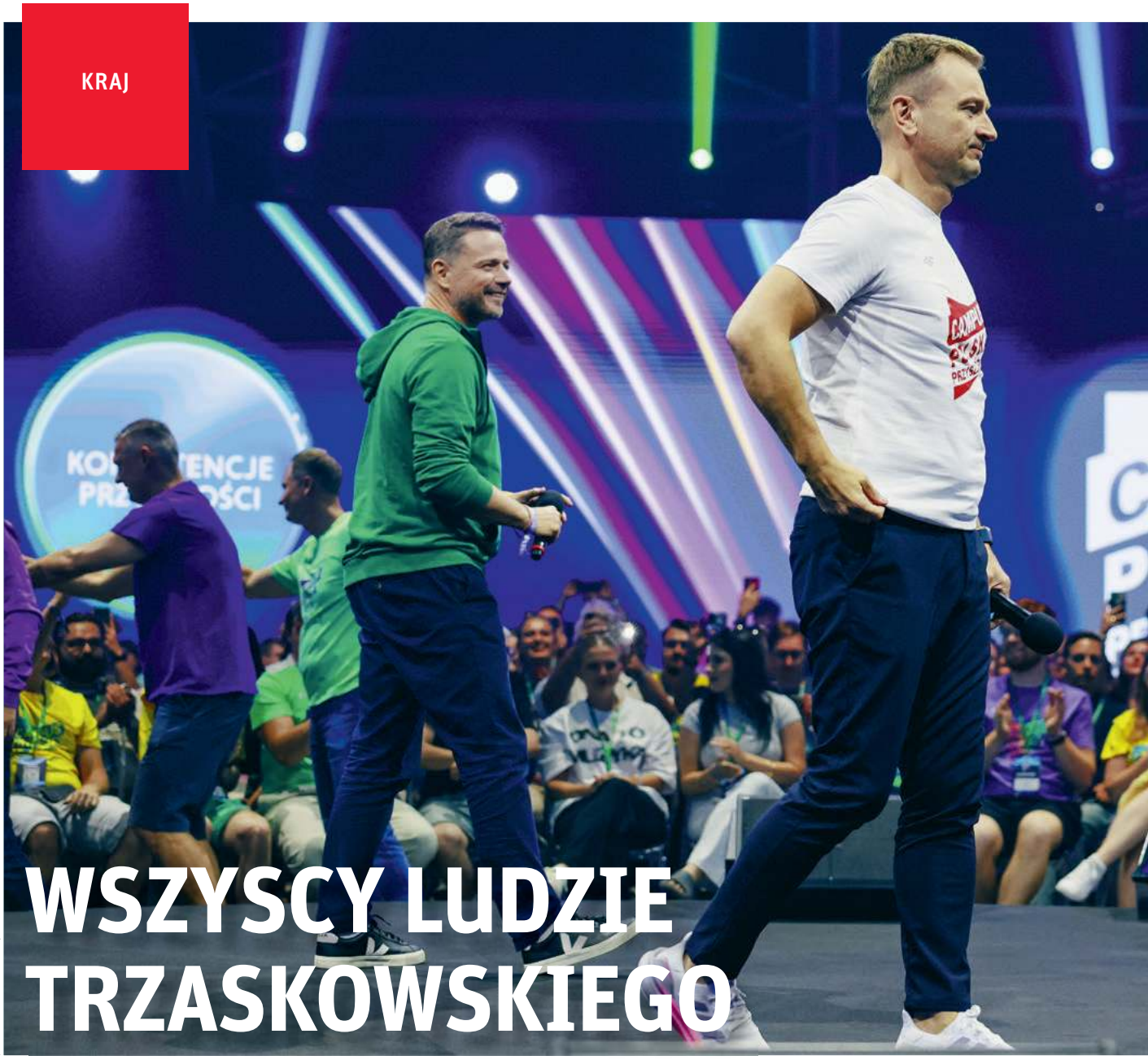

JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

WSZYSCY LUDZIE TRZASKOWSKIEGO

Chociaż kandydat PO odżegnuje się od spekulacji, kogo zabierze do Pałacu Prezydenckiego, jeśli zdoła wygrać wybory, łatwo przewidzieć skład tej ekipy. Grupa jego współpracowników jest od lat wąska i hermetyczna.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

NAJGORSZE CO MOŻNA ROBIĆ, TO DZIELIĆ SKÓRĘ NA NIEDŹWIEDZIU. Jest zdecydowanie za wcześnie, by rozdawać stanowiska – tak kandydat KO odpowiada na pytanie „Tygodnika", kto mógłby trafić wraz z nim do Kancelarii Prezydenta RP. – Skupiam się na prowadzeniu kampanii, a nie na obsadzaniu foteli – dodaje.

Prawdą jest jednak to, że akurat najbliższe polityczne otoczenie Rafała Trzaskowskiego jest od dawna znane. To ekipa zintegrowana i hermetyczna, scalona przede wszystkim kampanią prezydencką w 2020 r., a także organizowaniem co roku w Olsztynie Campusów Polska Przyszłości. Można założyć, że przynajmniej część z tych ludzi znajdzie się przy Trzaskowskim, jeśli trafi do Pałacu.

Wzorując się na Lechu

Dotychczasowi prezydenci też mieli swoje zaufane ekipy, których skład z czasem się zmieniał, zwłaszcza jeśli pełnili obowiązki przez dwie kadencje. Zmiany te pokazywały również, z kim aktualny prezydent ma tzw. chemię, a z kim nie, oraz które eksperymenty okazywały się nieudane. Andrzej Duda na przykład najpierw stawiał na osoby, z którymi pracował jeszcze w kancelarii Lecha Kaczyńskiego, jak choćby Adam Kwiatkowski, jego pierwszy szef gabi-

Rafał Trzaskowski i Sławomir Nitras podczas otwarcia Campusu Polska Przyszłości 2024. Olsztyn, 23 sierpnia 2024 r.

netu. Z kolei pierwszą szefową jego kancelarii była Małgorzata Sadurska, koleżanka z klubu PiS. Jednocześnie Duda od początku stawiał na przyjaciół z Krakowa, jak Wojciech Kolarski, Krzysztof Szczerski czy Marcin Kędryna. Dziś większości tych osób nie ma już przy prezydencie (został tylko Kolarski), zaś pierwsze skrzypce gra szef gabinetu Marcin Mastalerek. Prezydent ceni jego asertywność i kompetencje w rozgrywkach politycznych, których jemu samemu brakuje.

Swojego „Mastalerka" nie miał Bronisław Komorowski; otoczył się przede wszystkim weteranami z dawnej Unii Wolności, a także prywatnymi znajomymi, jak Jacek Michałowski czy Olgierd Dziekoński. Politykę kadrową przypłacił odejściem z Pałacu już po pierwszej kadencji, gdyż jego team zbyt późno dostrzegł, iż do zwycięstwa potrzebna jest jednak sprawna kampania.

Lepszą rękę do ludzi miał jego poprzednik, śp. Lech Kaczyński, którego zaplecze składało się z osób zabranych z warszawskiego ratusza, jak Elżbieta Jakubiak, Małgorzata Bochenek czy Andrzej Urbański, a także przyjaciół z czasów gdańskich (Maciej Łopiński) i znajomych z NIK, jak Aleksander Szczygło i Władysław Stasiak.

W przypadku Trzaskowskiego jest pewne podobieństwo do modelu Lecha Kaczyńskiego. Również lubi współpracować przede wszystkim z osobami, które dobrze zna i do których ma pełne zaufanie – grupę jego najbliższych współpracowników od lat tworzą więc ci sami ludzie. To ekipa złożona z polityków, którzy pod skrzydła Koalicji Obywatelskiej trafiali spod różnych adresów.

Trzon grupy tworzą Cezary Tomczyk, Sławomir Nitras i Agnieszka Pomaska z Platformy, Barbara Nowacka z Inicjatywy Polskiej, a także Katarzyna Lubnauer i Adam Szłapka z Nowoczesnej. Cała ta ekipa, może poza Tomczykiem, jest od lat mocno zaangażowana w organizację olsztyńskich campusów.

Niezwykle ważni są również ci, którzy odpowiadają za stronę organizacyjną działalności Trzaskowskiego – jako prezydenta Warszawy i patrona Campusu. Kluczową rolę odgrywa tu były poseł PO Michał Marcinkiewicz, obecnie odpowiadający za organizację spotkań wyborczych w terenie. Współpracują z nim blisko szefowa gabinetu prezydenta Warszawy Wioletta Paprocka, a także jej zastępca Łukasz Pawłowski.

Formacja podczas okupacji

Prezydent Warszawy nie był nigdy typem człowieka, który ceniłby podskórne życie partyjne. Nie jest częstym w polityce typem „brata łaty" czy „załatwiacza", który tworzy konsekwentnie własną frakcję pełną wdzięcznych mu ludzi. Woli wąskie, elitarne grono, które samo również dba o to, by zachować spójność i wpływy w otoczeniu lidera – to zaś wywołuje wrażenie hermetyczności. – Ekipa campusowa jest zgrana. To ludzie, którzy po prostu dowożą realizację zadanych tematów – mówi jeden ze współpracowników Trzaskowskiego.

Politycy PO potrafią wymienić wiele przykładów charakterystycznych zachowań familii Trzaskowskiego. Ktoś np. zaproponował usługi na Campusie w dziedzinie, na której się dobrze zna. Po jakimś czasie okazywało się, że temat zostanie przygotowany, ale przez Agnieszkę Pomaską, choć nie miała z nim wcześniej wiele wspólnego. Inny parlamentarzysta opowiada, że w poprzedniej kadencji, gdy szefem klubu KO był Cezary Tomczyk, najchętniej typował do występów medialnych członków grupy Trzaskowskiego. Mimo że niektórzy z nich, jak Nowacka, Lubnauer czy Szłapka, byli spoza PO.

Dlaczego przy Trzaskowskim są jednak właśnie ci, a nie inni ludzie? Geneza jego ekipy pochodzi z czasów, gdy na czele Platformy po przegranych w 2015 r. wyborach stanął Grzegorz Schetyna. Dosyć szybko dorobił się w partii silnej grupy opozycyjnej, zwanej frakcją „młodych". Niezwykle ważnym wydarzeniem dla uformowania się tej grupy była okupacja sali plenarnej Sejmu na przełomie 2016 i 2017 r. Rozpoczęła się od blokady mównicy sejmowej przez grupę posłów po tym, jak ówczesny marszałek Sejmu Marek Kuchciński wykluczył z obrad Michała Szczerbę.

Jeszcze tego samego dnia posiedzenie izby przeniesiono do Sali Kolumnowej, a w plenarnej rozpoczęły się stałe dyżury opozycji, przede wszystkim ludzi z PO i Nowoczesnej. Właśnie to doświadczenie połączyło członków późniejszej frakcji Trzaskowskiego – Sławomira Nitrasa, który był jednym z prowodyrów okupacji, Cezarego Tomczyka, Agnieszkę Pomaską oraz Adama Szłapkę, wówczas posła Nowoczesnej. Akcja, oprócz tego, że wymierzona w rządzący PiS, była także formą kontestacji ówczesnego kierownictwa PO, przede wszystkim niechętnego okupacji Schetyny.

Nie zdobył Platformy

Sam Trzaskowski, który od 2015 r. był posłem PO, brał oczywiście w blokadzie udział. Z racji wizerunkowych kompetencji nadawał się na frontmana tej grupy – znacznie młodszej od lidera partyjnego i sceptycznej wobec jego taktyki. Zresztą, stosunki Trzaskowskiego ze Schetyną nie ↦

↦ były już od dłuższego czasu dobre – ich antagonizm wywodził się z czasów, gdy Trzaskowski był najpierw ministrem administracji i cyfryzacji w rządzie Donalda Tuska, a potem zastępcą Schetyny w MSZ (w rządzie Ewy Kopacz). Jak przyznaje jeden z polityków PO, w tamtym czasie Schetyna ostro krytykował kompetencje młodszego działacza. Dziś się oczywiście do tego nie przyznaje, bo później zawarł z grupą Trzaskowskiego cichy sojusz, w pewnej mierze wymierzony we wracającego do Polski Donalda Tuska.

Faktem jest jednak i to, że Schetyna potrafił spojrzeć na ten konflikt szerzej. Dostrzegł więc potencjał Trzaskowskiego i postawił na niego jako kandydata na prezydenta Warszawy w 2018 r., gdy okazało się, że Hanna Gronkiewicz-Waltz nie będzie startować po raz kolejny. Po wyborczym zwycięstwie szefową gabinetu Trzaskowskiego została zaś Wioletta Paprocka, wcześniej rzeczniczka Schetyny w MSWiA i jego doradczyni jako marszałka Sejmu. Pracująca, podobnie jak Łukasz Pawłowski, w stołecznym magistracie już za kadencji Gronkiewicz-Waltz.

Michał Marcinkiewicz trafił do otoczenia prezydenta Warszawy inną drogą, poprzez Sławomira Nitrasa, który też pochodzi ze Szczecina. Sprawdził się zwłaszcza w kampanii prezydenckiej w 2020 r., panując nad organizacją masowych spotkań wyborczych kandydata (który musiał ratować partię po rezygnacji Małgorzaty Kidawy-Błońskiej), i będąc w ich trakcie „mistrzem ceremonii".

W tamtym czasie zarzucano Trzaskowskiemu, że mimo uzyskania w wyborach prezydenckich poparcia 10 mln głosów, nie zawalczył o swą pozycję i nie stanął na czele Platformy, dołującej wtedy w sondażach. Zdecydowała zapewne niepartyjna natura prezydenta Warszawy, choć jego antagoniści z PO – ci, którzy namówili do powrotu w połowie 2021 r. Donalda Tuska – przekonują, że wraz ze swoją ponadpartyjną grupą miał inny plan – zbudować nowy polityczny byt obok PO. Jego pierwszym aktem założycielskim miał być Campus. Drugim – Ruch Wspólna Polska, który powstał, ale nie zaistniał. Trwała pandemia, a potem Tusk „odbił" Platformę.

Ostrożni jak ich szef

Jeśli komukolwiek z ludzi Trzaskowskiego zada się pytanie o akces do ekipy prezydenckiej, odpowiadają oględnie, tak jak ich lider. – Będą na to dwa miesiące po ewentualnym zwycięstwie. A mnie dobrze jest w rządzie – mówi obecny wiceminister obrony Cezary Tomczyk. Również posłanka Agnieszka Pomaska zapewnia, że nie słyszała o żadnych ofertach obsady zaplecza prezydenta. W podobnym tonie wypowiada się też Wioletta Paprocka zapewniająca, że nawet nieformalnie nie ma takich przymiarek. To samo mówi Michał Marcinkiewicz.

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

CEZARY TOMCZYK, WICESZEF MON:

Na skompletowanie ekipy prezydenckiej w Pałacu będą dwa miesiące po ewentualnym zwycięstwie. A mnie dobrze jest w rządzie.

Wiemy jednak, że personalne przymiarki są już robione. Od kilku miesięcy słyszymy, że obecna szefowa MEN Barbara Nowacka jest dogadana w sprawie stanowiska szefowej Kancelarii Prezydenta. Sama w tej kwestii zaprzecza, na dodatek zdarzyła się jej wpadka z przejęzyczeniem o „polskich nazistach", czym skomplikowała sobie trochę plany, dając zarazem oręż opozycji.

Cezary Tomczyk, obecnie wiceminister w MON, również ma opuścić rząd – dla stanowiska szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Paprocka lub Pawłowski mieliby z kolei wejść w rolę Mastalerka i stanąć na czele Gabinetu Prezydenta RP. Jednak według innej wersji to Paprocka miałaby zostać szefową kancelarii, a Michał Marcinkiewicz szefem gabinetu. Raczej nie trafią do Pałacu parlamentarzyści wiązani z dalszym kręgiem grupy Trzaskowskiego: Dorota Łoboda, Patryk Jaskulski czy Adrian Witczak. Zapewniają, że na razie chcą się nauczyć funkcjonowania w Sejmie; są tam pierwszy raz.

W kontekście prezydenckich nominacji można też czasem usłyszeć nazwiska Artura Gierady, mało znanego posła, który ma bliskie relacje z tą grupą, oraz Aleksandry Gajewskiej, obecnej wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej. – Mam inne zadania, wskazane przez pana premiera – zapewnia jednak Gajewska, dziś mniej już kojarzona z „frakcją Trzaska".

Bardziej prawdopodobne jest wyjście z rządu ministra ds. europejskich Adama Szłapki; miałby on wzmocnić kancelarię w sprawach międzynarodowych, w których prezydent ma istotne kompetencje. Za tą tezą przemawia też fakt, że kadencja nowego lokatora Pałacu rozpoczyna się w sierpniu, już po półroczu polskiej prezydencji w UE.

Na tym tle zaskoczeniem jest wypowiedź wiceministry edukacji Katarzyny Lubnauer, która nie spodziewa się, by którykolwiek z aktualnych członków rządu (Gajewska, Nowacka, Szłapka, Tomczyk) poszedł za Trzaskowskim. Innym ograniczeniem może się okazać konieczność rezygnacji z mandatów poselskich; dla niektórych to może być problem. W naszych rozmowach z politykami KO często pada bowiem argument: praca w prezydenckiej kancelarii stwarza niewielkie możliwości aktywności typowo partyjnej i grozi „zapomnieniem". Odpowiada się tam za wąski segment i tak już niewielkich kompetencji głowy państwa; ewentualnie można go reprezentować w mediach.

Czas dla zderzaków?

Czynnikiem wpływającym na to, kto finalnie znalazłby się w otoczeniu Trzaskowskiego w Pałacu, może być też postawa Marcina Kierwińskiego. To on szykuje się do objęcia po Trzaskowskim fotela prezydenta Warszawy – o ile wygra wybory. W nieformalnych rozmowach miał wyrażać oczekiwanie, by ludzie dziś pracujący w ratuszu i znający stołeczną specyfikę nie odchodzili masowo z urzędu wraz ze swym pryncypałem.

Jeśli pod uwagę weźmie się powyższy aspekt, a także fakt, że w kampanii objawią się na pewno nowe talenty – płaszczyzna budowy zaplecza Trzaskowskiego może okazać się ostatecznie dużo szersza niż „grupa campusowa". Wiele osób ma dziś okazję sprawdzić się w boju, pod presją czasu, ujawnić zdolności organiza-

cyjne albo aktywizujące ludzi młodych. Obok wspomnianych Łobody, Jaskulskiego czy Witczaka, wymienia się w tym kontekście jeszcze dwie posłanki: Aleksandrę Kot i Weronikę Smarduch.

W zaciągu do Pałacu mogą też wziąć udział niektórzy działacze samorządowi, niekoniecznie bardzo bliscy Trzaskowskiemu, ale pomagający mu budować lokalny potencjał w obecnej kampanii. Na ich czele wymieniany jest współpracownik Trzaskowskiego z ruchu „Tak! Dla Polski", wieloletni prezydent Sopotu Jacek Karnowski, dziś wiceminister funduszy, oraz byli marszałkowie województw: Elżbieta Polak (Lubuskie) i Marek Sowa (Małopolskie).

W przypadku Karnowskiego ważne jest to, że nie dogaduje się on ze swoją szefową Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz z Polski 2050. – Najpierw trzeba wygrać wybory – odpowiada on sam na pytanie o swój udział w ewentualnej „pałacowej" ekipie Trzaskowskiego.

Spiritus movens większości działań politycznych podejmowanych przez grupę Trzaskowskiego jest tak naprawdę Sławomir Nitras. To faktyczny twórca Campusu, a dziś minister sportu, który ma jednak opinię osoby nieco nieprzewidywalnej. – Nitras zawsze był politycznym liderem tej grupy. Zadaniem Trzaskowskiego było nadzorować ją nieco z boku. I ładnie się prezentować – mówi prominentny polityk PO. Jego zdaniem Nitras będzie miał w otoczeniu Trzaskowskiego takie stanowisko, jakiego sam zapragnie. I jeśli będzie chciał być np. szefem Kancelarii Prezydenta – a to obok funkcji lidera BBN jest stanowisko o naprawdę realnym znaczeniu – to nim zostanie.

Inny polityk PO przekonuje natomiast, że najbardziej prawdopodobny scenariusz to powierzenie stanowisk – w pierwszym okresie – sprawdzonym urzędnikom, czyli *de facto* zderzakom. Dopiero z czasem zostaliby zastąpieni przez pełnokrwistych polityków. – W 2027 roku Tusk będzie miał 70 lat, a już dziś widać po nim trudy rządzenia – uważa polityk. – Bez wygranych kolejnych wyborów parlamentarnych możemy popaść w kryzys, a potem nie wygrać wyborów prezydenckich w 2030 roku. Stąd Rafał Trzaskowski musi stawać się powoli nowym liderem całego obozu, który Kaczyński pragnie zniszczyć, i powinien mieć do tego odpowiednie zaplecze.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

Migracyjny poker

ŁUKASZ GRAJEWSKI, NANCY WALDMANN

Politycy PiS jeżdżą wzdłuż granicy polsko-niemieckiej i straszą napływem migrantów, których Niemcy mieliby do nas odsyłać. Z tym wzmożeniem jest jeden problem: żadnego kryzysu nie widać. Na razie.

Powiadają, że trzepot skrzydeł owada w wybranym punkcie globu może kilka dni później wywołać burzę piaskową w zupełnie innej części świata. Tak w największym skrócie można opisać to, co nazywa się „efektem motyla": w przyrodzie nawet niepowiązane ze sobą pozornie czynniki mogą oddziaływać na siebie i prowadzić do nieoczekiwanego skutku.

Czasem podobne zjawisko zachodzi w polityce. Czy wybory polskiego prezydenta, a nawet przyszłość strefy Schengen miałyby nieoczekiwanie zależeć od tego, co w najbliższych tygodniach wydarzy się na granicy polsko-niemieckiej?

Stare melodie, nowe okoliczności

Jest słoneczne przedpołudnie, sobota 29 marca.

Przy moście granicznym w Słubicach działacze PiS-u ustawiają głośniki. Rafał Bochenek, rzecznik partii, instruuje grupkę zebranych na temat przebiegu zaplanowanej konferencji. Ma rozpocząć się o dwunastej, ale główny mówca, Jarosław Kaczyński, pojawi się z półgodzinnym opóźnieniem.

Jego obecność nie wszystkim się w Słubicach podoba. – Wynoś się! – krzyczy jakaś kobieta przez megafon. Reagować musi policja. Również z aut przejeżdżających obok zgromadzenia kilkukrotnie padają głośne słowa niezadowolenia.

Kaczyński szybko przechodzi do rzeczy. – Rządzący Polską są zdeterminowani do realizowania polityki narzuconej przez Berlin – mówi 75-letni lider opozycji, po czym przestrzega, że rząd Donalda Tuska będzie przyjmować odsyłanych z Niemiec migrantów. – Często bardzo niebezpiecznych ludzi – dodaje. Stojący wokół niego trzymają plakaty: „Referendum. Stop nielegalnej migracji".

W tle, za zebranymi, widać wieżowce i wieże kościelne – panoramę Frankfurtu nad Odrą. Bardziej na lewo ciągnie się most, który łączy Słubice z Frankfurtem. Wybija się niebieska barwa łuku, który wzmacnia całą konstrukcję.

Ten łuk to równocześnie wspólny symbol obu miast, które od ponad trzech dekad pracują na miano wychodzącego poza narodowe schematy „dwumiasta". Jego hasło przewodnie brzmi: „Bez granic – *ohne Grenzen*". Wspólna linia autobusowa nr 983 przejeżdża przez most co pół godziny. Kurs zaczyna przy dworcu autobusowym w Słubicach, a kończy przy dworcu kolejowym we Frankfurcie.

Jednak Kaczyński o tych coraz mocniejszych związkach polsko-niemieckiego pogranicza nie wspomina nawet słowem. Słuchając prezesa PiS, można natomiast doświadczyć *déjà vu*. Blisko 10 lat temu, 13 października 2015 r., Jarosław Kaczyński przestrzegał na spotkaniu z wyborcami w Makowie Mazowieckim przed tajnym unijnym porozumieniem, na podstawie którego do Polski miało trafić „nawet 100 tys. muzułmanów".

To na tym spotkaniu padły słowa: „Różnego rodzaju pasożyty, pierwotniaki, które nie są groźne w organizmach tych ludzi, mogą tutaj być groźne". Dwa tygodnie później PiS świętował wygraną w wyborach parlamentarnych.

Kryzys, którego nie ma

Tutaj, w Słubicach, Kaczyński ogłasza powstanie czegoś, co nazywa Ruchem Obrony Granic. Zapewne nieprzypadkowo robi to teraz, na początku gorącej ↦

↦ fazy kampanii prezydenckiej, podczas której kandydat związany z PiS-em, Karol Nawrocki, radzi sobie słabo. Nie jest nawet pewne, czy do drugiej tury wejdzie on, czy Sławomir Mentzen z Konfederacji.

Jeśli sam kandydat nie pcha kampanii do przodu, to trzeba postawić na sprawdzone sposoby pogłębiania społecznych podziałów. Do tego zadania PiS wyznaczył posła Janusza Kowalskiego i Roberta Bąkiewicza, wcześniej działacza Obozu Narodowo-Radykalnego i organizatora Marszu Niepodległości. Obaj mają doświadczenie w kampaniach bazujących na fobiach antyniemieckich i antyimigranckich.

Tę dwójkę wspierają na polsko-niemieckiej granicy czołowe nazwiska PiS-u. Na wiecach, organizowanych co tydzień, byli już m.in. Mateusz Morawiecki i Mariusz Błaszczak. Zgorzelec, Słubice, Kołbaskowo – w ubiegłą sobotę kolejna akcja odbyła się w Gubinie.

„To teraz nasza pierwsza linia frontu" – tak Bąkiewicz zachęca do udziału w akcjach na granicy w rozsyłanych mailach. W mediach społecznościowych Kowalski pisze z kolei o „imigrantach nielegalnie importowanych do Polski".

Z tym całym wzmożeniem wokół zachodniej granicy jest tylko jeden podstawowy problem: żadnej kryzysowej sytuacji nie ma.

Przynajmniej na razie.

Niemcy czasem zawracają

– Nie widzę w mojej pracy tego, co obecnie tak uwypuklają politycy. Nie ma masowego przekazywania migrantów z Niemiec do Polski – mówi nam Katarzyna, funkcjonariuszka Straży Granicznej, która stale kontroluje granicę polsko-niemiecką. Nasza rozmówczyni prosi o anonimowość, dlatego w tekście występuje pod zmienionym imieniem. Jednocześnie funkcjonariuszka uczula, by rozróżniać podstawowe fakty.

Obecnie najczęściej dochodzi do zawróceń. To sytuacja, w której niemiecki funkcjonariusz policji zatrzymuje na granicy wybraną osobę, a po sprawdzeniu dokumentów nie wyraża zgody na wjazd do Niemiec, pozostawiając ją na terenie Polski. Ale formalnie nie odsyła jej z Niemiec, bo nigdy tam nie dotarła.

Liczba oficjalnych przekazań migrantów z Niemiec do Polski jest wciąż niska.

W całym roku 2024 Niemcy oddały nam 1251 cudzoziemców – o 20 proc. mniej niż w roku 2023, gdy rządził PiS.

Liczba takich zawróceń z granicy rośnie. Niemiecka policja w 2024 r. odnotowała 9369 takich przypadków – to efekt wprowadzenia przez Berlin stałych kontroli.

– Ale to też nie są takie zawrócenia, jakie sugerują politycy – podkreśla funkcjonariuszka Straży Granicznej. Ponad połowa zawróconych to Ukraińcy (Niemcy zaostrzyli swoją politykę wobec tej grupy narodowej); dużo mniej przypadków dotyczyło Afgańczyków (580 osób) i Syryjczyków (470).

Katarzyna dodaje, że współpraca ze stroną niemiecką układa się dobrze. W wielu konkretnych sprawach polscy pogranicznicy dostają telefon od niemieckich partnerów z informacją o zawróceniu danej osoby lub grupy, tak aby nasi funkcjonariusze mogli sami tych ludzi sprawdzić.

– Służby na granicy obu państw mają cztery wspólne placówki. Razem uczestniczymy w szkoleniach. Działają mieszane patrole, które mogą przekraczać granicę w obu kierunkach – mówi Katarzyna, która twierdzi też, że sytuacja z 2024 r., gdy niemieccy funkcjonariusze na własną rękę zawieźli do Polski i potajemnie zostawili afgańską rodzinę w przygranicznym Osinowie Dolnym, była jednostkowym przypadkiem.

Polska musi wyrazić zgodę

Na jeszcze niższym poziomie utrzymuje się liczba oficjalnych przekazań migrantów z Niemiec do Polski – podczas gdy to tym zjawiskiem najbardziej straszy nas Kaczyński. W całym 2024 r. Niemcy przekazały nam 1251 cudzoziemców – było to o 20 proc. mniej niż w roku 2023, gdy rządził PiS.

Do przekazania dochodzi np. wtedy, gdy strona niemiecka stwierdzi, iż osoba ubiegająca się o azyl złożyła już wcześniej taki wniosek w Polsce. Wtedy – zgodnie z unijnym prawem – powinna zostać odesłana, żeby dokończyć procedurę.

Ale to też nie jest takie proste. Przyjmijmy, że przykładowy Syryjczyk najpierw dotarł do Polski, a następnie wjechał do Niemiec i to tam poinformował podczas policyjnej kontroli, że chce starać się o azyl. Taki człowiek jest przewożony do najbliższego ośrodka recepcyjnego. Następnie pracownicy niemieckiego Urzędu ds. Migracji i Uchodźców sprawdzają, który kraj powinien rozpatrzeć wniosek.

Jeśli urzędnicy stwierdzą, że sprawa powinna być załatwiona w Polsce, to wydaje się pisemną odmowę prowadzenia

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

NANCY WALDMANN

Konferencja prasowa prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego przy moście granicznym w Słubicach, 29 marca 2025 r.

dalszych czynności w Niemczech. Niemiecka policja aranżuje wówczas przekazanie danej osoby na granicy w ręce polskiej Straży Granicznej.

Tyle że Polska musi wyrazić zgodę na takie przekazanie. W przeciwnym razie nie dojdzie ono w ogóle do skutku. Cała ta procedura w każdym przypadku ciągnie się tygodniami, czasem miesiącami (w całym 2024 r. w Niemczech złożono ponad ćwierć miliona wniosków o azyl, urzędy są więc przeciążone).

Dla Niemiec dodatkowym problemem jest fakt, że po wykonaniu tej żmudnej papierkowej roboty i przekazaniu migrantów stronie polskiej ci najczęściej i tak zaraz wracają do Niemiec. Olaf Jansen, dyrektor centrum recepcyjnego w Eisenhüttenstadt, mieście przy granicy z Polską, twierdzi, że do Niemiec wróciło 70 proc. migrantów przekazanych wcześniej z jego ośrodka stronie polskiej. Za każdym razem procedura wszczynana jest od nowa.

Nie dziwi więc fakt, że Niemcy stawiają teraz nacisk na uniemożliwienie wjazdu migrantom. Oszczędzają sobie tym samym masę trudnej pracy, często nieprzynoszącej rezultatów.

Wyborcza lista obietnic

Wkrótce może się również okazać, że podejście Niemców do problemu imigracji ulegnie dalszemu zaostrzeniu. Kwestia ta działa bowiem jak płachta na byka nie tylko na wyborców w Polsce, ale coraz częściej także w Niemczech. Od lat i niemieckie społeczeństwo, i władze regionów oraz gmin zwiększają nacisk na rządzących w Berlinie, żeby radykalnie ukrócili napływ obcokrajowców.

Friedrich Merz, szef Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU) i prawdopodobnie przyszły kanclerz, w trakcie kampanii przed wyborami do Bundestagu, które odbyły się 23 lutego, złożył wiele obietnic dotyczących m.in. zmian w polityce migracyjnej. Kontroli ma być więcej, a osoby deklarujące chęć złożenia wniosku o ochronę mają być zawracane – w dyskusjach pojawiał się nawet postulat zawieszenia prawa do azylu.

W publicznych wypowiedziach politycy chadecji sugerują, że nie zamierzają oglądać się również na to, co w tej sprawie powiedzą ich sąsiedzi. Rzecz jednak w tym, że nie wszystko zależy tutaj od woli chadeków. W tej chwili wciąż trwają negocjacje koalicyjne z socjaldemokratami z SPD. Migracja jest w nich głównym tematem spornym – SPD nie zgadza się na ostry kurs CDU, w tym na nieoglądanie się na sąsiadów Niemiec.

Na kursie kolizyjnym?

Równocześnie Niemcy prowadzą jednak w tej sprawie negocjacje, i to z wszystkimi krajami sąsiadującymi, także z polskimi władzami.

Teoretycznie jeśli nowy rząd Niemiec zdecyduje się na radykalne kroki, to od ich granicy zacznie „odbijać" się znacznie więcej osób niż dotychczas. Będą to głównie mieszkańcy państw Bliskiego Wschodu, Afryki i Azji, którzy do Niemiec docierają także przez teren Polski. Przez nasz kraj przebiega bowiem zarówno część tzw. szlaku bałkańskiego (wiedzie on przez Austrię, Słowację lub Czechy), jak też szlak migracyjny prowadzący z Białorusi. Bo nawet jeśli bariera na granicy polsko-białoruskiej jest coraz bardziej skuteczna, to znacznie słabiej strzeżona jest np. granica litewsko-białoruska. A ludzie, którzy ją sforsowali, na koniec i tak muszą iść do Niemiec przez Polskę.

W normalnych warunkach państwa mogłyby długo negocjować szczegóły procedur, które, odciążając Niemcy, równocześnie nie zdestabilizują sytuacji w Polsce. Jednak czas nie sprzyja dziś ani rozsądkowi, ani logice działań.

Friedrich Merz zapowiedział, że zmiany w polityce migracyjnej wprowadzi zaraz po objęciu stanowiska kanclerza. To zaś może nastąpić na przełomie kwietnia i maja. Wychodzi więc na to, że przyszły niemiecki rząd może zademonstrować nową twardą politykę na granicy w chwili, gdy w Polsce będzie trwać kulminacyjna faza kampanii prezydenckiej.

Dlatego nie dziwi zdecydowana postawa polskiego rządu. Doskonale zdaje on sobie sprawę, że na granicy może być gorąco – i że siłą, która na tym skorzysta, byłby PiS. To ugrupowanie znów buduje swój przekaz na poczuciu zagrożenia – ze strony i migrantów, i Niemiec.

Polskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie wyklucza już żadnych rozwiązań. Wiceminister Maciej Duszczyk mówi nawet o możliwości ↦

↦ wprowadzenia polskich kontroli granicznych. „Gdyby pojawił się jakikolwiek problem, gdyby nastąpił proceder taki, że migranci by przekraczali granicę UE w drugą stronę, to zapewniam, że granica zostanie zamknięta" – tak tę wciąż hipotetyczną sytuację komentował kilka dni temu Rafał Trzaskowski, kandydat KO na prezydenta.

Temat wszedł do kampanii i zostanie z nami do jej końca.

A pogranicze cierpi

Na politycznej burzy wokół imigrantów najbardziej stracić mogą mieszkańcy terenów przygranicznych. Ci ze Słubic już odczuwają negatywne skutki niemieckich działań: na autostradzie A2 na moście w Świecku kontrola oznacza zwężenie drogi do jednego pasa, auta muszą zwolnić do 10 km/h. Tworzą się korki, na które narzekają też polscy spedytorzy.

Mieszkańcy, z których wielu pracuje po niemieckiej stronie, unikają więc tej drogi. Cały lokalny ruch spiętrza się obecnie na moście miejskim, który łączy Słubice i Frankfurt. Od strony niemieckiej stoją przy nim policjanci. Korki tworzą się na moście i dojazdowych ulicach po obu stronach Odry. Jeśli pojawią się polskie kontr-kontrole, to cofną pogranicze do stanu z pandemii. Albo do czasu sprzed roku 2007, gdy Polska dołączyła do strefy Schengen.

Mieszkańcy i lokalne władze dwumiasta wielokrotnie interweniowały u władz centralnych w sprawie zniesienia kontroli lub ich lepszej organizacji. Wygląda na to, że w obecnej sytuacji muszą się liczyć z jeszcze większymi utrudnieniami. Politycy nie potrzebują przecież realnych migrantów, by dalej prowadzić kampanię ich kosztem. „Na całej granicy zachodniej z Niemcami chcemy doprowadzić do manifestacji, która zablokuje wszystkie przejścia graniczne, żeby sparaliżować kompletnie ten ruch" – powiedział w Radiu Maryja Robert Bąkiewicz, organizujący Ruch Obrony Granicy.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI, NANCY WALDMANN

ŁUKASZ GRAJEWSKI *jest korespondentem „Tygodnika" w Niemczech.*

NANCY WALDMANN *jest dziennikarką „Märkische Oderzeitung", regionalnego dziennika z Frankfurtu nad Odrą.*

BOLESŁAW MIEDZA / PAP

Kiedyś dzieci cały dzień bawiły się pod oknami. Dziś praktycznie ich nie słychać. Głogów, 1969 r.

Święta Małgonia od spraw codziennych

MAREK RABIJ

Piętra są cztery. Ona jedna, ich jedenaścioro, coraz bardziej niedołężnych i schorowanych. Gdyby nie ona, ich życie byłoby o wiele trudniejsze. Ale gdyby nie oni, ona pewnie już by nie żyła.

W murowanym inspekcie przy wejściu do klatki schodowej administracja spółdzielni mieszkaniowej sadziła każdej wiosny kolorowe bratki. Dzieciaki natychmiast ogałacały je z płatków, a okoliczni pijaczkowie ozdabiali tę martwą już naturę petami i pustymi flaszkami. Spółdzielni w końcu znudziła się ta zabawa i zamknęła od góry inspekt kamienną płytą, zamieniając go w ławeczkę, na której można teraz zebrać siły po wyprawie do sklepu albo złapać oddech przed wspinaczką na czwarte piętro. Przy takiej wysokości blok nie zasłużył na łaskę windy, a projektującym go w 1969 r. architektom nie przyszło do głowy, że ponad pół wieku później co trzecie z 29 mieszkań zajmować będą osiemdziesięciolatkowie.

Małgorzata, Małgosia, Małgonia

Na parterze pod dwójką blisko 90-letni wdowiec, kiedyś właściciel dobrze prosperującego punktu prania pierza, większość dnia spędza w oczekiwaniu na wizytę mieszkającego opodal syna. Od dłuższego czasu nie opuszcza już mieszkania.

Pod dziesiątką na pierwszym piętrze pan Krzysztof, emerytowany tirowiec,

od kilku lat walczy z ostrą cukrzycą. Osiemdziesiątka nie zwalnia go, jak podkreśla, z obowiązku aktywności, bo żyje dla wnuczki, która w Poznaniu robi karierę w balecie. Na klatce przy drzwiach parkuje więc chodzik i gdy tylko zdrowie oraz pogoda dopisują, wyrusza na spacer. Przed laty był najsroższym sędzią dzieciaków, które od rana do nocy darły mu się pod oknami. W pismach do spółdzielni domagał się nawet rozbiórki tego cholernego inspektu przed wejściem. Dzisiaj w bloku nie ma już prawie dzieci. Pan Krzysztof po spacerze siada więc przed klatką, wystawia spotniałą twarz ku słońcu i czeka na kogoś, kto pomoże mu wspiąć się z powrotem na pierwsze piętro.

Na drugim trwa za to wojna. 82-letnia pani Mieczysława spod piętnastki, dystyngowana wdowa po dyrektorze miejscowej poczty, po udarze mózgu straciła nieco na nienagannych dotąd manierach i zaciekle atakuje starszą od siebie sąsiadkę spod numeru trzynastego, której zdarza się coraz częściej zatrzasnąć drzwi z kluczem od środka. A co gorsza, także z obiadem wstawionym na gaz. „Ta wariatka spali nas żywcem" – żali się głośno napotkanym na klatce sąsiadom dyrektorowa. Czasem ubrana jedynie w halkę i rajstopy na żylaki.

Na trzecim piętrze pod siedemnastkę wprowadziła się ostatnio emerytowana nauczycielka. Najmłodsza w tym gronie, bo ledwie 76-latka, czas dzieli między parafialny chór, działkę pod miastem i syna mieszkającego we Wrocławiu, częściej więc jej tu nie ma, niż jest. Gdy wraca, zagląda na plotki do starszej o 9 lat Aliny, sąsiadki spod dwudziestki trójki. Ta do niedawna mieszkała z ponad 90-letnią siostrą, która przeszła dwa udary. W grudniu została sama. Trzeciego udaru siostra już nie przeżyła. Mieszkającej piętro niżej pani Zosi, niedawno owdowiałej, nie budzi już w nocy szuranie balkonika, z pomocą którego ponad 90-letnia pani Jadwiga mozolnie dreptała do toalety.

Z daleka słychać za to panią Teresę spod dwudziestki piątki, gdy ciężko dysząc schodzi z czwartego piętra. „Pełochape", jak mówi, czyli przewlekła obturacyjna choroba płuc (POChP), owoc trwającego ponad 60 lat romansu z papierosami, spłycił jej oddech. Pani Teresa ani myśli rozstawać się jednak z paleniem. Na balkon wystawiła plastikowe krzesełko i stoliczek turystyczny, które służą jej za palarnię, bo w mieszkaniu unika papierosów z myślą o wnukach. Dym z balkonu irytuje za to jej sąsiadkę, panią Ewę, lat 83. „Trzydzieści osiem lat męczyłam się z chłopem, który kopcił w mieszkaniu, a teraz pani tu smrodzi!" – wścieka się czasem lokatorka mieszkania numer 26.

„Pani Ewuniu kochana – chrypie w odpowiedzi pani Teresa. – A co mi zostało z radości życia?".

Topografia klatki schodowej bloku numer osiem nie byłaby jednak kompletna bez kilku słów o lokatorce spod osiemnastki na trzecim piętrze, która mieszka tu nieprzerwanie od narodzin, czyli już 54 lata. Starsi, pamiętający jeszcze jej rodziców sąsiedzi co dzień zwracają się do niej „pani Małgosiu". – Ale wystarczy im w czymś pomóc, żeby od razu przeszli na czulsze „Małgoniu" – uśmiecha się Małgorzata.

Dziewczyny mają honor

Doświadczenie nauczyło ją, że jeśli chce na dziewiątą zdążyć do pracy, wychodzenie z domu musi rozpocząć już koło ósmej. Do urzędu ma niespełna kwadrans spacerkiem wzdłuż alei starych kasztanowców, które latem dają przyjemny chłód, a jesienią rozsypują jej pod nogami rudawo-złotą arabeskę. Dystans, który Małgorzata ma do pokonania każdego niemal ranka, trzeba jednak mierzyć bardziej w pionie niż w poziomie.

Przedwczoraj na przykład, opowiada, na schodach między pierwszym a drugim piętrem spotkała panią Alinę z trzeciego. Taszczyła zakupy w wózku na kółkach, odpoczywając na każdym półpiętrze. Małgorzata wniosła jej to pod drzwi, choć sąsiadka się upierała, że sama da radę. Porozmawiały chwilę pod drzwiami pani Ali, miała już lecieć dalej, ale wtedy z czwartego piętra zeszła pani Tereska i tubalnym głosem oznajmiła, że wybiera się do lekarza. Nie mogła zostawić jej samej, zeszły więc wspólnie na dół, a Małgorzata postała z nią jeszcze pod klatką, żeby się upewnić, że starczy jej oddechu na wyprawę do przychodni. Wtedy z zakupów przyszła pani Miecia. Czyli jeszcze jeden kurs, tym razem na drugie piętro i pięć minut kolejnej obowiązkowej pogadanki pod drzwiami, bo sąsiadki nie marnują żadnej okazji.

– Z mieszkania wyszłam pięć po ósmej. W pracy byłam ostatecznie za siedem dziewiąta – rozkłada ręce Małgorzata. – I tak praktycznie codziennie, o innej porze wyjść z domu nie mogę, bo do pracy mam na tę samą godzinę. Sąsiadki też mają swoje rutyny, choć niewykluczone, że planują niektóre obowiązki właśnie tak, żeby spotkać mnie niby przypadkiem. O pomoc żadna wprost nie poprosi. Dziewczyny mają honor.

Pomoc społeczna do bloku numer osiem nie zagląda. Całe 70-tysięczne miasto MOPS musi opędzić siedmioma pracownicami, więc żeby dostać wsparcie z gminy, trzeba leżeć plackiem i nie mieć na świecie nikogo, kto by mógł zapewnić pomoc. A sąsiadki Małgorzaty są wciąż na chodzie. Większość z nich ma też dzieci, tyle że mieszkające albo za granicą, albo w dużych miastach. Przyjeżdżają na święta. Albo gdy stanie się coś poważnego.

Pytanie, czy można by po prostu minąć sąsiadki z uprzejmym „dzień dobry", Małgorzata przyjmuje więc ze zdumieniem. – Nie ma takiej opcji – ucina.

„Zostań, ile chcesz"

Rok 1989. Ponure jesienne popołudnie. Od rana siąpi deszcz, osiemnastoletnia Małgorzata po szkole wraca więc prostu do domu. W progu wita ją podejrzana cisza. Mama o tej porze zwykle sprząta po obiedzie, słuchając radia. W ogóle źle się czuje w cichych pomieszczeniach. Dopiero wiele lat później dorosła Małgorzata zrozumie, że to przez ojca, który pewnego dnia po prostu zniknął z ich życia.

Nie czuć też zapachu ciepłego jedzenia. Dla mamy, która podczas wojny zaznała głodu, obiad to przecież świętość.

Narastający niepokój każe Małgorzacie ostrożnie zajrzeć do sypialni. Na wspomnienie reszty tamtego dnia złożą się już pojedyncze obrazy i sceny, jak kadry z surrealistycznego filmu.

Nienaturalnie wykrzywiona twarz mamy, która leży w łóżku zaplątana w kołdrę, jakby resztką sił próbowała się spod niej wydostać.

Zaciśnięte w pięść dłonie Małgorzaty, gdy wali po kolei do wszystkich drzwi na piętrze. I jej własny płacz, który niesie się po całej klatce.

Deseń bluzki pani Teresy, która tuli ją z całej siły, kiedy jacyś mężczyźni wynoszą ciało mamy na noszach. Plamki ↦

↦ po deszczu na mundurze milicjanta, który zadaje pytania o godzinę powrotu dziewczyny do domu i upewnia się, czy w mieszkaniu nic nie zginęło.

Wieczorem pani Teresa z czwartego piętra postawi przed nią talerz z kolacją i kubek gorącej herbaty. – Zostań, ile chcesz – zaproponuje.

Do swojego mieszkania wróci dopiero po pogrzebie. Nazajutrz po ceremonii pełnoletnia Małgorzata wkroczy też, jak wspomina, w dorosłość bez okresu przejściowego. Ucząc się do matury, będzie musiała główkować, za co opłacić rachunki.

Studia? W rachubę wchodzą tylko zaoczne, łączone z pracą. Do magisterki Małgorzata zresztą nie dotrwa. „Łapie doła", którego dziś nazwałaby depresją. Przestaje wychodzić z mieszkania. W tym trudnym momencie jedynym realnym wsparciem będą sąsiadki. Lokatorki bloku numer osiem tygodniowe wyżywienie Małgorzaty podzielą między siebie w niemal oficjalnym grafiku. Przez jakiś czas, jak kwoki, pilnują jej nawet na zmianę po nocach, żeby nie przyszło jej do głowy „coś głupiego". A kilkanaście lat później, gdy partner Małgorzaty pójdzie w ślady jej ojca, pomogą jej jeszcze raz posklejać życie do kupy. Pani Alina będzie odbierać jej syna z przedszkola. Rower naoliwi mu pan Krzysztof. Na szkolnej akademii w rolę babci wcieli się pani Teresa. Pani Mieczysława będzie o to nawet zazdrosna.

– Można to też nazwać długiem wdzięczności, tyle że to nie samo zobowiązanie i nie tylko wdzięczność – tłumaczy Małgorzata. – Wśród tych ludzi czuję się po prostu bezpieczna.

Czy wszystko gra?

Wędrując w górę klatki schodowej bloku numer osiem, można łatwo rozpoznać, które mieszkanie od wielu lat nie zmieniło lokatorów. W tych niedawno zasiedlonych na drzwiach widnieje tylko numer. Pod dziesiątką, piętnastką, pod numerem 23 i piętro wyżej, na drzwiach mieszkań 25 i 26 wciąż wiszą wizytówki z imionami i nazwiskami lokatorów. Klauzule RODO przegrały tu nierówny bój ze wspomnieniami lokatorek. Wymieniony z nazwiska Stanisław nadal jest z Aliną pod numerem 23. Krzysztof i Dorota, również pod nazwiskiem, koegzystują pod dziewiątką. Z Mieczysławą spod piętnastki nadal zameldowany jest pan Stefan, u którego przed laty antyszambrowała cała okolica, w nadziei, że załatwi przydział na telefon. Na najstarsze wizytówki nie wdarły się nawet współczesne normy poprawności, które lokatorkę nakazywałyby wymienić przed lokatorem.

Wieczorem śmieci lądują na klatce schodowej. Staruszki boją się, że zapomną ich nazajutrz idąc na zakupy i będą musiały wyjść z domu po raz drugi.

MAREK RABIJ

Małgorzata na swoich drzwiach również zawiesiła wizytówkę. Jak twierdzi, w akcie solidarności ze starszym pokoleniem, które w ten sposób wyraża też, być może podświadomie, zaufanie do sąsiadów. Na kartoniku wsuniętym w przezroczystą ramkę widnieje jednak tylko jej imię i nazwisko. Swoich wyborów nie chce, jak mówi, narzucać nastoletniemu już synowi.

Kuba coraz częściej wyręcza ją za to w tej części sąsiedzkich obowiązków, w których Małgorzata nie czuje się najlepiej. Owszem, zawsze chętnie pomoże w zakupach, doradzi, jak wypełnić wniosek do urzędu, ale w starciu z routerem Wi-Fi czy bebechami smartfona czuje się czasem tak samo bezbronna jak osiemdziesięciolatki. – Mamy więc nieformalną umowę, że akurat w sprawach technologii sąsiadkom wypada poprosić o pomoc. W innych za żadne skarby się nie przyznają, że jej potrzebują. Trzeba je zapytać. Kiedyś usłyszałam podejrzane hałasy na czwartym piętrze. Pukam do pani Ewy. W końcu otwiera, cała w pyle. Wyciągnęła starą wiertarkę męża i próbowała przewiesić półkę w łazience.

Klatka schodowa w starym bloku z wielkiej płyty to żywy organizm, który troszczy się o swoich mieszkańców. Nie ma tu miejsca choćby na niezdrową anonimowość, jaką zapewniają bezduszne nowoczesne apartamentowce. Ściany przenoszą każde skrzypnięcie krzesła o podłogę, głośniejsze chrząknięcie, wymianę zdań. Płacz bitej kobiety też nie przejdzie niezauważony przez którąś ze starszych pań, nawykłych do tego, że do sąsiada wolno zapukać w każdej sprawie i niemal o każdej porze. A tym bardziej gdy dobiegają od niego podejrzane odgłosy.

Ci nowi, jeszcze nieprzyzwyczajeni do panujących tu zwyczajów, są nimi zmęczeni i poirytowani. Najbardziej wkurzają się o worki ze śmieciami, które kilka sąsiadek zwykło wystawiać wieczorem na klatkę schodową.

– Ostatnio nowi na drugim piętrze zrobili o to awanturę pani spod trzynastki – wspomina Małgorzata. – Przy pierwszej okazji zaczepiłam ich i wyjaśniłam, że sąsiadka nie robi tego ze złośliwości. Boi się, że idąc rano na zakupy, zapomni śmieci i będzie musiała wyjść z domu po raz drugi.

Kilka tygodni po tej rozmowie sąsiad z drugiego piętra, wynosząc wieczorem śmieci, zapukał do staruszki obok i zabrał także jej worki. – W tym tempie – żartuje Małgorzata – za miesiąc lub dwa powiesi na drzwiach wizytówkę.

©℗ MAREK RABIJ

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC.
Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

OLGA

Drenda:

Po odczytaniu wiadomość ulegnie samozniszczeniu

Nie tak często się zdarza, by niełatwa literatura w przekładzie była czytana na wyścigi, a jednak od czasu do czasu któraś zdobywa, przynajmniej na chwilę, oddolną, tzw. wiralową popularność. Tak było w ubiegłym roku z „Mleczarzem" Anny Burns, powieścią w formie galopującego, niekończącego się monologu (co może nie brzmi zachęcająco, ale ma w sobie wciągającą moc). W największym skrócie: głównej bohaterce przyszło żyć w czasie i miejscu, w którym łatwo było zginąć, a do tego wiele zależało od subtelnych deklaracji wierności i przynależności.

Sama „Mleczarza" czytałam przede wszystkim jako książkę o potędze pogłoski. Niezależnie od tego, co robiła bohaterka i jaka była prawda, wszyscy inni wiedzieli lepiej. „Prawda" plotki opiera się na dążeniu do masy krytycznej: im więcej ludzi ją powtarza, tym bardziej wydaje się wiarygodna, choćby była kompletnie odklejona od rzeczywistości. Rzeczywistość jednak nie ma specjalnego znaczenia, dlatego tak trudno przebić się przez mgłę pogłosek. Zbyt wielu woli „wiedzieć lepiej".

Jak na ironię tym, co przyczyniło się do powodzenia polskiego wydania „Mleczarza", był nie tylko popisowy przekład Agi Zano, ale także przekaz z ust do ust – książka poradziła sobie bez intensywnych działań marketingowych, natomiast chętnie o niej mówiono, w internecie i poza nim. Niekoniecznie były to wypowiedzi pisane, co oznacza, że trudno znaleźć cyfrowy ślad tej sławy.

OLGA DRENDA

W „Mleczarzu" nie chodzi wcale o żadne mleko

Katherine Dee, specjalistka od cyfrowej etnografii, często powtarza, że za sprawą internetu wchodzimy w fazę wtórnej kultury mówionej. Polega ona na tym, że choć porozumiewamy się częściowo na piśmie, to przypomina ono mowę (jest prostsze i nieuporządkowane), że bardzo szybko tracimy z oczu kontekst wypowiedzi, bo wymiana informacji ma tempo i natężenie ulicznego gwaru, że łatwiej kogoś zapytać, niż samodzielnie coś wyszukać. Nawet jeśli wszystko, co wykonujemy w sieci, stanowi zapisywalne dane, to nie znaczy, że jesteśmy w stanie do nich dotrzeć. Tak, wszystko „zapisujemy na później", ale do tego nie zaglądamy. Dysponując narzędziem, które jeszcze niedawno opisywane było jako największe na świecie archiwum ludzkiej wiedzy, doszliśmy do momentu, w którym najlepiej polegać na najprostszych narzędziach, jak własna pamięć oraz ewentualnie ołówek i kartka.

„W internecie nic nie ginie"? Wolne żarty. Platformy społecznościowe dysponują legendarnie kiepskimi wyszukiwarkami. Same wyszukiwarki na skutek integracji z AI stają się zaś coraz mniej przydatne, to znaczy coraz trudniej w nich faktycznie wyszukiwać (teraz mają podpowiadać skondensowane „bryki" skompilowane z uśrednionych informacji).

Im bardziej internet opiera się na nawiązujących do siebie nawzajem łańcuchach wypowiedzi wideo, tym bardziej dosłownie staje się obiegiem kultury mówionej. Nagrania na TikToku błyskawicznie znikają i bez samodzielnego zanotowania trudno odtworzyć, co kto właściwie mówił, nawet jeśli zrobiło to na nas wrażenie. I tak, jak w raz zasłyszanej pogłosce, ryzyko, że coś przeinaczymy – przypadkowo lub wręcz celowo, jak to się teraz mówi, „dla fabuły" – pozostaje duże. Bo też rozrywka towarzyska czy ubarwianie sobie i innym życia jest jedną z podstawowych funkcji plotki, być może powszechniejszą niż kopanie pod kimś dołków czy intryganctwo.

Wspomniana diagnoza nieprzypadkowo wyszła od badaczki współczesnego folkloru (ta dziedzina od lat specjalizuje się w analizie przejawów kultury mówionej, w tym plotek i pogłosek). Dee odnotowuje bowiem konsekwencje zwrotu w stronę kultury ustnej dla tego, co uznajemy za prawdę. Jej zdaniem współczesny świat, przynajmniej w internetowym wymiarze, będzie coraz bardziej przypominał realia z „Mleczarza": za prawdziwe będzie uchodziło nie to, co da się sprawdzić, ani to, na co mamy dowody, lecz to, co do czego obowiązuje konsensus, co się częściej powtarza. Etnografowie i folkloryści znają ten temat, w końcu badają plotki czy legendy miejskie, które, choć nikt ich przez stulecia nie zapisał, w ludzkiej świadomości zachowały się jak ślady dinozaurów. To, co inni „wiedzieli lepiej", potrafi przetrwać o wiele dłużej niż prawda. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

OPINIE

MARSZ, MARSZ POLONIA

W świecie rozproszonej władzy, niepewnej prawdy i zatartej różnicy maszerowanie stało się najważniejszym sposobem wytwarzania iluzji tego, co było podstawą realności dawnej polityki: wspólnoty i celu.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Polityka lubi się powtarzać jeszcze bardziej niż historia. Boi się nowości i niespodzianek, więc jeśli już musi wymyślać jakieś formy zbiorowej aktywności, najchętniej proponuje jeszcze raz to samo. A że polityka polska lubi powtarzać się szczególnie, wręcz do znudzenia, w zasadzie nie powinno dziwić, że jej wiodący aktorzy znowu postanowili urządzić zawody w zbiorowym maszerowaniu.

Poloneza chcą zacząć

Jednak jest w tym coś zaskakującego. Tuż po ogłoszeniu przez środowiska prawicowe, że 12 kwietnia w Warszawie odbędzie się „Wielki Marsz z okazji tysiąclecia Królestwa Polskiego" i po poparciu tej inicjatywy przez Jarosława Kaczyńskiego, premier Tusk „w odpowiedzi" zapowiedział zorganizowanie 12 maja swojego „marszu patriotów" (a kilka dni później, na prośbę Rafała Trzaskowskiego zmienił datę na 25 maja, przed drugą turą wyborów prezydenckich).

Naprawdę? Znowu będziemy konkurować na liczbę nóg wydeptujących warszawskie ulice, znowu będziemy zamieniać „salon Warszawy" w podwórko, na którym chłopcy z placu Broni będą się napinać, by nadać znaczenie i powagę swoim podskokom?

Głównym punktem marszu w tysięczną rocznicę koronacji pierwszego króla Polski (z doczepionym dodatkiem pięćsetlecia Hołdu Pruskiego) ma być... próba bicia rekordu w liczbie par tańczących poloneza, który – o czym świat się właśnie dowiedział – jest „symbolem długości, siły, atrakcyjności i znaczenia polskiej kultury na świecie" (cytat z oficjalnej strony wydarzenia). Takiemu właśnie pomysłowi premier poważnego państwa, znajdującego się w bardzo poważnej sytuacji międzynarodowej, natychmiast nadaje szczególną rangę, proponując konkurencyjne chodzenie zbiorowe.

Najwyraźniej Donald Tusk uznał, że tak trzeba, że warto. I, niestety, miał rację, bo na każdym kroku widać, że choć w deklaracjach Polacy są zmęczeni nawalanką dwóch rządzących od 20 lat partii, to w praktyce wciąż ich ona wciąga. Kolejne ugrupowania, które uwierzyły, że polscy kibice polityczni nie chcą już „świętej wojny", szorują po sondażowym dnie, więc nic dziwnego, że wiodące siły narodu znów postanowiły dostarczyć mu ulubionej rozrywki, organizując wielką wiosenną ustawkę marszową.

Derby politycznych kibiców

Zbiorowe maszerowanie ulicami miast, a najczęściej jednego miasta – Warszawy – jest w Polsce znaczącą formą aktywności politycznej od niemal 20 lat. Po okresie wstrzemięźliwości związanej z żywą a kompromitującą pamięcią pochodów pierwszomajowych, w pierwszej dekadzie XXI stulecia tłumne i zorganizowane chodzenie po ulicach odzyskało swoją pozycję, do czego przyczynił się w głównej mierze sukces Marszu Niepodległości.

Jednak pionierami zbiorowych wędrówek ulicami miast jako podstawowych form mobilizacji zwolenników byli nie narodowcy, ale dokładnie ci sami politycy, którzy organizują tegoroczne derby marszowe.

Miesiąc przed tym, zanim przez centrum Warszawy przeszedł pierwszy Marsz Niepodległości, w sobotę 7 października 2006 r., odbyły się w stolicy nie dwa, ale trzy konkurencyjne marsze polityczne, wywołane przez bardzo podobną do tegorocznej sekwencję zdarzeń. Gdy rządzące wówczas od roku PiS zwołało wiec poparcia dla swojego rządu, PO odpowiedziała organizując Błękitny Marsz jego przeciwników. Na trzeciego dołączyła Liga Polskich Rodzin (czy ktoś jeszcze pamięta ten ówczesny odpowiednik Konfederacji?), będąca częścią koalicji rządowej, ale rząd kontestująca, która zorganizowała marsz „Białej Róży".

Tym razem jednak trzeci nie skorzystał na bójce dwóch wielkich: LPR wkrótce została zjedzona jako modelowa polityczna przystawka i *memento* dla innych ugrupowań zajmujących podobne pozycje, zaś uwaga zbiorowa skupiła się na rywalizacji największych antagonistów, którzy właśnie wtedy odkryli siłę maszerowania przeciwko sobie. Także dzięki niej, od 20 już lat spektakularne, POPiSowe zawody niewiele różnią się od rywalizacji Legia–Wisła czy Zagłębie–Ruch.

Marsz „Miliona Serc". Warszawa, 1 października 2023 r.

BEATA ZAWRZEL / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Zobaczyli, ilu ich jest

To trzeba podkreślić, bo łatwo uchodzi uwadze: Marsz Niepodległości, czy równie swego czasu skuteczne comiesięczne marsze smoleńskie, tylko pozornie są wydarzeniami tego samego rodzaju co marsze partyjne, takie jak „Błękitny" z 2006 r. i „Miliona Serc" z 2023 r., albo organizowane przez PiS „marsze patriotów". W pierwszym przypadku zachowany zostaje żywy związek z genealogią politycznych zjawisk, które nazywamy zwykle demonstracjami lub manifestacjami. Oba te widowiskowe słowa znaczeniowo wiążą się z okazywaniem, wystawianiem, uwidacznianiem czegoś. Ich odmiany polityczne polegają zasadniczo na wprowadzaniu w przestrzeń publiczną w formie masowych wystąpień ugrupowań, poglądów, przekonań, którym w tej przestrzeni odmawia się miejsca i które właśnie dla jego zdobycia wkraczają w nią dosłownie – przejmując władzę nad ulicami i placami. Przy okazji takie zbiorowe akcje mogą samym protestującym uświadomić ich istnienie jako podmiotu i siły politycznej, o czym śpiewał w „Murach" Jacek Kaczmarski: „zobaczyli, ilu ich, poczuli siłę i moc".

Klasycznymi wzorcami takich demonstracji są idące przez historię protesty przeciwko władzy o charakterze autorytarnym, negującej racje, a często wręcz i samo istnienie określonych grup społecznych czy etnicznych. Gdy w rosyjskiej Warszawie na plac Teatralny wychodzili polscy patrioci, a w komunistycznym Poznaniu czy Gdańsku zalewali ulice antykomunistyczni robotnicy, sama ich tłumna obecność negowała propagowany przez władzę obraz świata i przekreślała jej roszczenia do bycia czymś innym niż aparatem ucisku.

Bój się złego wilka

W społeczeństwie demokratycznym, zachowującym choćby względnie zasady wolnego słowa, manifestacje nadal mają podobne znaczenie, choć – na szczęście! – nie wiążą się z tak krwawymi konsekwencjami. Wielotysięczne przemarsze osób identyfikujących się z określonymi poglądami rozbijają natomiast dominujący dyskurs, kompromitują oficjalne interpretacje i hierarchie wartości, wymuszają – przynajmniej w jakimś stopniu – zmianę kierunku i charakteru debaty publicznej, a przez to także – decyzji politycznych.

Marsz Niepodległości osiągnął prawdziwy sukces, trwale wywracając liberalne przekonanie o anachroniczności tradycyjnej postawy bojowego patriotyzmu i nacjonalizmu, zwłaszcza w odniesieniu do młodzieży, która rzekomo miała być z zasady lewicowo-liberalna. Marsze smoleńskie skutecznie wprowadziły do publicznej agendy negowane przez dyskurs oficjalny interpretacje i emocje związane z katastrofą 10 kwietnia, sprawiając, że przynajmniej na jakiś czas media głównego nurtu przestały w osobach w nich uczestniczących dostrzegać wyłącznie oszołomów.

Zasada jest tu stosunkowo prosta: skoro żyjemy w świecie, w którym punkty skupienia uwagi i kierunki interpretacji wyznaczane są przez media powiązane w sposób oczywisty, choć niekoniecznie jasny, z ośrodkami politycznymi, to wielkie publiczne manifestacje stanowią sposób na wymuszenie zainteresowania tematami i wątkami, które owe media przedstawiają w sposób jednostronny, albo w ogóle nie dostrzegają.

Masowa demonstracja własnych poglądów, zwłaszcza wyposażona w dodatkowe „atrakcje" (chwytliwe hasła, transparenty, kreatywne mikroinscenizacje itp.), tworzy wydarzenie o znacznej nośności medialnej. Ma też i tę zaletę, że dobrze się pokazuje i opowiada, bo jest jednorazowa i wyrazista, a przede wszystkim posługuje się uproszczonymi komunikatami, ułatwiając mediom ich stałą pracę nad sprowadzeniem złożoności świata do prostych opozycji i jednowątkowych, klasycznie baśniowych narracji.

Można oczywiście nie zgadzać się z demonstrantami, że wielkim złym wilkiem jest Prezes lub Premier (w zasadzie to wszystko jedno), ale z pewnością i tak uda się zdobyć uwagę nas, czyli siedzącej przed ekranem Babci, która drży o to, co Czerwony Kapturek obiecał jej przynieść w koszyczku.

Jedność, tylko jaka

Powtarzam: POPiS-owe marsze partyjne tylko pozornie mają taki sam charakter i spełniają takie same funkcje. Bez względu na to, czy organizująca je partia jest w danym momencie w opozycji, czy tworzy trzon siły rządzącej, nie sposób przecież twierdzić, że jej narracja nie istnieje w debacie publicznej. Ani w roku 2006, ani w 2017 czy w 2023, ani dziś partie będące w opozycji nie są pozbawione dostępu do wielu narzędzi komunikacji społecznej. Oczywiście można

Posłuchaj „Tygodnika"!

IIElevenLabs

Już od teraz możesz odtworzyć wersję audio wybranych artykułów z aktualnego wydania „Tygodnika Powszechnego". Nasze najlepsze treści powierzyliśmy najnowocześniejszej technologii: dzięki współpracy z firmą ElevenLabs przeczyta je naturalnie brzmiący głos, wygenerowany przez sztuczną inteligencję. Premiera w każdy wtorek po południu w naszym serwisie. Sprawdź szczegóły na **TygodnikPowszechny.pl/audio**

Weź, słuchaj! – Tygodnik Powszechny

00:00 16:00

15 1.0x 15

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

narzekać, że główna stacja telewizyjna stanowi tubę propagandową rządu (co, niestety, zasadniczo nie zmieniło się po wyborach 2023 r.), albo że na rynku medialnym nie ma równowagi, ale w dobie internetu i mediów społecznościowych istnieje wiele sposobów na dotarcie z własnym „przekazem" do odbiorców.

Tyle tylko, że przekaz ten jest w swojej multiplikacji rozproszony, a jego odbiór silnie zindywidualizowany. Nie ma charakteru zbiorowego. Nie tworzy wspólnoty. A właśnie w imię wspólnoty występują aktorzy polityczni, wspólnotę chcą reprezentować. Wspólnotę, a nie partię, bo partia w swojej wpisanej w nazwę cząstkowości jest już w punkcie wyjścia skompromitowana w relacji do wciąż dominującego w społecznej wyobraźni dyskursu jednościowego.

Przekonanie, że „wszyscy Polacy" powinni na jakiś temat myśleć tak samo i w ten sam sposób działać; że coś powinno nas wszystkich łączyć, to paradoksalnie podstawa politycznej konkurencji dzielącej polskie społeczeństwo. Wszyscy zgadzają się, że jedność jest dobra i pożądana, ale zarazem kompletnie inaczej odpowiadają na pytanie, wokół czego owa jedność powinna być budowana. I to właśnie ten paradoks rywalizacji na jedność i wspólnotę nadaje takie znaczenie wielotysięcznym marszom.

Nie chodzi w nich o protest, nie chodzi o wystawienie jakiegoś nieobecnego lub źle obecnego w przestrzeni publicznej zestawu znaczeń, tematów czy wartości. Chodzi o rzecz jeszcze bardziej podstawową: osadzenie zbiorowości przybyłych osób w roli przekonująco zainscenizowanej wspólnoty. Tej jedynej prawdziwej.

Gdzie stoi Polska

Zapowiedzi tegorocznych marszów jasno to pokazują. Obie strony przedstawiają je jako „marsze patriotów", a więc ludzi, dla których najważniejszą wartością jest ojczyzna. Fundament rywalizacji stanowi to, co według naiwnej narracji powinno łączyć – wszak „Polska jest jedna", nieprawdaż? Tymczasem podstawowa lekcja partyjnych demonstracji brzmi zupełnie inaczej i wyraża się w skandowanym: „Tu jest Polska!". Tu, gdzie my – a nie tam, gdzie oni.

Marsze narodowo-partyjne nie są demonstracjami i manifestacjami rozumianymi klasycznie, jako wystąpienia ujawniające jakieś poglądy. Są natomiast modelowymi performansami wytwarzającymi podstawę życia politycznego – działającą wspólnotę. Nie chodzi o potwierdzenie poparcia dla określonych programów czy rozwiązań politycznych, ale o powołanie silnej i atrakcyjnej reprezentacji, z którą identyfikować się zechce jak największa grupa obserwujących.

> Wielkie marsze PO, choć jednoznacznie antypisowskie, operowały dyskursem uśmiechu i przyjmowały taneczny krok. Konkurenci poszli tą samą trasą.
> **Co niknie w patriotycznych pląsach?**

Dążenie do atrakcyjności i uruchomienia mechanizmów identyfikacyjnych sprawia, że marsze stopniowo tracą swoje wyjściowe i – wydawałoby się – nieuchronne ostrze rywalizacyjne. Przynajmniej w deklaracjach przestają być marszami przeciwko. Oczywiście wykorzystują logikę opozycji „tu" (Polska) – „tam" („ZOMO"), którą w roku 2006, na sześć dni przed wielką sobotą marszów, aż zbyt klarownie wypowiedział Jarosław Kaczyński. Być może zresztą dlatego, że logika została wypowiedziana i zapamiętana, nie jest w ostatnich latach podkreślana.

Dansing patriotów

Jeśli za dwa bieguny chodzonych wystąpień publicznych uznać dwa typy parad: wojskową i Równości, to polskie marsze partyjne ostatnich lat zbliżają się ku tej drugiej. A przecież teoretycznie bliskie im być powinny wzorce wojskowe i metafora oddziałów zwolenników gotowych do „walki o Polskę", idących, by zdobyć wrogą twierdzę.

Tymczasem ani PO, ani – co znamienne – PiS w swoich najnowszych zapowiedziach nie sięgają po ten typ obrazowania, chyba tylko częściowo dlatego, że skutecznie wykorzystuje go od lat Marsz Niepodległości („Armia Patriotów"). Powodem poważniejszym jest rezygnacja ze wspomnianej konkurencyjności, z wystawiania własnego marszu jako z założenia idącego przeciwko komuś lub czemuś, a nawet – za czyś lub za kimś. Marsze antyrządowe czy też te „dla życia i rodziny" to także inny subgatunek publicznego performansu politycznego niż marsze partyjne. Tym nie chodzi o dojście gdzieś: o jakiś cel, ku któremu się idzie. One same są celem, bo powołuje się je dla stworzenia atrakcyjnego obrazu wspólnoty niekonfrontacyjnej, pozornie niepotrzebującej przeciwnika dla własnego zaistnienia i działania.

To dlatego wielkie marsze PO, choć były jednoznacznie antypisowskie, tak chętnie operowały dyskursem radości, uśmiechu, życzliwości, a nawet pobłażliwości. Z przeciwników raczej się śmiano, niż im grożono, zaś sam marsz przyjmował krok coraz bardziej taneczny. Konkurenci najwyraźniej poszli w tę samą stronę i stąd pomysł na taneczny rekord.

„Prawdziwi patrioci" spotkają się 12 kwietnia w Warszawie nie po to, by zaprotestować przeciw komuś, ale by się radować „długością polskiej kultury na świecie", której fizyczną reprezentacją będzie właśnie polonezowy wąż. Wydarzenie reklamowane jest nie jak performans polityczny, ale jak patriotyczna wersja „Tańca z gwiazdami": „Weź żonę/męża czy partnerkę/partnera i bądź częścią tego historycznego wydarzenia!" – zachęcają organizatorzy, posuwając się w swej radosnej otwartości nawet do podważenia monopolu heteroseksualnego małżeństwa.

Zagłuszone przez tupot

Korona Polska tańcząca to istotnie nowy element historii marszowego wytwarzania wspólnoty narodowej. Ciekaw jestem, czy i jak Platforma odpowie na to wyzwanie, bo jeśli zorganizuje tylko marsz poparcia dla swojego kandydata i potępienia dla kandydata strony przeciwnej, to wyjdzie na ugrupowanie nienawistników, przed czym ucieka konsekwentnie od czasów Błękitnego Marszu z jesieni 2006.

Niezależnie jednak od tego, co w odpowiedzi na prawicowego poloneza zatańczy ugrupowanie rządzące, nie wydaje się, by po dwóch dekadach masowego chodzonego polskiego zanosiło się na jakąś przerwę. Teoretycznie wszyscy twierdzą, że czas się już zatrzymać, usiąść i pomyśleć chwilę, ale w praktyce zwycięża lęk przed tym, co można by usłyszeć, gdyby ucichł tupot tysięcy stóp.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
Do oclenia

Wypadałoby dziś omówić dwie sprawy. Ni stąd, ni zowąd globalnym i gigantycznym problemem stały się cła, zaś lokalnie nie sposób uniknąć choćby krótkiego podsumowania stanu emocjonalnego prezesa PiS, p. J. Kaczyńskiego. Choć temperatura kampanii wyborczej dopiero za moment zacznie rosnąć, to prezes już jest w stanie wrzenia, by nie rzec, że odparował na dobre.

Zacznijmy od oclenia całego świata przez obecnego prezydenta USA, p. D. Trumpa. Wszyscy jak tu ponuro siedzimy, należymy do tej kategorii turystów, którzy na lotniskach raźno idą ścieżką z napisem „nic do oclenia". Zdarzyło się nam jednak raz czy drugi pomylić drogę i wejść tam, gdzie nie trzeba. To znaczy do strefy rządzonej przez celników. Każdy, komu się to zdarzyło, wie, że tam żadnych żartów nie ma. Tłumaczenie, żeśmy się pomylili, że jesteśmy od rana pijani, że nie umiemy czytać, że nie wywozimy bądź nie wwozimy niczego podlegającego taryfom celnym – żadne z takich tłumaczeń nie działa. Zaczyna się zatem spektakularna, choć mozolna procedura, w dość specyficznym klimacie. Starannie dobrani pracownicy granicy celnej zawsze bardzo sumiennie i nader energicznie rozpoczynają z nami tzw. czynności. Ponieważ stosunkowo rzadko ktoś wpada im w ręce, jesteśmy dla nich nie lada okazją do wykazania się i profesjonalizmem, i służbistością. Słychać trzask wkładania gumowych rękawiczek i następuje obnażenie. Niekoniecznie mamy tu na myśli mus zzuwania trzewików i rozbierania się do rosołu, ale znalezienie się w krzyżowym ogniu zapytań podczas przeglądania zawartości walizki. Kontrola celna jest zawsze seansem psychologicznym. Z równą uwagą celnik liczy nasze skarpetki, co świdruje nas wzrokiem, bada poziom naszego spocenia i zlęknienia.

Piszemy o tym wszystkim dlatego, że grube oclenie, dajmy na to importowanych do USA aut, to dopiero początek zabawy. Mniemamy brawurowo, że clenie stanie się niebawem stałym elementem naszej codzienności, a celnicy będą strzec każdej dzielnicy, ulicy i domu. W takich chwilach człowiek jest zadowolony, że przeczytał w życiu to i owo, że zna nieco apokryfów z życia celników, a nadto może polecić mniej zorientowanym i przestraszonym bliźnim, by sobie przewertowali poważne lektury świata tego, w których celnicy grają, za przeproszeniem – może nie pierwsze, ale jednak – jakieś skrzypce, a więc i Stary, i Nowy Testament.

Nawiasem, nie mamy rozeznania, czy celnik jako postać emblematyczna, dwuznaczna, by nie rzec jednoznaczna, występuje też w innych świętych księgach planety, a to w Koranie bądź Trójkoszu. Ciekawe by było *collatio* działań tych funkcjonariuszy w kontekstach teologicznych, a więc ich udział w literaturze na temat najszerzej pojętego dobra i zła, wędrówki dusz, zbawienia, cierpienia. Słowem, można by poczytać o celnikach rzeczy poważniejsze, a nie tylko komunikaty, że komuś skonfiskowali auto, papierosy czy butelkę Wyborowej.

Jako się rzekło, jest teraz czas na choćby słowo o stanie umysłowym prezesa PiS. Grożenie bliźniemu publicznie śmiercią i dożywotnim więzieniem – do czego się posunął, jak wiemy, w parlamencie, a nie po pijanemu gdzieś w ciemnym zaułku – wydaje się końcem, ale i początkiem nowej epoki w naszym kraju. Jest to kolejne przekroczenie kolejnych granic i norm, choć wydawało się, że żadnych już przekroczyć się nie da. Mamy wrażenie, a może i pewność, że nadszedł czas, by solidnie oclić w Polsce używanie niektórych słów i porównań. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Zapraszamy do nowego newslettera **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**

Jest coś wyjątkowego w popołudniach – kiedy rzeczy ważne i nagłe mieszają się z tymi zupełnie przyjemnymi, dającymi moment wytchnienia.

I właśnie w tym momencie dnia przychodzimy do Państwa z naszym nowym newsletterem: oto **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**!

Chcemy, żeby było ono miejscem na chwilę oddechu, spojrzeniem na rzeczy, które są naprawdę ważne, poszukiwaniem wspólnie szerszej perspektywy.

zeskanuj i zapisz się!

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

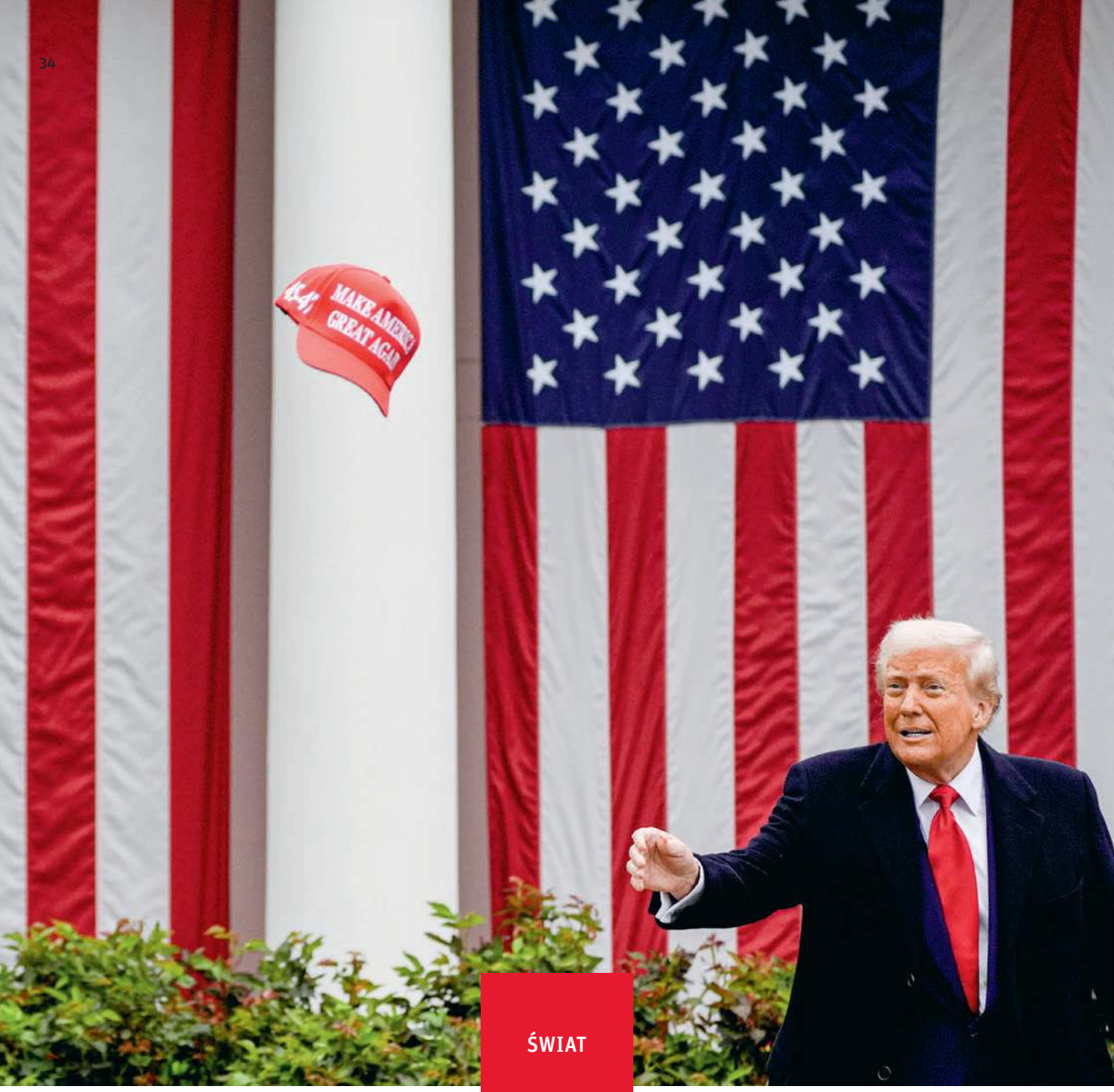

ŚWIAT

AMERYKA TO JA

Donald Trump poszerza granice władzy wykonawczej i atakuje kwestionujących to sędziów. Niektórzy alarmują, że USA są na drodze do kryzysu konstytucyjnego.

MARTA ZDZIEBORSKA

Sobota wieczór, 15 marca. Administracja Trumpa wysyła do Salwadoru samoloty, na pokładzie których jest ok. 250 imigrantów podejrzanych o przynależność do wenezuelskiego gangu Tren de Aragua. W międzyczasie sędzia federalny zakazuje tej deportacji i orzeka, że należy zawrócić samoloty, jeśli są już w powietrzu. Rząd to ignoruje. O godzinie 20.02, czyli 36 minut po wydaniu pisemnej decyzji sądu, pierwsza maszyna ląduje w Salwadorze. W zamian za 6 mln dolarów od rządu USA kraj ten zgodził się przetrzymywać migrantów przez rok w więzieniu o podwyższonym rygorze.

Prawnicy Departamentu Sprawiedliwości stwierdzą potem, że wszystko odbyło się zgodnie z prawem, gdyż samoloty wystartowały jeszcze przed opublikowaniem pisemnego nakazu, a nakaz ustny, który sędzia wydał w pierwszej kolejności o 18.45, miał „mniejszą" moc prawną. Jednocześnie administracja odmawia przekazania informacji o godzinie startu samolotów, twierdząc, że taki ruch „utrudniłby w przyszłości rządowi działania antyterrorystyczne".

Prezydent kontra sędzia

Tren de Aragua to groźna organizacja przestępcza i sędzia federalny nie miał zamiaru bronić domniemanych gangsterów. Chodziło o zasady: kontrowersje budzi decyzja o deportacji bez procesu sądowego. Zrobiono to na podstawie ustawy Alien Enemies Act jeszcze z 1798 r., rzadko używanej, która umożliwia przyspieszenie deportacji w sytuacji wojny lub inwazji na USA. Według administracji Trumpa „inwazję" stanowi tu obecność na terenie Stanów członków gangu uznawanego przez rząd USA za organizację terrorystyczną.

Sprawa miała ciąg dalszy. Pod koniec marca sąd apelacyjny podtrzymał tymczasowy zakaz deportacji Wenezuelczyków na podstawie Alien Enemies Act. O legalności całego działania orzekać ma w dalszej kolejności sędzia z Waszyngtonu James Boasberg. Ten sam, który nakazał w ostatniej chwili zawrócić samoloty i który jest dziś jednym z najbardziej znienawidzonych sędziów przez ekipę Trumpa.

Rzeczniczka Białego Domu nazwała Boasberga „aktywistą Demokratów", który nadużywa sędziowskich uprawnień. Prezydent orzekł zaś, że to „radykalny lewicowy szaleniec", i nawoływał na platformie Truth Social do wszczęcia wobec niego procedury impeachmentu (choć odwołanie sędziego jest możliwe jedynie w przypadku jego poważnych nadużyć). W obronie sędziowskiej niezależności stanął John Roberts, sędzia z konserwatywnego skrzydła Sądu Najwyższego USA. W oświadczeniu przestrzegł, że sięgnięcie po impeachment nie jest słuszną odpowiedzią na decyzję sądu, z którą ktoś się nie zgadza.

Testowanie granic

Spór o deportacje imigrantów to jeden z najbardziej dobitnych przykładów tego, jak Donald Trump testuje amerykański system sądownictwa. Podobnie jak za pierwszej kadencji, gdy sądy blokowały jego działania naruszające konstytucję lub prawo federalne.

Według wyliczeń agencji Associated Press, do początku kwietnia sądy wydały niemal 40 decyzji częściowo lub całkowicie blokujących działania nowej administracji. Na liście jest m.in. wstrzymanie zakazu służby wojskowej dla osób transseksualnych, nakaz przywrócenia do pracy urzędników federalnych zatrudnionych na okres próbny oraz zablokowanie dekretu o ograniczeniu tzw. prawa ziemi (dekret miał znieść możliwość przyznawania obywatelstwa dzieciom, które urodziły się w USA, ale ich rodzice nie mają prawa pobytu).

Sądy wstrzymały także tymczasowo cięcia w Agencji ds. Globalnych Mediów. To niezależna agencja federalna odpowiedzialna za nadzór nad Radiem Wolna Europa i rozgłośnią Głos Ameryki – mediami atakowanymi przez Trumpa już za jego pierwszej kadencji, bo nie podobało mu się, że dziennikarze finansowani ze środków federalnych krytykują rząd. Teraz, gdy nowa administracja zarządziła zwolnienia w Głosie Ameryki i wstrzymanie funduszy dla Radia Wolna Europa, sądy federalne orzekły, że nie można tego zrobić bez zgody Kongresu.

Testując granice swojej władzy, Trump wziął się także za rozbiórkę Departamentu Edukacji (stworzonego przez Kongres) i odwołał członków kilku niezależnych agencji regulacyjnych, w tym Federalnej Komisji Handlu odpowiedzialnej za egzekwowanie prawa antymonopolowego. Chce mieć nad tymi agencjami większy nadzór, choć mają one gwarantowaną częściową niezależność od władzy wykonawczej. Wszystkie te ruchy zostały zaskarżone w sądach.

Poszerzanie uprawnień

Demontując instytucje utworzone lub finansowane przez Kongres, Trump powołuje się na tzw. doktrynę jednolitej egzekutywy. Zakłada ona, że prezydent USA ma całkowitą kontrolę nad rządem federalnym, a mandat do tego daje mu szeroka interpretacja artykułu 2. konstytucji USA; stanowi on, że „władzę wykonawczą sprawuje prezydent".

Zwolennikami tej doktryny są autorzy „Project 2025", czyli przygotowanego przed wyborami przez środowiska konserwatywne planu przebudowy rządu USA, który teraz w wielu przypadkach pokrywa się z reformami Trumpa. Jeden z architektów planu, Russell Vought, jest dziś członkiem administracji (odpowiada m.in. za budżet federalny).

Teoria zakładająca poszerzanie prezydenckich uprawnień została spopularyzowana w latach 80. XX wieku przez prawników z administracji republikańskiego prezydenta Ronalda Reagana. Jak mówi „Tygodnikowi" Amanda Hollis-Brusky, politolożka z Pomona College, doktryna ta trafiła na podatny grunt w czasach, gdy po aferze Watergate wprowadzono reformy mające ograniczyć ryzyko prezydenckich nadużyć, jak ingerowanie w śledztwa dotyczące ludzi z najwyższych kręgów władzy.

Przypomnijmy, że afera Watergate zaczęła się w 1972 r. od aresztowania włamywaczy próbujących założyć podsłuch w siedzibie komitetu krajowego Partii Demokratycznej. Ówczesny prezydent Richard Nixon starał się utrudniać śledztwo w tej sprawie, nakazując zwolnienie prokuratora specjalnego Archibalda Coxa.

Amanda Hollis-Brusky dodaje, że teoria jednolitej egzekutywy, popularna w konserwatywnych kręgach prawniczych, ma dziś zwolenników wśród kilku sędziów Sądu Najwyższego. Sięgali po nią niekiedy, by uzasadnić szeroką interpretację zakresu władzy prezydenckiej. ↦

Na sąsiedniej stronie: Donald Trump po ogłoszeniu nowych taryf celnych, rzuca czapeczkę MAGA w Ogrodzie Różanym Białego Domu. Waszyngton, 2 kwietnia 2025 r.

KENT NISHIMURA / GETTY IMAGES

↦ Na to zapewne liczy teraz administracja Trumpa, gdy składa apelacje do dziewiątki najważniejszych sędziów w kraju, by uchylili m.in. wspomniany zakaz deportacji i dali zielone światło do ostatecznego zwolnienia urzędników będących na okresie próbnym.

W tej drugiej kwestii władza absolutna marzyła się Trumpowi już za pierwszej kadencji. Na końcówce rządów, w październiku 2020 r., podpisał dekret ułatwiający zwalnianie urzędników federalnych i obsadzenie ich posad lojalistami. Przepisy cofnął potem Joe Biden, a Trump przywrócił je po powrocie do Białego Domu.

Zdany egzamin (na razie)

Amanda Hollis-Brusky wylicza, że przykładów próby poszerzania władzy wykonawczej przez Trumpa za jego pierwszej kadencji było więcej. Zrywając z tradycją, której od dekad podporządkowywali się inni prezydenci, odmówił on ujawnienia swoich zeznań podatkowych. Jego administracja wielokrotnie ignorowała też wezwania do przekazania dokumentów lub składania zeznań przed komisjami Kongresu.

– Trump już wtedy testował, na ile może sobie pozwolić. Tym razem robi to jednak bardziej agresywnie – ocenia Amanda Hollis-Brusky.

Z politożką z Pomona College zgadza się Harold Hongju Koh, profesor prawa na Uniwersytecie Yale i były doradca prawny w Departamencie Stanu. – Za swoich pierwszych rządów Trump działał chaotycznie. Dziś działa według planu przygotowanego przez twórców „Project 2025", którzy twierdzą, że jakikolwiek opór członków rządu federalnego wobec działań prezydenta podważa doktrynę jednolitej władzy wykonawczej. Z kolei sprzeciw płynący spoza rządu ma naruszać zasadę trójpodziału władzy – tłumaczy Koh w rozmowie z „Tygodnikiem".

– Jeśli taka argumentacja zostanie zaakceptowana przez sądy, to będzie prosta droga do podeptania przez Trumpa zasady rządów prawa – przestrzega prawnik.

Koh dodaje, że na razie system sądownictwa zazwyczaj zdaje egzamin: – Zarówno sędziowie z nadania prezydenta z Partii Demokratycznej, jak i Partii Republikańskiej coraz częściej orzekają, że Trump próbuje wejść w kompetencje Kongresu lub sądów, naruszając tym samym konstytucyjną zasadę trójpodziału władzy.

> Trump chętnie cytuje zdanie przypisywane Napoleonowi Bonaparte: **„Kto ratuje swój kraj, ten nie łamie prawa".**

Pieniądze Muska nie pomogły

W swoich działaniach Trump może liczyć na gorliwych polityków Partii Republikańskiej. Kilka godzin po tym, jak wezwał do impeachmentu sędziego Boasberga (tego od lotów deportacyjnych), jeden z kongresmenów złożył wniosek o wszczęcie tej procedury. Podobny ruch – skazany na niepowodzenie, bo sędziego można odwołać, jak już powiedziano, jedynie w przypadku poważnych nadużyć – wykonano też wobec kilku innych sędziów.

Jednocześnie Republikanie z Izby Reprezentantów przymierzają się do głosowania nad ustawą zakazującą sędziom dystryktowym, czyli takim jak Boasberg, wydawania orzeczeń mających charakter ogólnokrajowy. Oliwy do ognia w tej dyskusji dolewa przewodniczący Izby Reprezentantów Mike Johnson: stwierdził, że Kongres ma prawo likwidować sądy dystryktowe (teoretycznie według konstytucji jest to możliwe).

W walkę z sądami angażowane są także pieniądze Elona Muska. Jak donosi dziennik „New York Times", miliarder zasilił finansowo kampanie o reelekcję siedmiu Republikanów popierających impeachment wobec sędziów niepokornych wobec Trumpa.

Musk wpompował też 25 mln dolarów w kampanię konserwatywnego sędziego Brada Schimela – kandydata w wyścigu do Sądu Najwyższego w stanie Wisconsin. Urząd ten obsadzany jest w głosowaniu powszechnym. Przegrana Schimela pogrzebała właśnie nadzieje na przeciągnięcie tego sądu na prawo, co dałoby Republikanom lepszą pozycję przy rozstrzyganiu sporów ideologicznych i tych związanych z prawami wyborczymi.

Pokusa naginania systemu pojawia się też w kontrolowanych przez Republikanów parlamentach stanowych. Np. w Montanie pojawiła się propozycja, by sędziów do tamtejszego Sądu Najwyższego wskazywał gubernator stanu, a nie jak dotąd mieszkańcy w wyborach powszechnych. Republikanie w Utah przebąkują z kolei o powołaniu specjalnej komisji parlamentarnej, która miałaby oceniać pracę sędziów i opiniować, czy należy im się wyborcza reelekcja.

W stronę autorytaryzmu?

Pierwsze miesiące rządów Trumpa upłynęły nie tylko pod znakiem ataków na sądy, ale także na uczelnie, kancelarie prawne zaangaażowane w pozwy przeciw nowej administracji oraz media. W przypadku tych ostatnich na celowniku znaleźli się dziennikarze, którzy relacjonują wydarzenia w Białym Domu. W połowie lutego Trump zakazał agencji Associated Press wstępu do Gabinetu Owalnego za to, że używa w swoich tekstach nazwy „Zatoka Meksykańska", a nie, jak on chce, „Zatoka Amerykańska". W Białym Domu mile widziani są za to przyjaźni dla prezydenta prawicowi podkasterzy.

Cytowany przez dziennik „Guardian" były konserwatywny sędzia federalny J. Michael Luttig stawia tezę, że być może Trump jest bardziej butny niż za pierwszej kadencji, bo ma w pamięci werdykt Sądu Najwyższego z 2024 r. Stosunkiem głosów 6:3 sędziowie orzekli, że jest on częściowo chroniony immunitetem przed zarzutami dotyczącymi próby nielegalnego utrzymania się przy władzy.

Trump, który mimo licznych problemów prawnych wygrał wybory i wrócił do Białego Domu, cytuje dziś w social mediach przypisywane Napoleonowi Bonaparte zdanie: „Kto ratuje swój kraj, ten nie łamie prawa".

Jak bardzo ten populista i narcyz pociągnie Amerykę w stronę autorytaryzmu? Niektórzy alarmują, że kraj już jest na drodze do kryzysu konstytucyjnego, a za kilka lat po amerykańskiej demokracji liberalnej może nie być już czego zbierać. © MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

OLENA KOLODA / GETTY IMAGES

Wyrobisko w kopalni grafitu, obwód kirowohradzki. Ukraina, 28 lutego 2025 r.

Ile kosztuje wsparcie Trumpa

MACIEJ ZANIEWICZ Z KIJOWA

Surowce stały się kluczową kartą przetargową w relacji między Ukrainą a nową administracją USA. Co to za złoża? O co toczy się gra?

Miejscowość Irszańsk w obwodzie żytomierskim to kilkutysięczne osiedle typu miejskiego – czyli trochę wieś, a trochę miasteczko. W jego okolicy, pośród księżycowego krajobrazu, pracują wielkie gąsienicowe urządzenia, które wyglądają jak z sowieckiej adaptacji „Diuny": wygrzebują w ziemi coraz większą dziurę.

Pierwsza ruda tytanu została tutaj wydobyta w połowie lat 50. XX w. Dziś miejsca takie jak Irszańsk, po części zapomniane i niedoinwestowane, są w centrum politycznej uwagi – i mogą przesądzić o dalszym amerykańskim zaangażowaniu w pomoc dla Ukrainy.

RYZYKO ZALEŻNOŚCI | Ukraina już teraz wydobywa takie minerały jak tytan, mangan czy grafit. Wszystkie zostały uznane przez Komisję Europejską za surowce krytyczne, tj. niezbędne dla rozwoju kluczowych sektorów, jak energetyka, obronność, przemysł kosmiczny i cyfrowy. Na liście są 34 pozycje. Podobny spis sporządziły Stany Zjednoczone.

Problem w tym, że obecnie rynek surowców krytycznych zdominowany jest przez Chiny. Zaspokajają one ok. 60 proc. zapotrzebowania krajów Unii oraz Stanów. Ale w przypadku metali ziem rzadkich, które są podgrupą surowców krytycznych, unijna zależność od Chin wynosi dziś niemal 100 procent.

To uzależnienie budzi coraz większy niepokój zachodnich polityków. Bo jeśli Europa i USA mają pozostać konkurencyjne i innowacyjne, będą potrzebować coraz więcej tych surowców. A jeśli nie znajdą się nowe źródła dostaw, Chiny będą mieć tutaj zdecydowaną przewagę – i gospodarczą, i w efekcie także polityczną – nad Zachodem.

NOWA FILOZOFIA | Ukraina ma świadomość rosnącej roli surowców krytycznych. Zanim jeszcze Trump wrócił do Białego Domu, w pięciopunktowym „Planie Zwycięstwa dla Ukrainy", który Wołodymyr Zełenski przedstawił w październiku 2024 r., znalazło się miejsce dla współpracy z zachodnimi partnerami przy ich wydobyciu.

Mapa z olbrzymimi połaciami ukraińskiej ziemi, zasobnymi w niemal wszystkie surowce, zaczęła krążyć po redakcjach świata. Sam Zełenski prezentował ją w Kijowie zagranicznym delegacjom, a państwowa agencja geologiczna przygotowała folder zachęcający przyszłych inwestorów.

Wraz ze zmianą w Białym Domu, nadejściem Trumpa i pojawieniem się jego nowej filozofii „robienia biznesów", Ukraina postanowiła zaprząc swoje złoża do celów politycznych. Inicjatywa wyszła z Biura Prezydenta i zakładała, że w zamian za gwarancje bezpieczeństwa Stany uzyskają udział w ukraińskich złożach.

GWARANCJE ZNIKAJĄ | Plan wydawał się zręczny: Trump będzie mógł ogłosić, że ugrał konkretny deal z wyraźnym zyskiem dla Ameryki (w przeciwieństwie do Joego Bidena), podczas gdy Ukraina będzie mieć Stany po swojej stronie w negocjacjach z Rosją – wraz z dalszym ↦

KOSTIANTYN LIBEROV / LIBKOS / GETTY IMAGES

Kopalnia metali ziem rzadkich w obwodzie żytomierskim. Ukraina, 25 lutego 2025 r.

↦ wsparciem militarnym i gwarancjami bezpieczeństwa.

Jednak Amerykanie zmienili i reguły, i stawkę. Z projektu umowy w ich wersji zniknęły gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy, a surowce krytyczne zostały rozszerzone na wszystkie (*sic!*) surowce, łącznie z ropą i gazem.

Ostatecznie stronom nie udało się znaleźć konsensusu, pod koniec lutego obaj prezydenci starli się w Gabinecie Owalnym, na początku marca USA wstrzymały pomoc wojskową. Potem spór załagodzono, pomoc znów ruszyła. Od tego czasu Trump co jakiś czas powtarza, że umowa zostanie wkrótce podpisana – ale na razie kończy się na słowach.

ZA CENĘ SUWERENNOŚCI? | Tymczasem kolejna wersja umowy, zaproponowana przez Biały Dom jako ostateczna, zakłada, że zyski ze wszystkich inwestycji wydobywczych mają być dzielone po połowie, a dotychczasowa pomoc USA dla Ukrainy zostanie uznana za wkład w inwestycję (czyli *de facto* za pożyczkę). Wspólna spółka zarządzająca inwestycjami miałaby nawet podatki płacić w USA.

To nie wszystko. Amerykanie poszli o krok dalej – i, jak się zdaje, o krok za daleko. Jeśli Kijów podpisze umowę w takim kształcie, wszystkie inwestycje energetyczne i infrastrukturalne w Ukrainie będą podlegały prawu pierwokupu przez spółkę kontrolowaną przez Stany. Chcecie budować rafinerię albo gazoport w Odessie, np. z udziałem Polaków? OK, ale najpierw pokażcie nam plany, a jeśli to będzie opłacalne, nie zrobicie tego bez nas.

Wątpliwe, by taka umowa została podpisana przez Ukrainę. Po starciu z Trumpem rankingi Zełenskiego wśród Ukraińców poszły w górę, prezydenta wsparła nawet opozycja. Ukraińcom podoba się jego asertywność, a zgoda na warunki, które media (także zachodnie) określają jako „grabieżcze" i „pozbawiające Ukrainę suwerenności", uderzyłaby w jego pozycję. Wątpliwe też, by taką umowę ratyfikował ukraiński parlament. Tymczasem bez niego prezydent może podpisać co najwyżej niezobowiązujące memorandum.

O CO TA GRA? | Z folderu dla inwestorów, który opublikowała ukraińska agencja geologiczna, można wyczytać, że kraj „posiada 22 z 50 surowców uznanych przez USA za krytyczne oraz 25 z 34 uznanych przez UE za krytycznie ważne". Ponadto ma mieć największe w Europie złoża grafitu, tytanu, litu, berylu czy uranu. Łącznie ukraińska ziemia ma skrywać aż 5 proc. światowych złóż surowców krytycznych.

Problem z prezentowanymi przez Ukrainę danymi polega jednak na tym, że nikt ich nie weryfikuje. Informacje o bogatych złożach pochodzą często jeszcze z czasów sowieckich i jedynie nieliczne były sprawdzane w ostatnich dekadach. Nikt nie weryfikował nowych złóż zwłaszcza pod kątem opłacalności wydobycia. Tymczasem cała procedura ich zbadania wymaga czasu i zagranicznego kapitału.

Największym wyzwaniem byłby jednak następny krok: budowa nowej ko-

Nadal pomagamy walczącej Ukrainie

39 agregatów prądotwórczych, 10 stacji zasilania, 4 koagulatory (urządzenia chirurgiczne do zamykania ran), 5 noszy próżniowych do ewakuacji, urządzenia do dezynfekcji narzędzi chirurgicznych w warunkach polowych (10 sztuk), podgrzewacze do płynów infuzyjnych (13 sztuk), podkłady chłonne (210 kg). Łącznie prawie 4 tony pomocy.

To wszystko – dary czytelniczek i czytelników „Tygodnika", którzy odpowiedzieli na nasz apel – pojechało ostatnio w dwóch transportach, w grudniu i lutym, na Ukrainę. Trafiły do szpitali polowych, kompanii medycznych na froncie i jednostek frontowych (w tym dwa mocne agregaty do jednostek obrony przeciwlotniczej na wschodniej Ukrainie).

„Dziękujemy, że jesteście z nami" – słyszeliśmy w rozmowach. „Dziękujemy narodowi polskiemu" – mówiły lekarki ze szpitala polowego w Pawłohradzie, do którego trafiają ranni spod Pokrowska.

Nasza akcja trwa. Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik" jej patronuje.

Numery kont:
– w złotówkach:
20 1090 2590 0000 0001 5044 0623
– w euro:
64 1090 2590 0000 0001 5044 0898
Odbiorca:
Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka.
www.inicjatywasasiedzka.org
(darowiznę można odliczyć od podatku)

Dziękujemy!
„Tygodnik Powszechny"
i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

palni. Tutaj od podjęcia decyzji do osiągnięcia pełnych mocy produkcyjnych potrzeba około siedmiu lat. W tym czasie konieczne jest to, co w Ukrainie dziś deficytowe: pewność, że na plac budowy nie spadnie rosyjska rakieta; ciągłe dostawy energii; stabilne otoczenie prawne. Krótko mówiąc: konieczny jest pokój i reformy.

KOT W WORKU? | Podczas rozmów z ukraińskimi ekspertami wskazują oni jednak rozwiązanie alternatywne wobec budowy nowych kopalń i stąd bardziej perspektywiczne: doinwestowanie już działających przedsięwzięć, takich jak irszańska kopalnia tytanu.

Tu zastrzyk finansowy mógłby skutkować zwiększeniem nie tylko produkcji tytanu, ale też współwystępującego cyrkonu (to surowiec krytyczny na liście USA, niezbędny m.in. w przemyśle jądrowym). Podobnie rzecz wygląda w przypadku eksploatowanych złóż grafitu.

Jednak rekomendacje ekspertów nie znajdują odzwierciedlenia w zainteresowaniu biznesu. Ukraińska spółka wydobywcza UMCC, która eksploatuje kopalnię w Irszańsku, została sprywatyzowana w październiku 2024 r. Jedyną ofertę, na sumę ok. 100 mln dolarów, złożył azerski biznesmen posiadający już w kraju sieć komórkową Vodafone Ukraine. Żadna firma z Europy czy USA nie złożyła oferty.

Do pewnego stopnia temat ukraińskich surowców krytycznych przypomina więc historię z „Teksasem Europy", którym, jak sądzono jakiś czas temu, Polska miała się stać dzięki olbrzymim pokładom gazu łupkowego. Wówczas to warunki geologiczne, bardziej skomplikowane niż zakładano, przekreśliły ambitne plany.

Przez kilka lat temat polskich łupków był jednak rozdmuchiwany przez media, na czym zresztą zależy teraz Ukrainie w kwestiach surowcowych. Im więcej mówi się o jej potencjale wydobywczym, tym większe szanse, że Trump kupi tego kota w worku.

NIE TYLKO SUROWCE | Jednak apetyt Trumpa, gdy idzie o Ukrainę, sięga dalej. Choć negocjacje surowcowe wciąż trwają, Amerykanie rzucili na stół kolejną „propozycję": w rozmowie z Zełenskim prezydent USA miał zaproponować przejęcie na własność ukraińskich elektrowni jądrowych, argumentując, że byłaby to najlepsza ich ochrona.

Państwowa spółka Enerhoatom jest prawdziwym srebrem rodowym Ukrainy: zarządza trzema siłowniami i w dużej mierze dzięki nim kraj wciąż ma prąd (czwarta, Zaporoska Elektrownia Jądrowa, od marca 2022 r. jest pod rosyjską okupacją i nie produkuje energii).

Ukraina szybko zdementowała informacje przekazane w komunikacie Białego Domu, jakoby rozmawiano o „elektrowniach", tj. w liczbie mnogiej. Zdaniem Ukraińców mowa była tylko o Zaporoskiej Elektrowni: w jej przypadku wejście Amerykanów, w takiej czy innej formie, mogłoby być sposobem na odzyskanie jej z rąk Rosjan.

Taki układ odpowiadałby Ukrainie, gdyż obecnie nie ma perspektyw na wyzwolenie tego terytorium siłą i odzyskanie kontroli nad tą największą w Europie elektrownią jądrową (zaspokajała 20 proc. potrzeb kraju). Amerykańska kontrola nad nią dałaby szansę na wznowienie przez nią pracy i wciągnęłaby fizycznie USA na samą linię frontu.

Z tego też powodu szans na to porozumienie nie ma. Rosja już odniosła się do tej opcji, twierdząc, że Zaporoska Elektrownia należy do niej. Z kolei Amerykanie zapewne będą domagać się kontroli jedynie nad elektrowniami działającymi i zarabiającymi.

GDY LICZY SIĘ DEAL | Celem Rosji jest obalenie ładu międzynarodowego, który opiera się na poszanowaniu suwerenności wszystkich narodów bez względu na to, jak są silne. W nowym systemie decydować miałyby tylko mocarstwa – i brutalna siła.

Z kolei po stronie USA w poprzednim świecie, tym przed nadejściem Trumpa, zasadą polityki zagranicznej Stanów była obrona dotychczasowego ładu, a więc siłą rzeczy powstrzymywanie Rosji. To wystarczało, by uzasadnić wspieranie Ukrainy. Jednak teraz, w nowym świecie, liczy się deal: Stany mają jak najwięcej zarobić.

Surowce krytyczne miały załatwić tę sprawę dla Ukrainy. Mglista perspektywa ich wydobycia w zamian za gwarancje bezpieczeństwa wydawała się doskonałym planem. Apetyt Amerykanów okazał się jednak większy. Teraz Ukraina jest przyparta do muru. Administracja Trumpa nie ma skrupułów, wobec czego Kijów gorączkowo szuka sreber rodowych na sprzedaż.

Może się jednak okazać, że nie ma takiego dealu, który przekonałby Trumpa do dalszego wspierania Ukrainy. Nie dość bowiem, że jego wizja świata (w którym decydują najsilniejsi) jest zbieżna z wizją Putina, to Kreml ma też swoją ofertę biznesową, może bardziej atrakcyjną niż ukraińska. Aby doszło tu do dealu, wystarczy tylko, bagatela, znieść sankcje... © MACIEJ ZANIEWICZ

Tekst ukończono 3 kwietnia.

Eldorado nad Dnieprem

UKRAINA JEST ZASOBNA nie tylko w surowce krytyczne, w tym metale ziem rzadkich, ale też węglowodory, jak ropa i gaz. Zwłaszcza w kontekście surowców krytycznych brak jest jednak wiarygodnych i aktualnych danych dotyczących zasobności złóż i opłacalności ich eksploatacji. Znane jest ich położenie, ale konieczne są dodatkowe badania geologiczne.

Orientacyjne szacunki mówią, że ukraińska ziemia skrywa złoża o wartości nawet 26 bilionów dolarów, z czego 12 bilionów to wartość surowców krytycznych. Wśród nich są:

GRAFIT: 6 proc. światowych złóż, największe zasoby w Europie (nie licząc Rosji); **LIT:** 1 proc. światowych złóż, największe zasoby w Europie (nie licząc Rosji); **TYTAN:** 1 proc. światowych złóż, największe zasoby w Europie (w pierwszej piątce na świecie); **URAN:** 2 proc. światowych złóż, największe zasoby w Europie (w pierwszej dziesiątce na świecie), pozostałe: metale ziem rzadkich, złoto, nikiel, miedź, cynk, rtęć, kobalt czy mangan.

Na terenach okupowanych przez Rosję może znajdować się nawet 50 proc. tych zasobów.

Do wszelkich danych należy tu jednak podchodzić z wysoką rezerwą. Rozbieżności w danych sięgają nawet kilkunastu miliardów dolarów. © MZ

ATTILA KISBENEDEK / AFP / EAST NEWS

Orbán i Netanjahu podczas wizyty premiera Izraela na Węgrzech; na pierwszym planie węgierska kompania honorowa. Budapeszt, 3 kwietnia 2025 r.

Nowi sojusznicy Izraela

MAREK MATUSIAK

Oskarżane o zbrodnie wojenne w Gazie, władze Izraela odpowiadają zarzutem antysemityzmu wobec każdej krytyki – i wyciągają rękę do światowej narodowej prawicy. W żydowskiej diasporze budzi to opór.

Lista obecnych i nieobecnych była znamienna. Z udziału w tej jerozolimskiej konferencji zrezygnował naczelny rabin Wielkiej Brytanii. Nie przyjechali też przedstawiciele wiodących organizacji diaspory żydowskiej – takich jak Europejski Kongres Żydowski, Europejska Konferencja Rabinów, Amerykański Komitet Żydowski czy Liga przeciw Zniesławieniom.

Byli natomiast Jordan Bardella, lider francuskiego Zjednoczenia Narodowego (ugrupowania dynastii Le Penów), i eurodeputowana Marion Maréchal (wnuczka Jeana-Marie Le Pena, aspirująca do bycia „kontynuatorką jego misji"). Byli delegaci ugrupowań narodowych z Hiszpanii (Vox), Holandii (Partia Wolności), Węgier (Fidesz) i Szwecji (Szwedzcy Demokraci). Jak też przedstawiciele europejskich prawicowych mediów.

Prócz nich stawili się reprezentanci ruchu MAGA ze Stanów Zjednoczonych, a nawet postaci tak nieoczywiste jak Milorad Dodik (prorosyjski separatystyczny serbski polityk z Bośni i Hercegowiny, obłożony sankcjami USA) czy były prezydent Paragwaju Horacio Cartes (także pod sankcjami).

„Pieczęć koszerności"

Wydarzenie, o którym mowa, to konferencja o walce z antysemityzmem, zorganizowana pod koniec marca w Izraelu pod hasłem „Ambasadorowie prawdy". Jej inicjatorem były władze państwowe, a głównym mówcą premier Netanjahu.

Przedsięwzięciu od początku towarzyszyły spory, a długa lista nieobecnych nie była przypadkowa. Zaproszenie europejskiej prawicy spotkało się nie tylko z bojkotem ze strony wielu organizacji żydowskich, ale też z ich – nieczęstą – publiczną krytyką pod adresem izraelskiego rządu.

Ariel Muzicant, prezes Europejskiego Kongresu Żydowskiego (EJC), stwierdził, że jest to „cios w plecy europejskiego żydostwa". W liście do „Jerusalem Post" wyjaśniał: „Od 80 lat walczymy z antysemityzmem, negowaniem Holokaustu i konsekwencjami Szoa. Partie skrajnie prawicowe w Europie były w tej walce naszymi najgorszymi przeciwnikami. Wielu ich funkcjonariuszy i liderów wspierało negowanie Holokaustu i promowało antysemickie stereotypy".

Muzicant dodał, że choć niektórzy przedstawiciele tych środowisk deklarują dziś wsparcie dla Izraela, to „ich motywacją do przyjazdu na konferencję nie jest miłość do Izraela ani ochrona Żydów, ale chęć zdobycia pieczęci koszerności". Podkreślił też, że ugrupowania te często kwestionują zasady liberalnej demokracji, praworządność, a także prawa człowieka czy wolność prasy. Wartości te są zaś – jak pisał – dla żydowskich społeczności w diasporze „tlenem niezbędnym do przetrwania".

Lewica i „upadek Zachodu"

Mimo krytyki ze strony tak diaspory, jak i (topniejącej) liberalnej części izraelskiej opinii publicznej, konferencja odbyła się zgodnie z planem i – obok kontrowersyjnych gości – zgromadziła działaczy i aktywistów z Europy, USA, Kanady, Australii czy RPA.

Otworzyło ją nagranie, w którym jako „ambasadorowie prawdy" przedstawieni zostali – ze względu na ich proizraelskie wypowiedzi – m.in. holenderski polityk Gert Wilders, prezydent Donald Trump, prezydent Argentyny Javier Milei oraz premier Viktor Orbán.

Następnie gospodarz wydarzenia – minister Amichaj Szikli, odpowiedzialny m.in. za kontakty z diasporą – powitał uczestników i przeprosił prawicowych delegatów z Europy „za kłamstwa szerzone na ich temat" przez oszczerców państwa Izrael; wśród tych rzekomych oszczerców wymienił liberalną izraelską gazetę „Haaretz".

Swoje przemówienie Szikli poświęcił głównemu zagrożeniu dla współczesnego świata, jakim w jego ocenie jest radykalny islam (względnie „islamo-nazizm"). Ideologia, która – jak twierdził – jest obecna w Koranie i sięga korzeniami początków historii islamu, a obecnie szerzy się nie tylko na Bliskim Wschodzie, ale też w Europie.

To ostatnie za sprawą imigrantów i europejskiej lewicy, która reprezentuje „moralny upadek Zachodu". Na zakończenie Szikli wezwał Europę do naśladowania Trumpa i „natychmiastowego wydalenia popleczników Hamasu i Hezbollahu", jak

też obcięcia finansowania dla uniwersytetów, które ich tolerują.

Premier Netanjahu w swoim wystąpieniu dziękował obecnym, że „stoją po stronie sił cywilizacji, przeciw siłom barbarzyństwa". Stwierdził, że wirus antysemityzmu – pokonany 80 lat temu – odrodził się za sprawą islamistycznych nosicieli w Iranie, Jemenie, Libanie i Gazie. Ostrzegł wreszcie: „Podczas gdy my walczymy z antysemickimi siłami wokół Izraela, płomienie antysemityzmu szaleją w sercu cywilizacji zachodniej. Szaleją w stolicach Europy, w zachodnich mediach, w mediach społecznościowych i na elitarnych uniwersytetach w Ameryce".

Uprawniona krytyka czy już antysemityzm?

Dlaczego warto przyjrzeć się tej konferencji? Ponieważ kontrowersje jej towarzyszące dotykają pytań o to, czym jest współczesny antysemityzm, a także o to, kto może i powinien być sojusznikiem w walce przeciw niemu.

Władze Izraela rozmawiać chcą dziś przede wszystkim o tzw. nowym antysemityzmie. Czyli tym, który ma być wymierzony w Państwo Izrael, będące – według często powtarzanego określenia – „kolektywnym Żydem pomiędzy narodami".

„Nowy antysemityzm" nie ma jednej definicji, a sama jego koncepcja jest sporna. Budzi bowiem obawy o jej instrumentalizację w celu uciszania krytyki. Poza tym mowa tu jednak o państwie rozwiniętym, bogatym, z bronią nuklearną i jedną z najnowocześniejszych armii na świecie, wspieranym dodatkowo przez potęgę USA. A zatem takim, które potencjał zniesienia krytyki (choćby nawet i „nieproporcjonalnej") ma wyjątkowo wysoki.

W uproszczeniu jednak stwierdzić można, że „nowym antysemityzmem" byłaby np. delegitymizacja izraelskiej państwowości jako takiej, stosowanie wobec Izraela standardów rażąco innych niż te stosowane wobec innych państw czy np. porównywanie go do III Rzeszy.

Problem jednak w tym, że wobec potępień spadających dziś na państwo żydowskie w związku z jego – udokumentowanymi (także przez izraelskich żołnierzy) – zbrodniami wojennymi w Gazie, z otwarcie formułowanym zamiarem wygnania z Gazy jej mieszkańców, z kolonizatorską polityką na Zachodnim Brzegu, władze Izraela za „antysemityzm" uważają już nie tylko krytykę „nieproporcjonalną", ale *de facto* każdą krytykę.

Nowi wrogowie...

Antysemicki zatem i niewiarygodny jest – z perspektywy Netanjahu – np. cały system ONZ. Włącznie z jego sekretarzem generalnym António Guterresem, a także jego agencjami i funduszami, w tym Światową Organizacją Zdrowia, Światowym Programem Żywnościowym, Biurem ds. Koordynacji Pomocy Humanitarnej czy agendą ds. dzieci UNICEF. W logice tej antysemickie są też – krytyczne wobec Izraela – takie kraje UE jak Irlandia, Hiszpania, Belgia czy Słowenia. Antysemicki jest Czerwony Krzyż i Czerwony Półksiężyc, a także Międzynarodowy Trybunał Karny (z powodu wydania nakazu aresztowania Netanjahu).

Niewiarygodne, bo rzekomo naznaczone uprzedzeniem, są dla władz Izraela organizacje humanitarne (Lekarze bez Granic, Oxfam, Save the Children) i te skupione na prawach człowieka: światowe (Amnesty czy Human Rights Watch), jak i izraelskie. Wrogami prawdy są – według władz w Jerozolimie – media międzynarodowe, jak choćby brytyjskie BBC, Channel 4 i „Economist", a także część mediów izraelskich (jak wspomniany „Haaretz").

No i, naturalnie, niewiarygodni są Palestyńczycy – w ogóle, wszyscy, niezależnie od tego, gdzie mieszkają, jakie mają poglądy i co myślą o Hamasie.

Wyliczankę można ciągnąć. W skrócie: żadne instytucje ani żadne źródła informacji nie są wiarygodne, o ile nie są to instytucje izraelskie albo te wprost przez władze Izraela aprobowane.

...i nowi sojusznicy

„Ambasadorami prawdy" są natomiast – dla kontrastu – wszyscy ci, którzy niezależnie od pobudek politykę Izraela popierają, usprawiedliwiają czy relatywizują. A przynajmniej mają tych samych politycznych wrogów: muzułmanów, lewicę, liberałów, instytucje ładu międzynarodowego czy tzw. stare elity.

Sojusznikiem Izraela może być zatem ewangelikalny protestant z USA, który wierzy, że zwycięstwa izraelskiej armii torują drogę powtórnemu przyjściu Chrystusa. Może nim być wyznawca teorii „zderzenia cywilizacji", upatrujący w islamie zagrożenia dla cywilizacji zachodniej. Może nim być antyimigrancki populista. Albo twardy narodowiec z antysemicką przeszłością, próbujący – jak sugerował Ariel Muzicant – uzyskać od Izraela „pieczęć koszerności". Może to być Orbán, który na kwestionowaniu zasad liberalnej demokracji budował sobie karierę, jak też Dodik, który próbuje załatwić sobie zniesienie sankcji USA.

Wszyscy oni są do zagospodarowania, gdyż jak stwierdził minister Szikli: „Potrzebujemy każdego, kto gotów jest zakasać rękawy i walczyć razem z nami". Tym bardziej jeśli mowa o siłach politycznych, które są u władzy (jak Fidesz na Węgrzech) albo mogą być za chwilę (jak narodowcy we Francji).

Problem dla diaspory

Dlatego też lista gości jerozolimskiej konferencji nie jest incydentem, lecz przejawem trendu. Izrael od dawna bowiem buduje kontakty z europejską i pozaeuropejską prawicą. W lutym partia Netanjahu, Likud, przystąpiła jako obserwator do frakcji Patrioci dla Europy w Parlamencie Europejskim, w której są m.in. węgierski Fidesz, francuskie Zjednoczenie Narodowe, włoska Liga, holenderska Partia Wolności, Wolnościowa Partia Austrii czy polski Ruch Narodowy.

W efekcie zaś tymi, którzy bezwarunkowo dziś Izrael (takim, jak on jest) popierają, coraz częściej nie są wcale przede wszystkim Żydzi z diaspory. Było to widoczne np. w wyborach prezydenckich w USA, gdy na Trumpa –„największego przyjaciela Izraela w historii", jak opisał go Netanjahu – głosowało tylko 20 proc. Żydów amerykańskich. O co nowy prezydent ma do pozostałych 80 proc. otwarte pretensje. Znacznie bardziej niezawodni od amerykańskich Żydów okazali się amerykańscy ewangelikalni protestanci.

Natomiast dla żydowskich społeczności z diaspory – dla których ważny jest nie tylko interes Izraela, ale też obrona standardów demokracji w krajach, w których żyją, jak też rozmowa o ciemnych kartach historii XX w. – ten nowy krzepnący sojusz państwa żydowskiego z twardą prawicą jest coraz większym problemem.

Wychodzi bowiem na to, że walczyć z „nowym antysemityzmem" trzeba ręka w rękę z tymi, którzy jeszcze całkiem niedawno reprezentowali antysemityzm bezprzymiotnikowy. Można powiedzieć – ten klasyczny. ©

Kwestia dostępności

TEKST I ZDJĘCIA AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Z ALMERÍI I MADRYTU

Mija ponad 90 lat, odkąd osoby niewidome w Hiszpanii zaczęły rozprowadzać pierwsze losy na loterii. Nie chodziło o wygraną, lecz szansę na lepsze życie. Idea wciąż trwa.

Kiosk z losami loterii ONCE. Almería, 12 grudnia 2024 r.

Na ulicy, przy której mieszkam w Almeríi, mijam ją niemal codziennie. Po pięćdziesiątce, nosi jaskrawą zielono-żółtą kamizelkę i okulary z dużymi oprawkami. Zwykle urzęduje obok popularnej piekarni.

Kilka razy próbuję ją zagadnąć, ale zwykle otoczona jest klientami. Toczy się wokół niej życie osiedla, słychać plotki. A przy okazji można kupić los.

Więcej szczęścia mam kilkaset metrów dalej: w kiosku, gdzie też można nabyć losy. Sprzedawczyni sprawdza klientowi ten kupiony wcześniej. „Dziś wygrałeś tylko 5 euro". „To proszę nowy kupon" – podsłuchuję ich rozmowę.

KIOSK | Sprzedawczyni, 34-letnia María Nieves Guirado Magaña, niska szczupła brunetka, pracuje tu od roku. Wcześniej przez osiem lat sprzedawała losy na ulicy. Wolała tamtą pracę, bo, jak mi przyznaje, dawała lepszy kontakt z klientem, a to wpływa na wyższe zarobki. – Wiem, jak nazywają się dzieci moich klientów, kiedy mają wizytę u lekarza. Zawiązujemy przyjaźnie – mówi María, sprzedawczyni loterii ONCE.

Ten skrót oznacza Hiszpańską Narodową Organizację Niewidomych.

Trzeba się przypatrzeć, by dostrzec napisy alfabetem Braille'a: na kuponach i terminalu, który sprawdza, czy udało się coś wygrać. W samej tylko prowincji Almería jako sprzedawca losów ONCE pracuje ponad 400 osób niewidomych lub widzących słabo (tj. tylko do 10 proc.). Niepełnosprawność nie wpływa na ich pracę. Są przeszkolone w użyciu technologii, która im pomaga.

Sprzedawcy ONCE są lubiani na osiedlu. – Ta praca jest jak mój drugi dom. Moi pracodawcy znają moją niepełnosprawność, rozumieją, kiedy mam wizytę u lekarza albo źle się czuję. Mam dobre warunki umowy. Wcześniej pracowałam w parku rozrywki dla dzieci i w kawiarni, ale najlepiej czuję się tutaj. Uwielbiam kontakt z ludźmi – mówi María Nieves.

UDAWANIE | María Jesús Segovia Molina ma 56 lat i też kiedyś sprzedawała losy, na ulicy w Granadzie. Lubiła, gdy klienci opowiadali, na co przeznaczyliby wygraną. Snuli wizję ekskluzywnych wakacji, kupna nowego domu, edukacji dla dzieci.

Od 2019 r. María Jesús jest dyrektorką oddziału ONCE w Almeríi. Wspomina, że gdy zadzwoniono do niej z kierownictwa, spodziewała się przedłużenia umowy, ale nie takiego awansu. W organizacji społecznej ONCE działa od 32 lat.

– Choruję na chorobę genetyczną i stopniowo tracę wzrok. Już jako dziecko nauczyłam się maskować moją niepełnosprawność – wspomina. – W szkole nie widziałam, co było napisane na tablicy, więc co chwila chodziłam pod tablicę, niby to naostrzyć ołówek, bo kosz na śmieci był tuż obok. Nie chciałam przed nikim przyznać się, że tracę wzrok. Bałam się, że nie będę mogła chodzić do szkoły. Do teraz, gdy przemawiam publicznie, czuję się dziwnie, wspominając o tym.

10 PROCENT | Model wspomnianej ONCE narodził się w 1938 r. z inspiracji kilku stowarzyszeń osób niewidomych. Już przed hiszpańską wojną domową (1936-39) losy niektórych loterii sprzedawały osoby niewidome. Rząd generała Franco oferował im zasiłki, ale odmówili. Woleli być niezależni i zarabiać na życie, choćby sprzedając losy.

Tak narodził się kupon ONCE, czyli społecznej i odpowiedzialnej gry. Początkowo sprzedawali go tylko niewidomi, w 1988 r. doszły osoby z innymi niepełnosprawnościami i inwalidzi wojenni. Powstała też fundacja ONCE, która pomaga niepełnosprawnym.

W Hiszpanii niepełnosprawni to łącznie 4,5 mln ludzi, prawie 10 proc. populacji. W tym ok. 2 proc. Hiszpanów jest niewidomych lub widzi bardzo słabo.

BIZNES SPOŁECZNY | Cała organizacja ONCE liczy 75 tys. pracowników, z czego 60 proc. to osoby z niepełnosprawnościami. Dlatego, jak mówi mi José Maria Prieto Ampudia z biura prasowego ONCE, bezrobocie wśród niewidomych praktycznie nie istnieje. – Pensje zależą od stanowiska pracy i sprzedaży. Sprzedawcy mają wynagrodzenie bazowe, a do tego prowizje za losy. Średnia pensja to 25 tys. euro rocznie – mówi Ampudia.

Do organizacji społecznej ONCE prócz loterii należy też wspomniana fundacja i grupa Ilunion, która prowadzi hotele, domy opieki dla seniorów, pralnie, firmy recyklingowe. Np. w pralniach 80 proc. z 7 tys. pracowników to osoby niepełnosprawne. – Wszystkie nasze firmy są rentowne. Oczywiście bywają lepsze i gorsze momenty – zapewnia Ampudia w rozmowie z „Tygodnikiem".

Statystyki za rok 2024 pokazują, że taki biznes społeczny może funkcjonować całkiem dobrze. ONCE jest czwartym największym pracodawcą w kraju, a grupa Ilunion w 2024 r. zwiększyła liczbę pracowników o trzy tysiące. „Ludzie postrzegają to jako rzecz naturalną, że obsługuje ich ktoś z niepełnosprawnością" – komentował te dane Alejandro Oñoro, dyrektor generalny Ilunion.

CODZIENNOŚĆ | Organizacja ONCE prowadzi też lobbing na rzecz swych członków. Zabiega o dostęp do nowoczesnej technologii dla niewidomych, tzw. tyflotechnologii. Ma ona być receptą na walkę z barierami we wszystkich obszarach życia: dzięki niej można czytać cyfrowe książki, robić zakupy itd.

Prócz technologii potrzebne jest też dostosowanie wielu miejsc do potrzeb osób z niepełnosprawnościami, w tym wzrokowymi. Np. tylko kilkaset spośród ponad ćwierć miliona barów i restauracji ma karty dań pisane alfabetem Braille'a (ONCE pomaga w ich tłumaczeniu).

Dalej: kino. Z wszystkich filmów, jakie wyświetlano w 2022 r., tylko mniej niż co dziesiąty był przystosowany dla osób z niepełnosprawnością. Chodzi o audiodeskrypcję, czyli dodatkowe opisy otoczenia, gdy nie ma w filmie dialogów. Te braki pomaga naprawiać technologia: aplikacje do oglądania filmów przez osoby niewidome, które automatycznie opisują otoczenie, kreują atmosferę.

María Jesús Segovia Molina, dyrektorka oddziału ONCE w Almerîi, 12 grudnia 2024 r.

Jeśli zaś chodzi o telewizję, prywatne stacje muszą zapewnić minimum pięć godzin programu tłumaczonego na język migowy tygodniowo (wcześniej były to dwie godziny). Natomiast publiczni nadawcy muszą tłumaczyć na język migowy 15 proc. programów.

Na tle Europy kraj wyróżnia też dostęp do rozrywki. Np. festiwal muzyczny „Cooltural Go – muzyka dla wszystkich" oferuje kilkadziesiąt rozwiązań dla osób z różnymi niepełnosprawnościami. Wśród nich: tłumaczenie koncertów na język migowy, napisy na ekranach ledowych, wibrujące plecaki dla niedosłyszących czy bezpłatny wstęp dla psów-przewodników.

MUZEUM | W Madrycie odwiedzam Muzeum Tyflologiczne. Działa już od ponad 33 lat i wyróżnia je to, że można dotykać wszystkich eksponatów.

We wtorek po południu nie ma tłumów, prócz mnie czeka jeden mężczyzna z psem-przewodnikiem. Do każdego, kto wchodzi do muzeum, podchodzi pracownik i upewnia się, czy potrzebna będzie pomoc.

Wejście do muzeum to trochę jak podróż po świecie bez opuszczania tego budynku. Są tu makiety miast i modele najważniejszych zabytków w Hiszpanii i na świecie, jak barcelońska Sagrada Familia, turecka Hagia Sophia czy indyjski Tadż Mahal. Doświadczać obrazów i rzeźb można nie tylko przez dotyk, opisy alfabetem Braille'a, ale też poprzez audiodeskrypcję na słuchawkach.

ABY NIE UDAWAĆ | Zmianom tym towarzyszy nowy język, jakim o niepełnosprawnościach mówi konstytucja. W 2024 r. zmieniono ją po raz pierwszy od 46 lat: słowo „*disminuidos*" (inwalidzi, upośledzeni) zastąpiono pojęciem „*con discapacidades*" (z niepełnosprawnościami). Była to jedna z nielicznych kwestii, która zjednoczyła spolaryzowany hiszpański parlament.

María Jesús Segovia Molina uważa, że wciąż jest wiele trudności, np. w dostępie do rozrywki. – Teatr czy kino wyposażone są w rampę dla osób z utrudnioną mobilnością, ale już na stronie internetowej brakuje dostosowań dla osób z niepełnosprawnościami, więc biletu kupić nie można – mówi dyrektorka ONCE w Almerîi.

Jej marzeniem jest dotarcie do każdej z osób z niepełnosprawnością wzrokową przynajmniej raz w roku. Bo, jak mówi, ONCE to nie tylko oferty pracy i pomoc w edukacji (rocznie ONCE kształci 7 tys. niewidomych, od dzieci po studentów), ale też bycie razem.

– Chciałabym, żeby dzieci tracące wzrok w szkole czuły, że nie są z tym same – mówi Maria Jesús. – I żeby nie musiały, tak jak ja kiedyś, wstydzić się tego i udawać, że ostrzą ołówek, aby móc przeczytać coś z tablicy. ©

Unijne karty

W PAŹDZIERNIKU 2024 R. Unia przyjęła europejską kartę osób z niepełnosprawnościami, a także specjalną dla nich europejską kartę parkingową. Ma to zapewnić rozpoznawanie na poziomie unijnym krajowych legitymacji i orzeczeń, co ułatwi podróże po Europie i zapewni różne ulgi. W zależności od kraju to m.in. bezpłatne wstępy do różnych miejsc, przewodniki w alfabecie Braille'a czy zgoda na wstęp z psem-przewodnikiem. Kraje członkowskie mają jeszcze trzy i pół roku na wdrożenie unijnej dyrektywy.

TYMCZASEM, JAK WYNIKA z danych Eurostatu, jedna na cztery osoby dorosłe w Unii ma jakiś rodzaj niepełnosprawności. Najwięcej w Łotwie (blisko 41 proc.) i Danii (prawie 37 proc.). Z danych za rok 2023 wynika też, że wśród osób z niepełnosprawnościami co druga czuje się dyskryminowana, a co piąta nie ma pracy.

JUSTYNA CIEŚLIKOWSKA / JCSTUDIOSET / DLA „TP"

Rozmowa na **WIARA** Wielki Post (6)

MOJA MISTYKA

JAGODA SZELC, REŻYSERKA:

Wyspokojenie jest moją praktyką duchową.

JAGODA SZELC: Przed naszym spotkaniem przypomniał mi się film, który obejrzałam, gdy miałam osiem lat. Był o kobiecie, która żyła w zakonie i żeby osiągnąć wyższy poziom duchowy, postanowiła się zamurować.

ANNA GOC: Zamurować?

Tak, w swojej celi. Wcześniej uzgodniła z jedną z sióstr, że ta będzie podawała jej codziennie jedzenie przez otwór w murze. Zawsze tą samą ręką. Drugą siostrę poprosiła, że jeśli pierwsza z jakiegoś powodu nie będzie mogła przynieść jej miski, druga ją zastąpi.

Jeśli dobrze pamiętam, przeżyła w zamurowanej celi drugą wojnę światową.

To był dokument?

Nie wiem, nigdy nie wróciłam do tego filmu. Celowo nie sprawdzałam, czy historia była prawdziwa, czy zmyślona. A jeśli miałaby okazać się fikcją, nie chcę tego wiedzieć.

Dlaczego?

Bo od tamtej pory czasami myślałam o zamurowanej zakonnicy i miałam podobne marzenie.

Żeby odciąć się od świata?

Nie tyle odciąć się od świata, co podjąć radykalną decyzję o swoim poszerzeniu. O zamknięciu myślimy my, którzy zostajemy na zewnątrz. Zakonnica mogła coś sobie otworzyć tą izolacją. W mojej pracy, problemach reżyserskich, z którymi się zderzam, ważniejsze od robienia filmu stało się właśnie to – gest ciągłego rozwoju. Nie ma on jednak nic wspólnego z Bogiem, bo jestem niewierząca.

A z czym?

Natychmiastowym efektem izolacji jest dla mnie refleksja. Lubię być sama od zawsze. Dla mnie to najbardziej upragniony stan, ku rozpaczy moich przyjaciół. Wyspokojenie to moja praktyka duchowa.

Wyspokojenie – ładne słowo. Ale czy wtedy, jako ośmiolatka, nie wystraszyłaś się, że siostra będzie odcięta od świata?

Nie, ta myśl nie napawała mnie strachem. Jedyna relacja, której mogłoby mi wtedy być żal, to relacja z matką.

Kochałam bardzo moją mamę i myśl, że jej więcej nie zobaczę, mogła wywoływać lęk. Nie pamiętam, żebym się wtedy wystraszyła. Pamiętam swoją fascynację tą kobietą.

Co jest fascynującego w zamurowaniu?

Myślałam dużo o tym, co dzieje się z zamurowaną siostrą. Wyobrażałam sobie, że najpierw walczy ze sobą, cierpi, zastanawia się, czy podjęła dobrą decyzję. Powoli się odgruzowuje, przyzwyczaja do nowej rzeczywistości. I wtedy zaczyna się nowy świat. Przecież ona miała tam jakieś życie.

Jakie ono mogło być?

Przychodzi coś, czego nie mogłaby osiągnąć bez zamurowania. Pojawiają się myśli z innego porządku i doświadczenia, które nie są dostępne w inny sposób. Zupełnie nowy kąt analizy obiektów. To mnie niezwykle ciekawiło. Chciałam dowiedzieć się, co to jest za porządek, który wtedy się odkrywa. Jakie się ma wglądy.

Wiesz?

Lubię moje życie i znalazłam w nim różne nowe porządki. Ten, który odkrywa się poprzez odłączenie od świata, interesuje mnie dalej i z powodu mojej pracy często do niego wracam.

Można to porównać do postu. Czyli, jak rozumiem, procesu, który polega na tym, że wyczyszczamy się poprzez rezygnację z czegoś i możemy strawić to, co nam zalega. Posty dawały tym, którzy się na nie decydowali, spektakularne momenty mocy. Oczyszczenie ma zrobić miejsce na nowe. Organizm stopniowo pozbywa się nadmiaru, dochodzi się do momentu krytycznego, a potem – tak sobie to wyobrażam – można przeżyć coś mistycznego.

Przyciągała Cię mistyka?

Być może potrzebowałam uwierzyć, że w odcięciu od świata, w symbolicznym zamurowaniu, można odkryć nowe przestrzenie. Może dlatego, że od zawsze chciałam podróżować, a jako dziecko nie mogłam? Taka podróż do wnętrza też mnie interesowała.

Urodziłam się w domu ludzi niewierzących. Od dziecka słyszałam, że człowiek po śmierci rozkłada się w ziemi, staje się nawozem dla roślin. Być może dlatego daleko mi do romantyzowania natury i religii.

Wydaje mi się, że można żyć bez wiary w jakiegoś Boga. To jest dość łatwe, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co dzieje się na świecie. Trudniej żyć bez doświadczenia duchowego.

Gdzie go szukasz?

Banalnie. W lesie, najlepiej w samotności.

I nie obawiasz się samotności?

Samotność nigdy mnie nie przerażała. Byłam w niej od dziecka mocno wytrenowana. Dla dzieciństwa nie była najlepsza, ale dla dorosłości bywa wartościowa. Stan samotności jest dla mnie całkowicie naturalny.

Jesteśmy okablowani w głowie na dwie rzeczy, które się konfliktują: na to, żeby przynależeć, i na to, żeby być autonomicznym. Dla niektórych przynależność jest ważniejsza niż autonomiczność. We mnie wygrywa autonomiczność. I to wcale nie oznacza, że nie cierpiałam z powodu odrzucenia lub chęci przynależenia. Jednak każdy musi wybrać swoje cierpienie.

Teraz mam pieska, więc może byłoby mi ciężko nie mieć pieska. Ale w to, że ma się psa, jest wpisane i to, że pies kiedyś umrze. Mam nadzieję, że umrze przede mną, bo wolałabym nie umierać psu. Więc mam zgodę i na to, że znów będę bez psa. Mam też super partnera, ale to tylko człowiek.

Mówisz o izolacji, odłączeniu, poście – jak o czymś twórczym.

Zawód, który wykonuję, jest wspaniały, bo jest punktowy – czasami praktykujesz bycie reżyserką, a później nią nie jesteś.

W trakcie pracy nad filmem jesteś z ludźmi – są trudności w relacjach, konflikty, bliskość, emocje. Po sześciu miesiącach wspólnej pracy masz materiał, z którym wracasz do swojej izolacji i masz co opracowywać. Gdybym była z ludźmi przez cały czas, nie nadążyłabym z opracowaniem tego, co się między nami wydarzyło.

Opracowywać, czyli?

Jak naprzeżywam się z ludźmi, potem mam refleksje. Ale mam je dopiero wtedy, kiedy jestem sama i wyizolowana, bo dopiero wtedy robi się na nie czas i przestrzeń. Moje obserwacje są takie, że potrzebuję dużo więcej czasu, żeby coś przemyśleć, niż reszta ludzi.

Lubisz być z ludźmi?

Lubię i myślę, że umiem być z ludźmi bardzo dobrze. I są momenty, kiedy bardzo chcę być z ludźmi. Ale przez większość czasu bardzo chcę być sama. Potrzebuję izolacji i wybieram konkretne izolacje.

Opowiesz o nich?

Najbardziej chciałabym być leśnym dziadkiem. Mieszkałam kiedyś przez dwa miesiące w lesie. Miałam chatkę, a osoba, o której robiłam film dokumentalny – drugą. Zdarzało się, że nocą wracałam sama przez las, bez latarki. W nocy bez księżyca było tak ciemno, że nie widziałam swoich rąk. Jakbym nie miała ciała. A jednak dzięki dźwiękowi czujesz, że jesteś. No i czasem wywalasz się na korzeniach, i ryjem w piach. Mistyka.

Mój znajomy mawiał, że im dalej w las, tym czuł się bezpieczniej.

Wiem, że ludzie zwykle boją się być sami w lesie, ale ja od dziecka przeżywam go tak samo jak twój znajomy. Dzięki przyjaciołom bieszczadnikom wiem, że ułudą jest spotkanie dzikiego zwierzęcia w lesie. Zwierzęta też wolą trzymać się od nas z daleka.

Dzikimi zwierzętami zaczęłam się nieco martwić, odkąd mam psa. Szliśmy raz nocą przez las w Beskidzie i spotkaliśmy małego wilka. Był zbyt mały, żeby być sam. Pies nie chciał wejść na ścieżkę, musiał wyczuć, że czeka tam ktoś na małego. Ustąpiliśmy drogi.

Już Twój debiut „Wieża. Jasny dzień" którego akcja dzieje się w Kotlinie Kłodzkiej, był o niepokoju przyrody, którą symbolizował choćby ruchliwy, kopiący w ziemi, przeczuwający coś pies. Teraz pracujesz nad książką Małgorzaty Lebdy „Łakome", w której granica między tym, co ludzkie, a tym, co zwierzęce, się zaciera.

Starając się o dofinansowanie na „Wieżę", podkreślałam, że film będzie także o kryzysie klimatycznym. Pewni eksperci z funduszy pytali: „Jaki kryzys klimatyczny?". Wtedy wydawało mi się, że trzeba ratować naturę, bo mamy katastrofę klimatyczną. Teraz myślę, że mamy katastrofę, której nie jesteśmy ↦

↦ już w stanie... nie chcemy już zatrzymać. Moja wizja ratowania natury jest pesymistyczna. Moim zdaniem to już się nie uda.

Być może dlatego tak nas do niej ciągnie. A w opowieściach o zwierzętach, lasach, rzekach jest coraz więcej tkliwego i wspólnotowego języka.

Co roku wracam do lasu, do którego jeździłam jako dziecko. Znam tam każdą ścieżkę, każde drzewo. Wyszłam na spacer rano i zorientowałam się, że coś jest nie tak. Długo nie wiedziałam, o co chodzi. Zastanawiałam się, rozglądałam. I nagle zdałam sobie sprawę, że jest bardzo, bardzo cicho. Okazało się, że pobliskie pola są opylane przeciwko stonce i ptaki pomarły z głodu albo uciekły.

W „Łakomym" dźwięk i cisza są jedną z równolegle biegnących opowieści. Jest „śpiew" krów i „charczenie" ubojni.

Chcemy mieć w domu coś żywego, żeby nie było ciszy. Nasz gest obronny. Z drugiej strony jesteśmy bezmyślni wobec cierpienia innych zwierząt. Jesteśmy coraz okrutniejsi. Tym, którzy zarzucą mi, że mój pies przecież je mięso zwierząt, mówię: ale ja nie muszę. Niech się mniej rodzi wszystkiego – psów, kotów i krów. Wywróciliśmy to do góry nogami, więc nie odwołujmy się do naturalnych praw. Nie ma już świata. Pakujmy się. Nie ma nadziei.

Coraz częściej przygarniamy zwierzęta, mieszkamy z nimi w naszych domach i mieszkaniach. Może to też jest odpowiedź na umieranie natury? Wiem, że nie mogę za często przytulać mojego psa, żeby go nie zamęczać. Ale krowy podobno można głaskać bez limitów. Choć pewnie i one bywają różne. Chciałabym mieć krowę. Myślę, że to musi być wspaniałe mieć krowę.

Musiałabyś mieszkać poza miastem.

Lubię bardzo Warszawę i dobrze mi się tu żyło. Ale głowę mam już w nowym miejscu. Przygotowuję się do powrotu do lasu. Dom w lesie to nie tylko dom, ale wszystko, co jest w promieniu pięciu kilometrów wokół. Las, który znasz coraz lepiej. Gdy tam wracasz, łatwiej ci się skupić. Skupiasz materię do bycia sobą.

Pamiętam ciocię Stasię ze wsi, która przez siedem godzin siedziała i patrzyła na polną drogę. Jak ona przeżywała czas?

Samotność nigdy mnie nie przerażała. Byłam w niej od dziecka mocno wytrenowana. **Dla dzieciństwa nie była ona najlepsza, ale dla dorosłości bywa wartościowa.**

Na co była zorkiestrowana jej rzeczywistość – nie wiem. Żyjąc w mieście, mam często wrażenie, że dzień mi spieprzył. Dopiero co wstałam, a już jest po wszystkim. Myślę, że to przez brak pracy fizycznej.

Zmiany w naszym okablowaniu mózgu widać po tym, jak odbieramy kino. Kiedyś widz wytrzymywał sceny, które trwały półtorej lub dwie minuty. Dzisiaj ponoć wytrzymuje trzydziestosekundowe. Zaczynamy „nie umieć" oglądać kina. Kino się kończy. Filmy to coś innego, filmy zawsze będą oglądane. Jak pisał Max Ophüls: „Kto na siłę goni za publicznością, ten w końcu ogląda jej tyłek". A ja lubię reżyserów i reżyserki, których kino zaczyna się od bezwzględnie długich scen, jakby chcieli skalibrować widzów do swojego świata. Przestawić ich na inną czasowość.

Myślałam o tym, oglądając „Romę" Alfonso Cuaróna.

Ten film jest oparty na bezczasie, który w pewnym momencie spektakularnie się spiętrza. Tsunami działa podobnie: zbliża się powoli, nawet cofa, pomalutku zbiera, oszukuje nas, aż dochodzi do nieprawdopodobnej powodzi.

Szczęśliwie są jeszcze kina studyjne, które wymuszają na nas oglądanie. Nie ma żadnego sprzątania czy prasowania w trakcie oglądania. Nie, nie. Siedzisz teraz grzecznie i oglądasz. Kino w dobry sposób nas izoluje, także do tego, żebyśmy mogli przeżywać inną czasowość. Mieć inne, nowe myśli. Jak w zamurowaniu.

Być może z tego samego powodu niektórzy oglądają ciągle te same filmy. One, podobnie jak znany las, wyspokajają.

Podobno wracasz do „Przystanku Alaska".

Tak, zdarza mi się oglądać go ciągle i ciągle. To jeden z najmądrzejszych seriali, jakie powstały. Bezpretensjonalny. Utopijny. Bogaty w filozofię i kino właśnie.

Sporo jest takich filmów, do których wracam, bo jak mawiał Roland Barthes: „Kto czyta książkę raz, zawsze czyta to samo". Jeśli przeanalizujesz film znów i znów, to za czwartym, piątym razem zobaczysz coś nowego. Podobnie jest z grą aktorów. Pytam czasem moich studentów, co zobaczyli, co zostało zagrane. I zdarza się, że to zajmuje czas, żeby zobaczyć. Oczy przecież nie widzą, tylko mózg.

Za każdym razem, gdy oglądam film, ćwiczę coś, co jest najważniejsze – że mogę sama pomyśleć o tym, co widzę. Jedyną przestrzenią mojego spokoju czy porządku jest abstrakcyjna przestrzeń filmów. Tam mogę sobie pomyśleć, co chcę.

W krótkometrażowych etiudach, od których zaczynałaś, a ostatnio w swej noweli w „Erotice 2022" czy „Matkach pingwinów" jesteś blisko ludzi, bierzesz z ich codzienności. Co Cię w niej interesuje?

Góra i dół. Sacrum i profanum. Nie lubię realizmu, nie do końca wiem, co oznacza. Naturalne jest wtedy, kiedy zderza się proste, prymitywne z poetyckim. Lubię duże rozpiętości.

Masz talent?

Nie wierzę w to, że jedni mają talent do czegoś, a inni – nie. Jeśli wystarczająco długo się nad czymś koncentrujesz, zastanawiasz się nad czymś raz, potem jeszcze raz i jeszcze raz, to możesz doprowadzić siebie do momentu, w którym twoja wyobraźnia i obserwacja są na tyle rozhamowane, rozgrzane, że masz to, co ludzie powierzchownie nazywają talentem.

Z czego trzeba je rozhamować?

Z cenzur typu: jestem kobietą, więc... Albo: jestem białą kobietą, więc... Albo: jestem na tym etapie kariery, więc... albo drzewo to... woda to...

Żeby mieć nowe myśli, wytrącić się z tego, co znane, z klisz, muszę iść w post. Odciąć się na jakiś czas od definicji. I zamurować się z tematem. Bo tam – w tym filmie – jest inna rzeczywistość, po którą mogę pójść i ją odkryć. Tylko trzeba pobyć z tym filmem wystarczająco długo.

JUSTYNA CIEŚLIKOWSKA / JCSTUDIOSET / DLA „TP"

JAGODA SZELC – reżyserka filmowa i teatralna, scenarzystka. W 2006 r. ukończyła Akademię Sztuk Pięknych we Wrocławiu. W 2017 r. zadebiutowała filmem „Wieża. Jasny dzień", którego premiera międzynarodowa odbyła się na Festiwalu Berlinale w prestiżowej sekcji Forum. W 2018 r. została laureatką Paszportów „Polityki". W tym samym roku ukończyła swój drugi pełnometrażowy film „Monument", który miał premierę międzynarodową na Festiwalu w Rotterdamie. „Monument" zdobył nagrodę specjalną na 43. FPFF w Gdyni. „Matki pingwinów", serial, który współtworzyła z Klarą Kochańską-Bajon, został zaliczony przez „New York Times" do 10 najlepszych seriali na świecie w 2024 r.

O filmie wie się „coś" na początku. Potrafi się odpowiedzieć na dość prymitywne i zaczerpnięte z kapitalistycznego porządku pytanie: o czym to jest? To jest mało, ale to teraz ludziom wystarcza. Mało kto już wierzy w nas i nasze procesy.

Nie zamurowujesz się jednak z filmem, bo już o nim wszystko wiesz. Zamurowujesz się, bo chcesz się czegoś dowiedzieć. Jeśli „wiesz", proces twórczy nic ci nie da, a nawet – pokona cię.

Po napisaniu książki „wie się mniej; świat się poszerza", powiedział mi Wiesław Myśliwski.

Ciekawe. Zdrowe. Pracujesz nad czymś, bo chcesz się czegoś dowiedzieć, nie na odwrót.

Każdy proces twórczy jest uskrzydlający. Zaczyna się od silnego uderzenia superego, które ci mówi, że wszystko wiesz. Jednak praca nad filmem jest jak pielgrzymka.

Nazywano Cię „szeptuchą kina". Czułaś się nią?

Wtedy podobało mi się to określenie. Także dlatego, że jest ze wsi. Teraz już mnie ten termin żenuje.

Szeptucha to taka osoba, która nie potrzebuje pośredników w kontakcie z siłą wyższą. Wyczuwa ludzi, nie każdemu pomoże. Nie jest świętą, raczej osobą, która czasami poprzez śmieszne czary-mary daje innym możliwość, by coś z nich wzięli i zinterpretowali po swojemu.

Jeśli jestem szeptuchą, użyjmy tego terminu, to po to, żeby zaoferować komuś podmiotowość. A nie po to, żeby być osobą tajemniczą, magiczną, którą się podziwia.

Nie dodawałabym sobie żadnych mocy. Bo nie mam mocy. I to może lepiej, bo od twórców oczekuje się, że przyjdą i wyemitują z siebie coś nieprawdopodobnego bez większego wysiłku.

Czy to prawda, że pracę nad filmem zaczynasz od definicji słów? Nawet tych podstawowych.

Weźmy słowo „matka" – co innego oznacza dla ciebie, co innego dla mnie. Nie ma dwóch takich samych matek. To tylko jedno słowo. Nieporozumienie polega na tym, że w pierwszym etapie prób wydaje się nam, że mówimy tym samym językiem. Różnice wychodzą przy dalszych próbach. Jako reżyserka muszę zrozumieć, jakim językiem posługują się moi aktorzy. Muszę nauczyć się ich języków.

Jestem bardzo obecną reżyserką, ale wiem też, że nie wymyślę tak dobrze pewnych rzeczy jak aktorka, która ma zagrać. Dlatego robię wszystko, żeby aktorzy mogli się rozhamować – pozbawić wytartych definicji, pójść w ekspresję, czasem dziwactwa. Są reżyserzy, którzy trzymają wszystko za mordę i nie zawsze się orientują, że trzymany za mordę po chwili umiera.

Kwestia doświadczenia?

Jakiś czas temu miałam sytuację na planie, która dużo mi dała. W czasie prób aktorka była nie do zatrzymania. Do tego stopnia, że sporo czasu zajęło jej wychodzenie ze sceny. Gdy zaczęliśmy zdjęcia, nie była w stanie tego powtórzyć. Powiedziałam jej, że to tylko „jakiś se film", co jest prawdą. Powiedziałam, że wywaliłam ostatnią godzinę z planu dnia, żeby wiedziała, że ma czas. Powiedziałam, że nie przyszła tutaj nikomu niczego udowadniać, co też jest prawdą. Powiedziałam, że czasami to, co jest na próbach, to jedno, a film czegoś nie chce i mogę tę scenę przepisać na nowo. Po jakimś czasie odkryłyśmy powód, dla którego nie mogła zagrać tej sceny, i natychmiast go usunęłam. Był prozaiczny. Aktorka zagrała tę scenę świetnie.

Dziś, gdy widzę opór, myślę: „To ciekawe". Gdy byłam młodsza, chciałam zrobić scenę i wtedy pewnie pomyślałabym: „ożesz kurwa mać".

Przy niektórych filmach – wspomniałaś kiedyś – przeżywałaś emocje, których nie czułaś nigdy wcześniej.

Było ich bardzo, bardzo dużo. Nie sposób wymienić, żeby nie pominąć którejś. Dla mnie to uczucie jest podobne do zakochania.

I ja mam to cały czas.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

Modlitwa w okopie

TEKST I ZDJĘCIA ANTONINA PALARCZYK Z CHARKOWA

Wychowani w postsowieckich domach, w czasie wojny doświadczają pragnienia Boga. Jak wygląda życie wiarą na wschodzie Ukrainy?

Przyjmujemy do siebie ludzi zewsząd, narodowość nie ma znaczenia. Dagestan, Ukraina, Palestyna. Jesteś muzułmaninem? Jesteś mój brat – mówi Jusuf, młody, kędzierzawy Ukrainiec arabskiego pochodzenia. Otwiera drzwi do niepozornego budynku, gdzie mieści się Muzułmańskie Centrum Kultury „Al Manar" w Charkowie. To drugie pod względem wielkości miasto w Ukrainie, rozłożyste i monumentalne. Nawet teraz, w czasie wojny, liczy ponad milion mieszkańców. Ale mimo tego mam wrażenie, że wszyscy tutejsi muzułmanie się znają. Nawet jeśli uczęszczają do różnych meczetów. Jest ich w Charkowie kilka.

Islam. Wojenna refleksja nad Bogiem

– Włóczkę kupiłam u Baba Szejka, a u kogóż by innego – słyszę urywki dyskusji spod okna. Na puszystym tureckim dywanie, w kobiecej sali modlitewnej dyskutują dwie panie w średnim wieku, z chustami na głowach. Jedna z nich pokazuje wykonaną z włóczki ciepłą czapkę z wydzierganą flagą Palestyny. Baba Szejka, tadżyckiego handlarza i członka muzułmańskiej grupy kapelanów, trudno w Charkowie i okolicy nie znać – wszędzie go pełno. Zresztą nie minęła chwila, a już pojawiła się w drzwiach jego jowialna twarz otoczona czarną brodą. Ludzie powoli schodzą się przed pustą jeszcze mównicę.

Piątek to w islamie najważniejszy dzień tygodnia. Muzułmanie gromadzą się w meczecie na dżummuah, wspólnotową modlitwę poprzedzoną kazaniem imama. W charkowskim „Al Manar" Dżamal, wyjątkowo młody imam, dwudziestojednoletni, jest oszczędny w słowach. Częściowo pewnie przez nieśmiałość, częściowo przez niezupełnie płynny rosyjski, którego na co dzień używa od niedawna. Jego podstawowym językiem jest arabski. Dziesięć miesięcy temu został ewakuowany do Ukrainy ze Strefy Gazy.

Matka Dżamala jest Ukrainką, ojciec – Palestyńczykiem, który pod koniec lat 90. przyjechał do Charkowa, jak wielu innych Arabów, uczyć się na jednym z ponad dwudziestu uniwersytetów. Aż do wojny miasto było popularnym celem dla tego rodzaju imigrantów, gromadziło niemal pół miliona studentów z wielu krajów. Po rozwodzie rodziców Dżamal wrócił z ojcem i młodszym bratem do Palestyny. Miał wtedy dziesięć lat. Na początku izraelskiej inwazji lądowej, w 2023 r., był w domu, w Gazie. Gdy po pięciu miesiącach zorganizowana została ewakuacja ukraińskich obywateli, matka robiła wszystko, by wydostać synów ze Strefy Gazy. Udało się Dżamalowi. Jego ojciec

Jusuf i Dżamal w Muzułmańskim Centrum Kulturalnym „Al Manar" w Charkowie. Styczeń 2025 r.

po lewej: rosyjski czołg na tle Cerkwi Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Świętogórsku. Ukraina, obwód doniecki, 13 marca 2024 r.

wraz z pozostałym rodzeństwem wciąż są w obozie dla uchodźców w Khan Junus.

– Wojenne nieszczęścia nie są od tego, żeby je ze sobą porównywać – stwierdza lakonicznie Dżamal. Widział już dwie wojny. Ale w Charkowie śpi spokojniej niż w rodzinnym domu, mimo dronów i spadających na miasto regularnie rosyjskich bomb lotniczych. – Mam tu teraz bardzo dobre życie. Także jako muzułmanin – przyznaje.

Ukraina, a zwłaszcza jej większe miasta oraz wschód i południe to multikulturalny tygiel, niejednorodny religijnie.

– Nie spotykam się z dyskryminacją na tle wyznaniowym i kocham tę wolność. Pochodzę z religijnej rodziny. Nie przypuszczałem, że zostanę imamem. W meczecie zwolniło się miejsce po tym, jak poprzedni imam, pochodzący z Uzbekistanu, wyjechał z miasta.

Trudno było znaleźć następcę. Wraz z początkiem pełnoskalowej wojny z Ukrainy, zwłaszcza wschodniej, wyjechała spora część muzułmanów, zwykle tych, którzy mieli podwójne obywatelstwo: imigrantów z Centralnej Azji, Kaukazu, ale też z państw arabskich, którzy przed wojną stanowili największy odsetek wśród wyznawców islamu w Charkowie. Zatem, zdaniem lokalnej społeczności, Dżamal doskonale nadawał się na imama, zwłaszcza że znał arabski.

– Kiedyś w każdy piątek tłum był tak duży, że sięgał na korytarz. Ludzie nie mieścili się w sali modlitewnej – wspomina Jusuf. Z powodu emigracji, a nie dlatego, że ludzie w czasie wojny rzadziej zaglądają do meczetu. Zdaniem Jusufa jest wręcz odwrotnie. Podaje przykład Halifata, kolegi służącego w ukraińskim wojsku, który niemal stracił życie na początku wojny. Cudem się uratował i od tego czasu zaczął rozmyślać nad istnieniem siły wyższej. Wychowany w postsowieckim duchu, gdzie nie było miejsca na Boga, zaczął czytać o monoteistycznych religiach. Zdecydował się przyjąć islam.

Protestantyzm. Wojna i względy religijne

Wschód Ukrainy, w przeważającej części rosyjskojęzyczny, to region szczególny nie tylko pod względem liczby meczetów. W latach 90. i na przełomie stulecia odnotowano tam, zwłaszcza w Donbasie, gwałtowny wzrost popularności przeróżnej maści wspólnot ewangelikalnych. Jedną z nich – wywodzący się z Mariupola zielonoświątkowy Kościół Dobrych Przemian – opisywałam w ubiegłym roku na tych łamach („Batalion kapelanów", nr 34/2024).

– U schyłku Związku Radzieckiego Ukraina przeżyła swoje duchowe odrodzenie. To było całkiem naturalne. Po latach komunizmu mieliśmy w sobie wielkie pragnienie Boga – opowiada Oleksandr, który od dziesięciu lat służy jako kapelan i oficer w ukraińskim wojsku. Sam był świadkiem i uczestnikiem wspomnianego przez siebie zjawiska. Pochodzi z Doniecka, ponad trzydzieści lat temu przystąpił do jednej z protestanckich wspólnot.

– Pojawiło się wtedy choćby „Nowe pokolenie" – międzynarodowa organizacja religijna, wywodząca się z Litwy, a założona przez Oleksija Ledijajewa. Dziś jest określana jako sekta. Pojawiła się też szwedzka wspólnota zielonoświątkowa „Słowo życia". Ze Szwecji, Niemiec czy Stanów Zjednoczonych przyjeżdżało do Ukrainy wielu misjonarzy, którzy zapoczątkowali ten protestancki ruch. Inspirowaliśmy się Ulfem Ekmanem czy charyzmatykiem Carlem-Gustafem Severinem.

Dawny impet, z jakim alternatywy dla prawosławia wpadły w ukraińską rzeczywistość, znacznie spowolnił. Obecnie szacuje się, że protestanci stanowią około 2 procent ogółu ludności.

– Wiele ze wspólnot wywodziło się z Doniecka, który od 2014 r. znajduje się pod rosyjską okupacją – twierdzi Oleksandr. – Swoje zrobiły także wewnątrzwspólnotowe afery finansowe, które nagłośniono, a także nadużycia wpływowych osób związanych z ruchem. Na przykład Vladimira Muntiana, kaznodziei i założyciela jednej z charyzmatycznych wspólnot, oskarżonego o oszustwa finansowe, pobicia oraz przestępstwa na tle seksualnym.

Oleksandr, który przeszedł na prawosławie, w swojej pracy wykorzystuje doświadczenie zdobyte przez lata w protestanckim Kościele gdzie był pastorem. Dostrzega też problem w podejściu niektórych wspólnot ewangelikalnych do wojny – niektóre nakłaniają swoich wiernych do odmawiania służby wojskowej ze względów religijnych.

– Często spotykam się z podobnymi przypadkami. Zazwyczaj zwracają się do mnie z tym problemem dowódcy oddziałów, w których do takiej odmowy dochodzi. To dotyczy na przykład baptystów czy zielonoświątkowców, zwłaszcza ze wspólnot działających nieoficjalnie. ↦

↦ Natomiast nie znam ludzi innych wyznań, którzy zasłanialiby się religią, odmawiając przysięgi wojskowej.

Zdaniem Oleksandra to jest też przyczyną szerzącej się coraz mocniej niechęci niektórych dowódców wojskowych do protestantów.

– Choć przecież ukraińscy protestanci działają, i to niezwykle prężnie, jako wolontariusze. Organizują też pomoc humanitarną przy wsparciu protestanckich wspólnot z Zachodu.

Prawosławie. Wyszeptane słowa

Sierhiej ma jasne, trochę smutne oczy, przez które wyziera jego spokojny duch. Mówi się o nim przede wszystkim jako o ojcu i kapelanie w wojsku ukraińskim. Spotykamy się w Dnieprze, sporym mieście we środkowo-wschodniej Ukrainie, gdzie od ponad dziesięciu lat pełni tę posługę z ramienia autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej Ukrainy (do 2019 r. podlegającej jurysdykcji Patriarchatu Konstantynopolitańskiego).

Sierhiej, kapelan z ramienia autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej Ukrainy. Dnipro, 7 marca 2025 r.

Odchodzenie Ukraińców od Cerkwi Patriarchatu Moskiewskiego na rzecz rodzimej było – zdaniem Sierhieja – oczywiste i powszechne po wybuchu pełnoskalowej wojny. Ważnym argumentem jest także język ukraiński, w którym sprawowane są wszystkie nabożeństwa.

– Nie dlatego, że to język państwowy. Tylko dlatego, że po prostu nasz. W warunkach wojny zaczęliśmy rozumieć, kim jesteśmy i jaka jest nasza historia.

Po wybuchu wojny nie zaobserwował większej niż przedtem liczby wiernych, przychodzących na niedzielne nabożeństwa.

– Po pandemii Covid-19, gdy jakiekolwiek zgromadzenia były zabronione i cerkwie stały puste, spora część wiernych nigdy już do nich nie wróciła. A dziś? Tak naprawdę do cerkwi przychodzą teraz głównie ludzie mocno dotknięci wojną. Rodziny poległych żołnierzy i tych, którzy są w niewoli, weterani, uchodźcy wewnętrzni oraz, rzecz jasna, ludzie starsi.

Kiedy rozpoczęła się wojna w Donbasie, kijowski patriarcha Filaret zwrócił się do duchownych, by ci, którzy mają siły i możliwości, towarzyszyli walczącym na wschodzie ukraińskim żołnierzom. Mówiono, że rosyjscy snajperzy w pierwszej kolejności odstrzeliwują dowódców i kapelanów, więc ci zrzucili duchowne stroje i nosili się jak zwykli żołnierze. Struktura wojskowej kapelanii dopiero kiełkowała. Tak jak żołnierze, organizujący się w dużej mierze w ochotniczych batalionach, również duchowni wykonywali swe zadania spontanicznie i na wolontariackich zasadach. A należała do nich nie tylko posługa kapłańska. Ukraińscy kapelani do dziś działają jako wolontariusze, dostarczający wojsku niezbędne zaopatrzenie, służą też żołnierzom wsparciem moralnym i psychologicznym. Sierhiej, który po ukończeniu seminarium studiował w Państwowym Uniwersytecie Pedagogicznym im. Mychajła Drahomanowa, został specjalistą w dziedzinie psychologicznej interwencji kryzysowej.

W 2015 r. został skierowany do jednego z ochotniczych batalionów. Planował wrócić po miesiącu, został przez siedem. Czuł się potrzebny i skuteczny w wykonywanej profesji. Kiedy błogosławił żołnierzy, ci padali na kolana i nie ruszali na pozycje bojowe, póki nie odczytane zostaną ostatnie słowa modlitwy.

– Gdy tylko okoliczności wojennej zawieruchy pozwalały, zbierali się na wspólną modlitwę. A po skończonych zadaniach bojowych dziękowali Bogu za ocalone życie – wspomina Sierhiej.

– W jakichś spokojnych okolicznościach możemy sobie dyskutować, czy Bóg jest, czy go nie ma. Ale kiedy jesteś w okopie, a w twoją stronę leci wszystko, co tylko może, kiedy ziemia sypie ci się na głowę i nie masz się gdzie schronić, twoje usta same zaczynają szeptać słowa modlitwy.

© ANTONINA PALARCZYK

Głód katechezy

MONIKA BIAŁKOWSKA

Skoro szkołę Kościół przegrał, musi się skupić na parafii. Tyle że dziś nie wystarczy rozwijać stare pomysły. Potrzeba kroków po stokroć odważniejszych niż przymusowe pogadanki.

Od września przyszłego roku ruszą w polskich parafiach katechezy powszechne – ogłosił bp Artur Ważny, przewodniczący Zespołu Roboczego, powołanego na ostatnim zebraniu Konferencji Episkopatu Polski. Zadaniem zespołu, złożonego z teologów oraz osób zaangażowanych w pracę duszpasterską, ma być „tchnienie nowego ducha" w katechezę parafialną.

Program przewiduje kilka form katechizowania: przygotowanie do sakramentów chrztu, spowiedzi, pierwszej komunii i bierzmowania oraz ka-

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Katechezy dla dorosłych prowadzone są m.in w kościele jezuitów w Łodzi. 30 listopada 2024 r.

techezę ewangelizacyjną. Bp Ważny przekonywał, że „ważnym elementem każdej z nich ma być głoszenie kerygmatu [orędzia zbawczego – red.] i inspirowanie się katechumenatem realizowanym w starożytności chrześcijańskiej".

Ten, który głosi

Katecheza parafialna z założenia pozostaje więc ściśle związana z wtajemniczeniem chrześcijańskim i udzielaniem sakramentów. Co się zatem zmieni? Przede wszystkim ludzie: zajęcia mają prowadzić nie tylko księża, ale i osoby świeckie. Bp Wojciech Osial, przewodniczący Komisji Wychowania Katolickiego KEP, wskazuje, że mogą to być nauczyciele religii, animatorzy i katecheci, i że szkoły dla nich tworzone już są w wielu diecezjach.

To jednak niewystarczająca odpowiedź na pytanie o kadrę. Proboszcz dużej parafii w akademickim mieście zapewne nie będzie miał problemu z jej znalezieniem. Co innego taki z małej wsi na Pomorzu. A jeśli zadanie głoszenia katechez w parafii przejmie szkolny katecheta, trzeba zapytać, kto i jak mu za to zapłaci; trudno budować system na darmowej posłudze. Prawdopodobnie w wielu miejscach proboszcz uzna, że najlepiej będzie, jak katechezę poprowadzi sam.

Nowe czy stare?

Co z wartością merytoryczną i kontrolą nad projektem? Skład Zespołu Roboczego daje pewne nadzieje, bo spotkamy w nim osoby nowe (teolożka Magdalena Jóźwik), jak i od lat zajmujące się katechezą (Aneta Rayzacher-Majewska). Czy ich współpraca przyniesie nową jakość i świeżą wizję, czy może wygra doświadczenie – niepodważalne, ale też niemogące się pochwalić spektakularnymi efektami?

Nawet jeśli materiały do katechezy spełniać będą oczekiwania, pozostanie praktyka: umiejętność dostosowania treści do odbiorcy, kompetencje interpersonalne czy zwyczajne zaufanie do człowieka głoszącego katechezę.

Wierzący niewierzący

W proponowanej formie katechezy dotyczą niemal wyłącznie przygotowania do sakramentów. Nie ma niezwykle potrzebnej oferty dla dorosłych – nie licząc przygotowania do małżeństwa i ujętej ogólnie „ewangelizacji". Tymczasem postulat katechezy dla dorosłych pojawiał się często w syntezach synodalnych. Wierni, nawet mający wielokierunkowe wykształcenie, swoją wiedzę na temat wiary oceniają nisko: edukację religijną zakończyli na poziomie szkoły średniej.

W Polsce formalnie do katolicyzmu przyznaje się około 70 proc. społeczeństwa. Jednocześnie badania wskazują, że w niebo wierzy 54 proc. Polaków, a w zmartwychwstanie Chrystusa – 47 proc. Co oznacza, że nie wierzy w nie co trzeci z tych, którzy deklarują katolicyzm. Niezależnie od pytań o metodologię tych badań – proporcji nie da się oszukać.

Klęska misji

„Jestem chrześcijaninem. Nie wierzę, że Jezus zmartwychwstał". W pierwotnym Kościele taka deklaracja byłaby nie tylko niezrozumiała, ale i szydercza. Chrześcijaninem nie był ten, kto się zapisał do organizacji, wybrał nowy sposób życia, a nawet nie ten, kto się modlił. Był nim ten, kto uwierzył, że Jezus Chrystus powstał z martwych. Nie ma innego kryterium. Cała reszta – forma życia, obrzędy, relacje, są tylko skutkiem przyjęcia tej wiary.

Można tej istotowej niewiary w Kościele w Polsce nie dostrzegać. Zwoływać ludzi na wydarzenia i utwierdzać w rytualnych gestach. I cieszyć się, że całość jakoś się trzyma. Dziwi brawurowa wręcz odwaga tych, którzy za taki stan odpowiadają: jakby sami nie wierzyli, że kiedyś przyjdzie im zdać z niego sprawę. Misją Kościoła nie jest praktykowanie religijnych gestów, ale głoszenie Zmartwychwstałego. A skoro tak, to Kościół w Polsce poniósł klęskę.

Myśleć inaczej

Katecheza jest potrzebna. Skoro tę szkolną Kościół przegrał, musi się skupić na parafialnej. Tyle że dziś potrzeba kroków po stokroć odważniejszych niż przymusowe pogadanki przed chrztem i ewangelizacyjne poruszenia. Trzeba tworzyć miejsca, w których wolno zadać każde pytanie bez obaw, że biskup się zdenerwuje. Trzeba nieustannie wkładać do głów i serc systematyczne, uporządkowane treści, choćby w formie krótkich, kilkuzdaniowych mini-katechez przed każdą mszą. Wychodzić do ludzi, a nie czekać, aż sami przyjdą.

A wszystko to robić na poziomie i z klasą, żeby nie nudzić, a zadziwiać. Mówić językiem zrozumiałym dla dzisiejszego świata. Nie usypiać wątpliwości, ale się z nimi mierzyć. Doceniać intelekt odbiorców. Prowadzić głębiej tych, którzy są na to gotowi.

Chrześcijaństwo jest piękne – i rozumne. Chodzi o to, by Kościół przestał się tej rozumności bać. ©

Autorka jest doktorem teologii fundamentalnej. Do końca marca tego roku pracowała jako dziennikarka w „Przewodniku Katolickim". Prowadzi w internecie autorski program „Reportaż z wycinków świata".

O. WACŁAW

Oszajca:
Nagi król

Z dziesięć lat temu, po jakiejś demonstracji na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, znalazłem na chodniku obrazek, na którym Jezus zasiada na złoconym tronie, ubrany w purpurową szatę przypominającą bizantyjskie *sakkos* i *omoforion*. W ręku trzyma berło i królewskie jabłko, na głowie ma tiarę. Słowem – na tronie zasiada wszechmocny teokrata, który uważa, że tylko on najlepiej wie, czego podwładnym potrzeba do szczęścia.

O takiej władzy dawniej i dzisiaj marzy niejeden król, prezydent, generał czy polityk. Również niejeden kapłan. Marzyła się też apostołom i ich rodzinom. Matka synów Zebedeusza, nie zrozumiawszy o jakim królestwie Jezus mówi, postanowiła zawczasu postarać się dla synów o ministerialne teki. Obiecaj, mówi do Jezusa, „aby ci dwaj moi synowie zasiedli w twoim królestwie obok Ciebie, jeden po prawej, a drugi po lewej stronie". A Jezus mówił do apostołów: „Wiecie o tym, że rządzący uciskają ludzi, a wielcy dają im odczuć swoją władzę. Nie tak ma być między wami. Jeśli ktoś z was chce być wielki, niech będzie waszym sługą. A jeśli ktoś z was chce być pierwszy między wami, niech się stanie waszym niewolnikiem. Tak jak Syn Człowieczy, który nie przyszedł po to, aby Mu służono, lecz aby służyć i oddać swoje życie jako okup za wielu".

Mam też inny obrazek. Adam Chmielowski, czyli św. Brat Albert, jest autorem niedokończonego obrazu, zatytułowanego „Ecce Homo", „Oto Człowiek". Tak Pontius Pilatus, rzymski prefekt Judei, nazwał Jezusa, zatwierdzając wydany na niego wyrok śmierci. Na obrazie Chmielowskiego widzimy, że Jezus ma cierniową koronę, narzucony na plecy kawałek czerwonego materiału i trzcinę w ręku. Całość półpostaci skrępowana jest sznurem, a przestrzeń za głową Jezusa rozjaśnia światło wydobywające się zza filara. Którego Jezusa wybrać? Zasiadającego na tronie w otoczeniu dworzan czy nagiego, umierającego na krzyżu na oczach matki, kilku zrozpaczonych kobiet i jednego ucznia? Może nadszedł już czas porzucić feudalne wyobrażenia, zdjąć z Jezusa i z siebie cesarsko-papieski rynsztunek, a do głoszenia dobrej nowiny nie używać miecza oplecionego różańcem. Jezus mył nogi uczniom, przepasany jedynie prześcieradłem. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Własna chwała

„Jak możecie uwierzyć, skoro od siebie wzajemnie odbieracie chwałę, a nie szukacie chwały, która pochodzi od samego Boga? (...) Waszym oskarżycielem jest Mojżesz, w którym wy pokładacie nadzieję" (J 5, 44-45). Mocne słowo Jezusa, zamykające spór o rozumienie szabatu, wywołany uzdrowieniem paralityka przy sadzawce Betesda. Przenikliwe i prześwietlające słowo o niewierze.

Niewiara – w przytoczonej wypowiedzi Jezusa – nie jest przekonaniem, że Boga „nie ma". Przeciwieństwem wiary nie jest tutaj ateizm, lecz pycha! Niby wiem, że Bóg istnieje, ale nie Jemu oddaję chwałę. Nie jest więc w moim życiu najważniejszy. W mojej (pseudo) „wierze" nie chodzi mi o Niego; chodzi mi o siebie.

To pouczenie Pana Jezusa jest głęboko osadzone w Starym Testamencie: wśród starotestamentalnych Żydów nie sposób znaleźć ateisty. Tylko „głupi" mówi „w swoim sercu: Nie ma Boga" (Ps 14, 1). (Chociaż nie, również właśnie pyszałek mówi swoim życiem to samo: „W pysze swojej powiada występny: Nie pomści; nie ma Boga: oto całe jego myślenie"; Ps 10, 4). Nie przeszkadza to jednak prorokom wielokrotnie wyrzucać swym ziomkom niewiarę. Rozumianą nie jako odrzucenie istnienia Boga, lecz jako bałwochwalstwo. Nie wierzy w Boga ten, kto należne Mu w swoim życiu miejsce oddaje czemuś / komuś innemu. Człowiek pyszny to miejsce oddaje „bałwanowi", którym jest sam dla siebie. Pycha jest ewidentnie formą bałwochwalstwa. Kto wie, może do niej sprowadzają się wszystkie jego inne formy?

W tym kontekście nowego znaczenia nabiera także przywołanie postaci Mojżesza. O Mojżeszu bowiem Biblia mówi, że „był człowiekiem bardzo skromnym, najskromniejszym ze wszystkich ludzi, jacy żyli na ziemi" (zob. Lb 12, 3). To pokora Mojżesza czyniła go wielkim uczniem Boga – także wielkim orędownikiem ludzi przed Bogiem, również takich ludzi, którzy odrzucali i Boga, i jego. Mojżesz miał umiejętność i charyzmat wstawiania się za każdym grzesznikiem. Mierzymy się więc tutaj z niesłychanym dramatem: oto wstawiennik *par excellence* (Mojżesz) staje się – zapewne nie bez osobistego bólu – naszym oskarżycielem!

Ufajmy jednak, że przynajmniej to uświadomi nam powagę problemu i skieruje nas ponownie na drogi wiary. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

ZUZANNA

Radzik: *Rezerwat dla chłopaków*

„Pomodlę się za zwycięstwo" – napisał na czacie katolicki wiceprezydent USA, gdy sekretarz obrony zapowiedział dobre warunki do rozpoczęcia bombardowania celów w Jemenie. „Doskonale" – skwitował potem, gdy budynek, w którym przebywał dowódca Hutich, runął pod bombami, grzebiąc jeszcze pięćdziesięcioro innych mieszkańców. Oto mamy przypadkowo wgląd w to, jak o wojnie i życiu innych ludzi myśli katolik współprzewodzący atomowemu mocarstwu.

W całej niesławnej wymianie na Signalu to dla mnie jedna z bardziej wstrząsających wypowiedzi. Życie uczy nieufności do religijnej ostentacji, ta zaś miała miejsce w kontekście polityki i bombardowania budynku mieszkalnego. Wiara, militaryzm i triumf to niebezpieczne połączenie. Podobnie zresztą jak inna demonstracja religijności, gdy sekretarz stanu USA Marco Rubio wystąpił w Środę Popielcową w telewizji z nakreślonym popiołem znakiem krzyża na czole, gdy jego administracja masowo wyrzucała z kraju migrantów, i krótko po tym, jak prezydenta Zełenskiego upokorzono w Białym Domu.

Czy właśnie widzimy, jak wyłania się nowy wizerunek katolika? Takiego, co w kaszę sobie nie da dmuchać, każe dziękować za pomoc? Dzielnego i dumnego chłopaka? Zresztą takich dziarskich katolickich chłopców nie trzeba szukać za oceanem. Mnożące się rycerskie grupy dla katolickich mężczyzn organizują i u nas pasowania, pielgrzymki i zloty. Mnożą się też deklaracje kandydatów na prezydenta. Jestem katolikiem, chrześcijaninem, członkiem Kościoła katolickiego – deklarował w Bielsku-Białej Karol Nawrocki. Troszkę bardziej po katolicku zadziorny okazał się Sławomir Mentzen, wyznając w programie Wojewódzkiego, że w zasadzie nie trawi obecnego papieża. „Nazwałem go południowoamerykańskim komunistą. Nie zgadzam się z nim w wielu sprawach. Kościół, uważam, kilkadziesiąt lat temu popełnił olbrzymi błąd, po Soborze Watykańskim II. Odszedł wtedy od swoich zasad". W środowisku Konfederacji ponoć mówi się, że Sławek jest prawdziwym katotalibem. Taliban to jednak jest dość groźne skojarzenie.

„J.D. Vance to przyszłość katolicyzmu" – powiedział mi ostatnio znajomy teolog. Jak to możliwe? „Kobiety odchodzą od konserwatywnego katolicyzmu, więc nie wychowują w nim dzieci. Zatem przyszłość katolicyzmu to męscy konserwatywni konwertyci, tacy jak Vance" – wyjaśniał. I przyznam, że zmroziła mnie trafność tej obserwacji. Vance dokonał konwersji na katolicyzm dopiero 6 lat temu, nazywa ją dołączeniem do ruchu oporu.

Tak, katolicyzm bywa magnesem dla konserwatywnie myślących mężczyzn. Wabi ich jego wiekowość, trwałość niektórych przekonań. Ale też, powiedzmy sobie szczerze, przyciąga ich Kościół katolicki jako nobliwy rezerwat patriarchatu, miejsce, w którym nie trzeba się napinać na równość płci, bo jej specjalnie nie ma, i nie trzeba szanować osób LGBT+, bo tu się ich nie poważa. Kościół mający głębokie zasoby tradycji, by usprawiedliwić mizoginię i odesłać kobiety do ich głównego powołania: rodzenia dzieci.

Pytanie, czy oddamy nasz Kościół, uparcie chcący pozostać rezerwatem patriarchatu, dzielnym konserwatywnym chłopakom, czy uda się patriarchat ukruszyć? Żeby ukruszyć patriarchat, w czasie Wielkiego Postu dziewczyny z różnych miejsc świata ogłosiły Strajk Katoliczek w odpowiedzi na brak konkretnych decyzji synodu o synodalności w sprawach dotyczących kobiet. Nazwałyśmy to strajkiem, żeby pokazywać swoją nieobecnością i odmową wykonywania pracy odpłatnej lub wolontariackiej, jak bardzo kobiety są obecne w życiu swoich lokalnych Kościołów. Są wszak miejsca, gdzie prowadzą liturgię, administrują parafiami i diecezjami. Ale i w polskim Kościele bez kobiet trudno o schole, katechezę, charytatywne dzieła w parafiach. Ba, jak zauważyła jedna z dziewczyn na naszych przedstrajkowych naradach, bez poświęcających czas matek dzieci nie pojawią się na nabożeństwach.

Kobiety związane ze Stowarzyszeniem Tekla wyszły 29 marca w Krakowie na plac Marii Magdaleny z transparentami. Od hasła „Apostoł Julia pyta, gdzie jej następczynie?" po „Kościół taki pro-life, a przewijaka nie ma". To był pewnie pierwszy uliczny protest polskich katoliczek w sprawie ich równości w Kościele. Jedne się już znały z demonstracji w Rzymie podczas synodu, inne usłyszały o tej manifestacji w mediach. „Trzeba kontynuować" – mówiły potem. No trzeba. Zapiszcie sobie w kalendarzach niedzielę, 22 marca 2026. Szykuje się dalszy ciąg. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

HISTORIA

„DZIADEK" Z DRUGIEJ BRYGADY

Był jednym z najlepszych dowódców Legionów Polskich podczas I wojny światowej. Odważny, ale i uważny: żołnierzy napominał, by nie szafowali „trudem, krwią i życiem". Mimo to pozostaje w cieniu Piłsudskiego. 100 lat temu zmarł Zygmunt Zieliński.

PIOTR HAPANOWICZ

Mało kto o nim dziś pamięta. Może dlatego, że gdy mowa o Legionach Polskich z czasów Wielkiej Wojny 1914-1918, w naszej narracji dominuje I Brygada i jej komendant Józef Piłsudski. O pozostałych dwóch brygadach legionowych i ludziach z nimi związanych pamiętamy mniej.

Kim był zatem Zieliński – ten dwukrotny kawaler Orderu Virtuti Militari, czterokrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych i jeden z nielicznych wojskowych, który otrzymał w okresie międzywojennym najwyższe odznaczenie, Order Orła Białego?

W SŁUŻBIE AUSTRII | Urodził się w 1858 r. w podkrakowskich Rzeszotarach, w niezamożnej rodzinie szlacheckiej. Gdy miał pięć lat, ojciec poszedł na ochotnika za graniczną Wisłę – w zaborze rosyjskim wybuchło powstanie styczniowe, a austriacka Galicja stała się dlań zapleczem operacyjnym: stąd szli ochotnicy i materiały wojenne.

Ojciec przeżył i wrócił, a mały Zygmunt słuchał potem jego opowieści o ojcowskiej służbie pod komendą legendarnego Dionizego Czachowskiego, który dowodził oddziałem w Świętokrzyskiem (i zginął, w listopadzie 1863 r.).

Zygmunt kształcił się w gimnazjum w Nowym Sączu, po czym wstąpił do austriackiej armii. W tamtym czasie, w II połowie XIX w., w Galicji panowała coraz większa autonomia i postrzeganie państwa zaborczego było inne niż w Kongresówce. Korzystając z autonomii, także politycznej, galicyjscy Polacy coraz mniej widzieli w Austrii i jej cesarzu Franciszku Józefie władzę narzuconą, a coraz bardziej państwo i władcę, z którymi mogą się utożsamiać.

Szkołę kadetów piechoty w Wiedniu Zygmunt ukończył w 1878 r.; zdał egzamin oficerski. Przez kolejne lata służył w 20. Pułku Piechoty, którego żołnierzy zwano „Cwancygierami" lub „Dwudziestakami"; garnizonem pułku był Nowy Sącz. W 1910 r. otrzymał awans na pułkownika i krótko dowodził 13. Pułkiem Piechoty w Krakowie; jego żołnierzy zwano „Krakowskie Dzieci" (w obu pułkach większość żołnierzy stanowili Polacy). Choć miał opinię solidnego oficera, nie zrobił kariery w c.k. armii. Po 36 latach służby, w 1911 r. przeszedł w stan spoczynku i osiadł w Krakowie.

LEGIONY | Przed wybuchem I wojny światowej Zieliński, już jako cywil, wykorzystał swoje kwalifikacje: współtworzył organizacje strzeleckie – Polowe Drużyny Sokole.

Gdy zaczęła się Wielka Wojna, miał 56 lat i jako oficer rezerwy 22 sierpnia 1914 r. został zmobilizowany. Wystąpił jednak od razu z prośbą o przeniesienie do powstających Legionów Polskich. Otrzymał zgodę – i przystąpił do formowania 2. Pułku Piechoty, którego dowództwo objął 11 września.

Wbrew pragnieniu legionistów, którzy chcieli ruszyć na teren Królestwa Polskiego, jednostka Zielińskiego została skierowana na Węgry: do c.k. zgrupowania, które miało przeprowadzić kontrofensywę, by wyprzeć wojska carskie z regionu Marmaros-Sziget. Teren okazał się trudny, a jesienne walki wyczerpujące.

Po przejściu Karpat Wschodnich, już na terenie Galicji, legioniści podjęli ofensywę na Nadwórną (24 października), wypierając zaskoczonych Moskali. Pięć dni później brali udział w bitwie pod Mołotkowem, jednej z najkrwawszych w dziejach Legionów.

Następnie od grudnia 1914 r. do stycznia 1915 r. pułk Zielińskiego uczestniczył w walkach pod Ökörmező (dziś Mižhirja na ukraińskim Zakarpaciu), przyczyniając się do powstrzymania odwrotu sił austro-węgierskich.

NA BUKOWINIE | Potem grupa bojowa, którą dowodził Zieliński, zaczęła swój najdłuższy szlak, wiodący na wschód w kierunku Bukowiny. Polem walki stały się Alpy Rodniańskie, najwyższe pasmo Karpat Wschodnich (dziś w północnej Rumunii i na pograniczu z Ukrainą). Jeden z legionistów wspominał: „Gorszymi

ARCHIWUM ANDRZEJA MIROCKIEGO

Zygmunt Zieliński jako generał broni Wojska Polskiego. Zdjęcie wykonano po 1922 r., gdy otrzymał ten awans.

wrogami wówczas od Moskali były śniegi i mrozy".

Po przekroczeniu przełęczy Prislop oddziały zmierzały do położonej wysoko na stokach miejscowości Kirlibaba. W warunkach górskiej zimy, po ciężkich bojach legioniści zdobyli 22 stycznia 1915 r. główny punkt oporu Rosjan, ponownie otwierając armii austro-węgierskiej drogę na Bukowinę i do Galicji Wschodniej.

Sami też tam wkroczyli i idąc na północ, doszli do rzeki Prut, a 18 lutego 1915 r. zajęli Śniatyń. Wówczas to komendant całych Legionów, gen. Karol Trzaska-Durski, tak napisał o Zielińskim: „Doskonały ten wódz, dzielny żołnierz, zacny człowiek (...) posiadł najwyższe uznanie i zaufanie Komendy Legionów, a szacunek i miłość u swoich podkomendnych".

Po reorganizacji Legionów, z 2. Pułku (Zielińskiego) oraz 3. Pułku (dowodzonego przez ppłk. Józefa Hallera) utworzono II Brygadę, zwaną Żelazną lub Karpacką. Wkrótce trafiła ona na front bukowińsko-besarabski. Dowodząc częścią brygady, w czerwcu 1915 r. Zieliński zajął miejscowość Mamajowce i toczył boje o Rarańczę. Tam 13 czerwca 1915 r. miała miejsce słynna szarża na pozycje rosyjskie pod Rokitną.

„DZIADEK" | Zieliński należał do grupy najlepszych dowódców legionowych. Dawał żołnierzom przykład osobistej odwagi, ale też rozwagi. Jego podwładny z 2. Pułku wspominał: „W czasie jazdy na Węgry poczuliśmy od razu żelazną jego wolę i zamiłowanie do karności (...) w czasie największego boju lęk zaczął się zamieniać w cześć, do czci dołączył się podziw, wreszcie entuzjazm".

Podobnie pisał o nim Stanisław Rostworowski, wtedy młody wachmistrz (podczas II wojny światowej dowódca Okręgu Krakowskiego AK): „To bohater-wódz, który stał się w czasach największych trudów i najcięższych walk, najprzód 2. Pułku, a potem całej Brygady, jej głową i sercem, jej symbolem i już dzisiaj nieledwie legendą. (...) Gdy on szedł na przedzie, wiedzieliśmy, że nie idziemy na darmo".

Ze wspomnień żołnierzy można sądzić, iż Zieliński był typem dowódcy-opiekuna, który dbał o podwładnych, unikał nieprzemyślanych rozkazów, jakie mogły pociągnąć duże straty, i napominał, by niepotrzebnie nie szafowali „trudem, krwią i życiem". W II Brygadzie zyskał przydomek „Dziadek" – rzecz charakterystyczna, że identyczny nadali Piłsudskiemu jego podkomendni z I Brygady.

Jesienią 1915 r. Zieliński został komendantem Grupy Legionów Polskich. Uczestniczył w formowaniu III Brygady, której następnie został dowódcą.

KOMENDANT | W 1916 r. zaostrzył się konflikt o polityczną koncepcję Legionów między Piłsudskim z jednej strony a Komendą Legionów, a także Departamentem Wojskowym Naczelnego Komitetu Narodowego (Komitet powstał w 1914 r. jako polityczna reprezentacja galicyjskich Polaków) z drugiej. Piłsudski chciał większej samodzielności Legionów, na co nie godzili się Austriacy i Niemcy.

Spór ten zaważył na losach Legionów. Wiosną 1917 r. zostały one przekazane przez cesarza Karola I (następcę zmarłego w 1916 r. Franciszka Józefa) niemieckim władzom wojskowym. 24 kwietnia 1917 r. rozkaz generała-gubernatora Hansa von Besselera mianował Zielińskiego komendantem całych Legionów.

Objął dowództwo w okresie dramatycznej sytuacji politycznej. Jako zwolennik dalszej współpracy z Wiedniem i Berlinem został poddany ciężkiej ↦

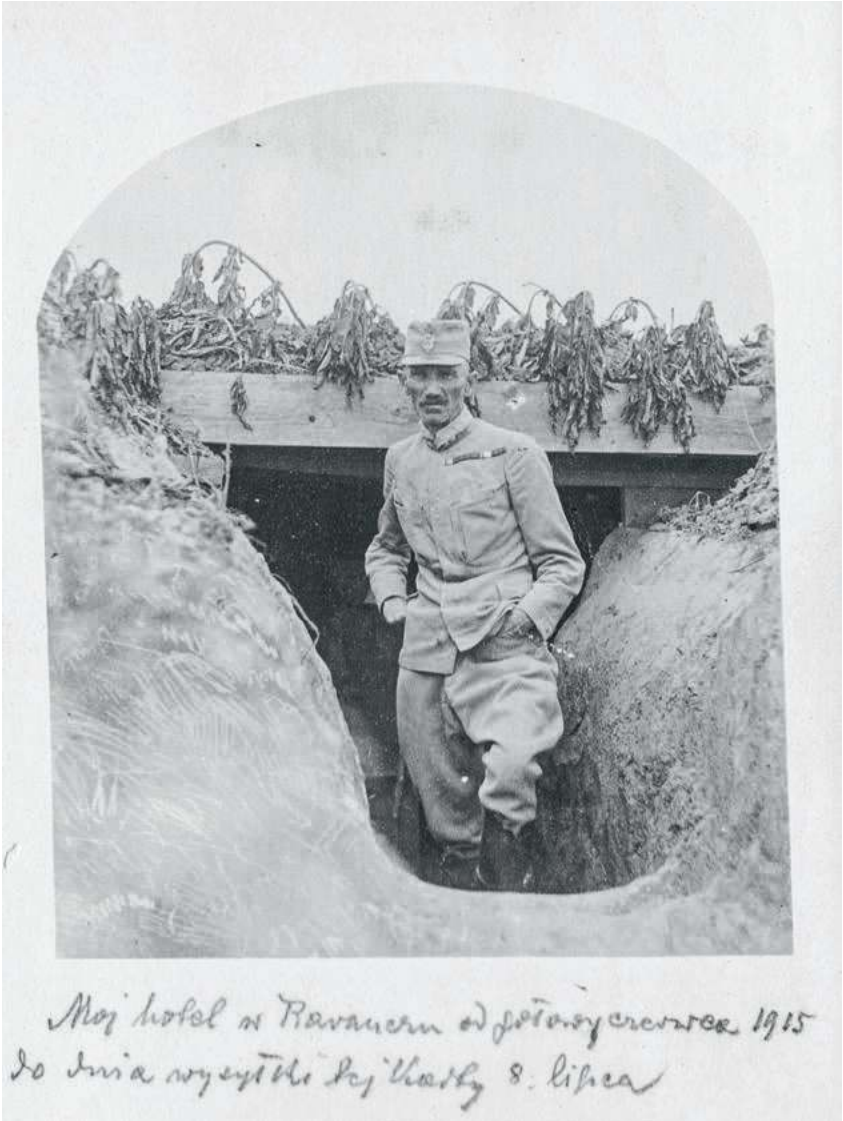

ARCHIWUM ANDRZEJA MIROCKIEGO

Pułkownik Zygmunt Zieliński w okopie na froncie bukowińsko-besarabskim pod Rarańczą, czerwiec 1915 r.

↦ próbie. Uważał, że należy przetrwać kryzys w Legionach, by zachować kadry dla przyszłego wojska polskiego. Zapewniał, że będzie stać na straży interesów wojska, i apelował o wytrwanie.

Na początku lipca 1917 r. Zieliński opowiedział się za złożeniem przez legionistów przysięgi „wiernego dotrzymania braterstwa broni wojskom Niemiec i Austro-Węgier". Za jej złożeniem opowiedziała się też Komenda Legionów, większość II Brygady Hallera i Krajowy Inspektorat Zaciągu na czele z płk. Władysławem Sikorskim.

Dlaczego tak postąpił? Zapewne nadal czuł się związany przysięgą, którą wiele lat wcześniej złożył władcy Austro-Węgier. Jednak znaczna część legionistów, z Piłsudskim na czele, odmówiła złożenia nowej przysięgi.

KRYZYSY | W odpowiedzi na ten tzw. kryzys przysięgowy Zieliński wspólnie z gen. Tadeuszem Rozwadowskim opracowali projekt organizacji przyszłego wojska polskiego. Rozkazem z 9 października 1917 r. dowódcą nowej formacji – Polskiego Korpusu Posiłkowego – został mianowany Zieliński, a trzon nowej jednostki stanowiła II Brygada. Jesienią 1917 r. Korpus trafił na besarabski odcinek frontu. W listopadzie Zieliński został awansowany na generała majora.

O dalszych losach Polskiego Korpusu Posiłkowego przesądziło podpisanie przez państwa centralne traktatu pokojowego z Ukraińską Republiką Ludową w Brześciu 9 lutego 1918 r.; zakładał on oddanie powstającemu państwu ukraińskiemu także

REKLAMA

Fundacja Dorastaj z Nami

Pomóż dzieciom Bohaterów

Przekaż 1,5% podatku

w podziękowaniu za służbę ich Rodziców

KRS: 0000 36 12 65

ziem uważanych za polskie. Skompromitowało to rząd Austro-Węgier w oczach Polaków i pogrzebało nadzieje tych, którzy nadzieje na niepodległość wiązali z Wiedniem.

Wśród legionistów dojrzała koncepcja przejścia na drugą stronę frontu i połączenia z III Korpusem Polskim na terenie Rosji. Próbę przebicia się podjęto nocą z 15 na 16 lutego pod Rarańczą. Józef Haller pisał o Zielińskim, że ten, tak lubiany i szanowany przez żołnierzy, w tym czasie był załamany, gdyż czuł, że „wiążą go przysięgi i długie współżycie koleżeńskie w armii austriacko-węgierskiej, w której służył".

Na wydarzenie pod Rarańczą austriackie władze odpowiedziały represjami, aresztując oficerów i żołnierzy Korpusu. Także Zielińskiego, który trafił do obozu w Huszt.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Płk Zieliński dekoruje ułanów II Brygady, uczestników szarży pod Rokitną, 1915 r. W II Brygadzie Legionów używano nakryć głowy kroju austriackiego (podczas gdy w I Brygadzie były to tzw. maciejówki).

O NIEPODLEGŁĄ | Jesienią Austro-Węgry rozpadły się, a zwolniony Zieliński zgłosił się do służby w powstającym Wojsku Polskim. Odrodzone państwo musiało walczyć o granice. Zielińskiego oddelegowano do Przemyśla, gdzie miastu zagrażały oddziały ukraińskie. Został dowódcą grupy operacyjnej, która wkrótce zdobyła Dobromil, a następnie Chyrów.

W kwietniu 1919 r. Zieliński zaczął formowanie 3. Dywizji Piechoty i został jej dowódcą. W połowie maja jednostki kierowane przez niego znów toczyły walki w rejonie Chyrowa i zajęły Borysław, zabezpieczając tam zagłębie naftowe. Następnie w czerwcu Zieliński walczył w rejonie Brzeżan, gdzie dzięki powstrzymaniu wojsk ukraińskich siły polskie mogły przegrupować się i na przełomie czerwca i lipca 1919 r. przeprowadzić kontrofensywę. W połowie lipca Zieliński odrzucił oddziały ukraińskie za linię Zbrucza.

Za tę wojnę otrzymał Krzyż Srebrny V klasy Orderu Virtuti Militari. Tak pisał o nim gen. Wacław Iwaszkiewicz: „Nadzwyczaj wytrwały, osobiście waleczny. (...) Posiada głęboką fachową wiedzę wojskową wspieraną wybitnym zmysłem taktycznym i organizacyjnym". Tymczasem wyczerpany Zieliński pisał do żony: „Może to już było moje ostatnie przedstawienie. Chciałbym dać wojaczce spokój, bo faktycznie fizycznie już nie mogę".

ROK 1920 | W sierpniu 1919 r. utworzono okręg wojskowy w Poznaniu, którego pierwszym dowódcą został Zieliński. W kwietniu 1920 r. otrzymał awans na generała porucznika. Mając 62 lata, był wtedy zapewne najstarszym generałem w czynnej służbie.

Od żołnierzy Zieliński zyskał czuły przydomek „Dziadek". Taki sam, jaki Piłsudskiemu nadali jego podkomendni z I Brygady.

Gdy wkrótce potem bolszewicy ruszyli na Warszawę, 26 czerwca 1920 r. został mianowany dowódcą 3. Armii, zmagającej się m.in. z konnicą Budionnego.

6 sierpnia 1920 r. Naczelne Dowództwo WP wydało rozkaz przegrupowania wojsk, przed decydującą bitwą na przedpolach Warszawy. Zadaniem 3. Armii, rozlokowanej na linii Kock-Brody, była obrona Warszawy od południa. Mimo szczupłości sił, Zieliński wywiązał się z tego, osłaniając (we współpracy z 4. Armią) koncentrację Grupy Uderzeniowej Piłsudskiego. To ona w połowie sierpnia rozpoczęła kontrofensywę znad rzeki Wieprz i rozstrzygnęła o losach bitwy warszawskiej (za wkład w wojnę polsko-bolszewicką dwa lata później Zieliński otrzyma Krzyż Komandorski II klasy Orderu Virtuti Militari).

W październiku 1920 r. został pierwszym dowódcą okręgu wojskowego „Pomorze". W lipcu 1921 r. otrzymał Order Orła Białego, a w 1922 r. awans na generała broni.

IDEA | Zygmunt Zieliński odszedł z wojska na własną prośbę na początku 1923 r. Długo się nie cieszył emeryturą: zmarł w Krakowie 11 kwietnia 1925 r. w wieku 66 lat. Pamiętając zdanie z listu do żony („już nie mogę"), można tylko spekulować, na ile przyczyniło się do tego sześć lat spędzonych na wojnie.

Spoczął na cmentarzu Rakowickim, w pobliżu wspólnej mogiły jego podwładnych – ułanów, którzy polegli w szarży pod Rokitną (w 1923 r. ich szczątki zostały ekshumowane i przeniesione z Bukowiny).

We wspomnieniu o nim Władysław Leopold Jaworski, profesor UJ i znany polityk konserwatywny, napisał: „W czem szukać magii tego człowieka? (...) Bez cienia chytrości i kłamstwa. Rycerz bez lęku i zmazy". Z kolei socjalista Herman Lieberman wspominał Zielińskiego, że był to „skromny, bez osobistej ambicji, szczery, do kłamstwa i złego uczynku niezdolny, a nade wszystko miłujący Polskę i jej dążenie do niepodległości; wszystko a wszystko, swoje zdrowie, swój byt, swoje sympatie i antypatie tej idei podporządkował".

© PIOTR HAPANOWICZ

NAUKA

GDZIE TA REWOLUCJA?

Giganci technologiczni ścigają się dzisiaj nie tylko o to, kto pierwszy stworzy uniwersalną sztuczną inteligencję. Drugi ważny wyścig dotyczy budowy komputerów kwantowych. One też mają zmienić świat.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Rzadko zdarza się, by szefowie technologicznych megakoncernów za coś przepraszali. Jeszcze rzadziej, żeby z tej okazji organizowali panel dyskusyjny.

Ale Jensen Huang nie miał innego wyjścia. „To pierwsze takie wydarzenie w historii, w której prezes prosi gości, żeby ci mu wytłumaczyli, dlaczego się mylił" – tłumaczył podczas zorganizowanej 20 marca konferencji. Huang, szef technologicznego giganta NVIDIA, dwa miesiące wcześniej spowodował giełdowy zawał. A teraz musiał udobruchać całą branżę.

Poszło o wypowiedź ze styczniowych targów technologicznych Consumer Electronics Show. Podczas wystąpienia – i późniejszej dyskusji z analitykami z Wall Street – Huang stwierdził bowiem, że „bardzo użyteczne, praktyczne komputery kwantowe pojawią się za 15 do 30 lat". A że jego firma to dziś kluczowy gracz produkujący najlepsze na świecie układy do szkolenia sztucznej inteligencji, jego słów słuchała cała branża.

Giełda zareagowała natychmiast. Akcje firm zajmujących się budową komputerów kwantowych runęły jak zrzucone z urwiska. IonQ – o 39 proc. Rigetti Computing – 45 proc. D-Wave Quantum – 36 proc. „Moja pierwsza reakcja brzmiała: »Nie wiedziałem, że to są spółki publiczne! Jak firma zajmująca się komputerami kwantowymi może być notowana na giełdzie?«" – tłumaczył w marcu szef NVIDII, która... sama zajmuje się pracami nad komputerami kwantowymi.

Ale nie tylko on publicznie powątpiewał w to, czy podobne urządzenia w najbliższej przyszłości będą czymś więcej niż naukową ciekawostką. Mark Zuckerberg, szef Meta, podczas wywiadu z podkasterem Joe Roganem stwierdził, że nie jest co prawda ekspertem od komputerów kwantowych, jednak z tego, co rozumie, „jesteśmy jeszcze daleko od punktu, w którym będą one naprawdę praktycznym paradygmatem". Winfried Hensinger, dyrektor Sussex Centre for Quantum Technologies, mówił zaś w maju 2023 r. w „Nature", że „komputery kwantowe są beznadziejne. Nie potrafią niczego użytecznego". On akurat jest ekspertem; „Nature" przedstawiła go jako jednego z nielicznych ludzi na świecie, który widział na oczy pięć różnych komputerów kwantowych.

W odpowiedzi na te wątpliwości, Alan Baratz, szef firmy D-Wave, jednego z liderów w budowie komputerów kwantowych, stwierdził, że takie spekulacje są „całkowicie błędne", bo komputery kwantowe będą znajdowały praktyczne zastosowania „nie za 30 lat, nie za 20 lat, nie za 15 lat, ale dziś".

Kto ma rację? Okazuje się, że być może... wszyscy. Co wydaje się być całkiem na miejscu w przypadku urządzeń opartych na zasadach fizyki kwantowej, pełnej paradoksów, splątań i superpozycji.

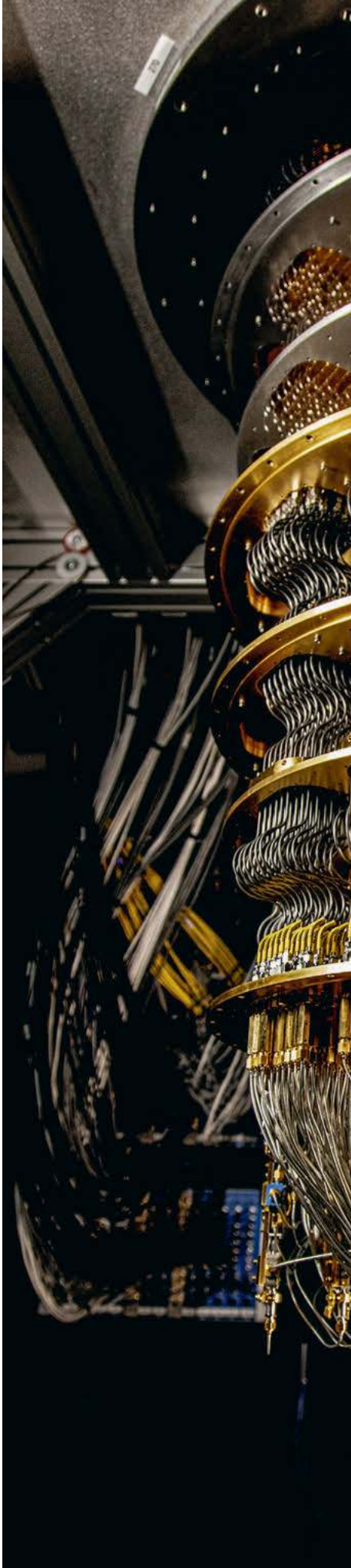

GOOGLE / COVER IMAGES / EAST NEWS

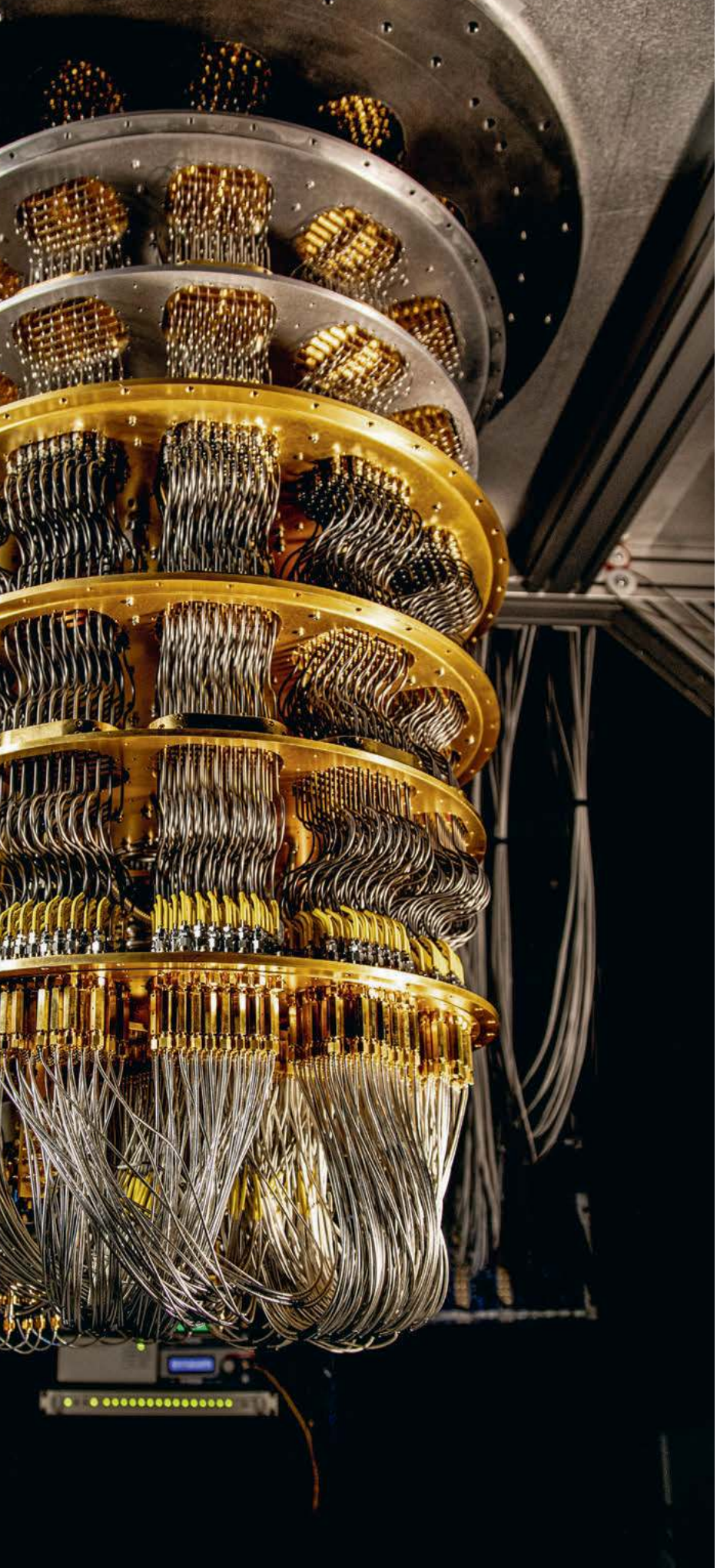

Reszko-orzeł

Zacznijmy jednak od początku, bo komputery kwantowe to temat pełen nieporozumień.

Komputery, które znamy – od smartfonów i laptopów po superkomputery zajmujące wielkie hale – opierają się na bardzo prostej zasadzie: przetwarzają informacje w postaci bitów. Każdy bit to zero albo jedynka, a ich ciągi mogą reprezentować słowa, dźwięki, liczby czy obrazy. Wszystko, co robi komputer, to manipulowanie tymi zerami i jedynkami w odpowiedniej kolejności.

Komputer kwantowy również operuje na zerach i jedynkach – ale robi to zupełnie inaczej. Jego podstawowym elementem nie jest bit, lecz tzw. kubit, który może być jednocześnie i zerem, i jedynką. Wyobraźmy sobie, że klasyczny bit to moneta leżąca na stole – może pokazywać reszkę (0) albo orła (1). Kubit jest jak moneta wirująca w powietrzu: dopóki nie upadnie, jest w stanie „reszko-orła", co fizycy nazywają superpozycją. To nie poetycka metafora. Kubit nie przechowuje po prostu jednej z dwóch wartości, tylko pewne prawdopodobieństwo wystąpienia obu z nich – i to właśnie pozwala komputerowi kwantowemu przetwarzać wiele możliwych wyników naraz. Współczesne komputery kwantowe realizują obliczenia na kubitach przy użyciu różnych technologii – nikt jeszcze nie wie, która z nich okaże się najlepsza i także to jest częścią technologicznego wyścigu.

Co więcej, dwa kubity mogą być splątane – co oznacza, że zmiana jednego wpływa natychmiast na drugi, nawet jeśli są oddalone. Albert Einstein nazywał to „upiornym oddziaływaniem na odległość". Splątanie pozwala komputerowi kwantowemu wykonywać skomplikowane operacje, których klasyczny komputer nie byłby w stanie zrealizować w „rozsądnym" czasie. W przypadku niektórych znanych problemów mogą to być setki czy tysiące, a nie miliony czy miliardy lat. Przy czym nasze szacunki opieramy na technikach liczenia, które znamy dzisiaj, a postępy w dziedzinie tworzeniu algorytmów klasycznych ↦

Przeszło stukubitowy komputer kwantowy Willow opracowany przez naukowców z Google'a. W grudniu 2024 r. firma pochwaliła się, że Willow w ciągu 5 minut wykonał abstrakcyjne zadanie testowe, którego najpotężniejszy klasyczny superkomputer nie rozwiązałby przed końcem istnienia wszechświata.

↦ i kwantowych sprawiają, że te oszacowania mogą się bardzo zmieniać.

Co to wszystko oznacza w praktyce? Komputer kwantowy nie działa szybciej od klasycznego. On działa zupełnie inaczej, jest do niego tak niepodobny, jak linijka do cyrkla. I tak jak linijka i cyrkiel, komputery klasyczne i kwantowe mają różne zastosowania. Nie będzie kwantowych smartfonów czy laptopów, bo komputery takie, jakie dziś znamy, są po prostu dużo lepsze w obsłudze arkuszy kalkulacyjnych, edytorów tekstu, wyświetlaniu filmów czy odpalaniu gier.

– Komputer kwantowy może wszystko, co komputer klasyczny, ale jego zbudowanie jest niesamowicie trudne. Musimy w nim operować pojedynczymi cząstkami elementarnymi i zmusić kilkaset czy kilka tysięcy z nich, żeby działały dokładnie, idealnie, tak jak chcemy. A potem musimy zmierzyć to i zobaczyć, co wyjdzie. To jest niewyobrażalnie trudne zadanie – tłumaczył w naszym podkaście „Miłego Antropocenu" dr hab. Marcin Pawłowski, profesor Uniwersytetu Gdańskiego, specjalista od kwantowej kryptografii, szef Zespołu Kwantowego Cyberbezpieczeństwa i Komunikacji.

– Gdybym był w stanie zbudować urządzenie o pamięci tak dużej, jak laptop, to mógłby on robić wszystko to, co komputery klasyczne i nie miałby żadnych ograniczeń. Ale nikt nawet nie próbuje iść w tę stronę, dlatego że nawet mały komputer kwantowy będzie już bardzo użyteczny – dodał prof. Pawłowski.

Nawet proste urządzenia dają bowiem ogromną przewagę w konkretnych problemach matematycznych, np. w rozkładaniu dużych liczb na czynniki pierwsze czy w symulowaniu reakcji chemicznych, które klasyczne komputery muszą upraszczać. Przykładowo, słynny algorytm kwantowego wyszukiwania, opracowany w latach 90. przez Lova Grovera, może przeszukać książkę telefoniczną o 100 milionach nazwisk w 10 000 kroków. Zwykły komputer potrzebowałby średnio 50 milionów kroków.

Problemem są jednak same kubity. To niezwykle delikatne jednostki informacji, które łatwo „gubią" swój stan – wystarczy drobny hałas, ciepło czy drganie. Dlatego większość komputerów kwantowych działa w temperaturach bliskich zera absolutnego, otoczona warstwami izolacji. A nawet wtedy kubity psują się

Komputer kwantowy nie działa szybciej od klasycznego. Działa inaczej. Różni się od niego jak linijka od cyrkla. I podobnie jak one, komputery klasyczne i kwantowe mają różne zastosowania.

GOOGLE / COVER IMAGES / EAST NEWS

raz na tysiąc operacji. Dla porównania – docelowo potrzebna jest niezawodność rzędu jednej pomyłki na miliard. Inżynierowie próbują ten problem obejść: jedni, jak Microsoft, pracują nad nowym typem kubitów (topologicznymi), inni – nad metodami automatycznej korekcji błędów. Ale na razie większość mocy obliczeniowej takich maszyn idzie właśnie na to, żeby same się nie „rozsypały".

Bariera miliona kubitów

Nawet na tym wczesnym etapie komputery kwantowe pokazują potencjał w badaniach naukowych – zwłaszcza w modelowaniu procesów chemicznych i fizycznych.

Tradycyjne komputery napotykają trudności przy modelowaniu skomplikowanych reakcji chemicznych, zwłaszcza gdy liczba zaangażowanych elektronów jest duża. Na przykład, symulacja zachowania się atomu helu, posiadającego zaledwie dwa elektrony, jest już wyzwaniem ze względu na ich splątanie kwantowe, generujące dużą liczbę potencjalnych stanów całego układu. W przypadku atomów cięższych, takich jak tul (69 elektronów), zadanie to przekracza możliwości klasycznych komputerów.

Skutkiem tego najskuteczniejsza metoda prowadzenia zaawansowanych badań z pogranicza fizyki i chemii wciąż polega na eksperymentowaniu z dziesiątkami czy setkami możliwych rozwiązań i sprawdzaniu, które działają, a które nie. Ta metoda przynosi efekty, ale jest droga i czasochłonna.

„Nie jesteśmy dziś w stanie przewidzieć zachowania elektronów" – mówił magazynowi „Wired" Christopher Savoie z firmy Zapata. Oznacza to, że prace nad nowymi materiałami czy procesami chemicznymi prowadzimy nieco na ślepo. Zapata porównuje to do sytuacji, w której Airbus budowałby nowe samoloty nie przez modelowanie komputerowe, co jest standardem od dziesięcioleci, a przez budowę małych modeli i rzucanie nimi w powietrze. „Gdybyśmy mogli symulować te procesy w komputerze, drastycznie zmniejszyłaby się liczba eksperymentów, które musimy prowadzić" – stwierdził badacz.

W pewnym sensie w tym kontekście można myśleć o komputerze kwantowym nie jako o urządzeniu do prowadzenia obliczeń, ale jak o programowalnej cząsteczce. „To system, który zachowuje się zgodnie z zasadami mechaniki kwantowej, jak cząsteczka. A stąd do symulowania procesów chemicznych droga jest stosunkowo prosta" – mówiła „Wired" Marissa Giustina z Google.

Technologia nie osiągnęła jeszcze miejsca, w którym to byłoby codziennością. Prace przeprowadzone przez badaczy z ETH Zurich w 2017 r. wskazywały, że symulowanie cząsteczki związku znanego jako FeMoco – stanowiącej kluczowy element procesów chemicznych pozwalających roślinom strączkowym przekształcać atmosferyczny azot w związki niezbędne dla wzrostu, a co za tym idzie stanowiącego klucz do o wiele efektywniejszej produkcji nawozów – wymagałoby komputera kwantowego o milionie fizycznych kubitów. To tysiąc razy więcej niż największe systemy dostępne obecnie, lecz IBM prognozuje, że barierę miliona kubitów może udać się pokonać już za 5 lat. Co więcej, równolegle powstają coraz bardziej zaawansowane algorytmy kwantowe, pozwalające wydajniej wykorzystywać kubity w obliczeniach. Postępy w obu tych obszarach mogą otworzyć drogę do przełomowych odkryć nie tylko w biotechnologii, ale także np. w projektowaniu nowych, efektywniejszych i przyjaźniejszych dla środowiska alternatyw dla baterii litowo-jonowych.

Dzień Q

Największa, najbardziej dochodowa i, potencjalnie, najgroźniejsza rewolucja jest jednak tuż za rogiem.

– Najciekawsze w komputerach kwantowych jest to, że chociaż jeszcze nie powstały w formie takiej, w której mogą zrobić coś ciekawego, już mają duży wpływ na świat – stwierdza prof. Pawłowski. – Nie mówię tutaj o książkach *science fiction*, ale o ustawodawstwie i miliardowych inwestycjach, nie w budowę komputerów, ale w przygotowanie się na to, co nastąpi, kiedy one się pojawią.

Mowa o tzw. Dniu Q. Chwili, w której ktoś, gdzieś opracuje komputer kwantowy zdolny do łamania przytłaczającej większości stosowanych na świecie szyfrów. Bo choć te maszyny w wielu przyziemnych zastosowaniach są ułomne, to akurat do przełamywania naszych obecnych kryptograficznych zabezpieczeń nadają się idealnie.

– Obecnie stosujemy coś, co nazywamy kryptografią asymetryczną. Dawniej, żeby ludzie mogli się porozumiewać w bezpieczny sposób, musieli się najpierw spotkać i wymienić klucze kryptograficzne i dzięki temu, jeżeli nikt inny nie znał tych kluczy, komunikacja była bezpieczna – tłumaczy prof. Pawłowski. – W przypadku komunikacji w internecie, nasze komputery stworzyły razem te klucze na podstawie tzw. klucza publicznego, czyli właśnie kryptografii asymetrycznej. Polega to na tym, że jeden komputer tworzy tzw. klucz prywatny, dzięki któremu drugi będzie mógł mu wysyłać informacje tak, że tylko ten pierwszy będzie to mógł odczytać. Ale komputery kwantowe, znając klucz publiczny, mogą odgadnąć klucz prywatny. Więc w teorii każda komunikacja będzie możliwa do złamania.

Agencje wywiadowcze na całym świecie są już na to gotowe. Nagrywają każde interesujące je przekazy wysyłane przez internet, wiedząc, że choć dzisiaj są one nie do odszyfrowania, to być może niedługo staną się jawne. Władimir Putin rozmawiał dziś z Xi Jinpingiem? Wyposażone w komputer kwantowy National Security Agency, Secret Intelligence Service czy Agencja Wywiadu w teorii będą mogły odszyfrować ich rozmowę. I nie tylko ją. W „Dniu Q" wszystko będzie mogło stać się jawne: maile, wiadomości na WhatsAppie i Signalu, systemy kontroli lotów, dane medyczne, portfele kryptowalut czy wszystkie elementy globalnego systemu finansowego. Według raportu Global Risk Institute, opublikowanego w grudniu ubiegłego roku, eksperci zgadzają się, że istnieje 34 proc. prawdopodobieństwa, że w ciągu dekady powstaną komputery kwantowe zdolne do poradzenia sobie z którąś z obecnych metod szyfrowania. To byłaby zapowiedź nadejścia „Dnia Q".

Wszyscy są jednak tego świadomi, stąd miliardowe inwestycje, które idą w tworzenie bezpiecznych systemów szyfrowania. „Kryptografia postkwantowa" zakłada, że skoro już dziś wiemy, jakimi metodami komputery kwantowe będą próbowały łamać dzisiejsze zabezpieczenia, możemy zawczasu opracować nowe szyfry, które dla kwantowych przybyszy będą poważnymi zagwozdkami. Zamiast najpopularniejszego dziś algorytmu RSA, tworzącego klucze prywatne od 1977 r., zaprojektować nowy, pełen pułapek nie do przejścia dla kwantowych podsłuchiwaczy. Kandydatów jest wielu, pośród nich również zupełnie niewinne, „klasyczne" metody ilościowe.

Czasem może wystarczyć odpowiednik dłuższego hasła: procesory kwantowe też wszak potrzebują czasu na wykonanie swoich obliczeń, jeśli więc zada im się odpowiednio trudne zadanie, można stworzyć system, którego złamanie będzie w praktyce niemożliwe. Amerykańska National Security Agency regularnie publikuje swoje własne oszacowania, jak długi musi być klucz w określonym algorytmie szyfrującym, aby pozostał odporny na „ataki kwantowe". Dla wygody podają osobno wyniki dla treści „Secret" i „Top Secret" – dla popularnego szyfru symetrycznego AES poziom bezpieczeństwa „Top Secret" osiąga się po prostu poprzez dwukrotnie dłuższy klucz szyfrujący. Wyścig zbrojeń pomiędzy tymi, którzy chcą podsłuchiwać, i tymi, którzy nie chcą być podsłuchiwani, trwa.

Kiedy przejdziemy do nowego, kwantowego świata? Tego nie wie nikt. Może być tak, jak prognozował Huang, i realne, masowe zastosowania komputerów kwantowych pojawią się dopiero w drugiej połowie wieku. Mogą nadejść za 5 lat. Nie można też całkowicie wykluczyć – mało prawdopodobnej – możliwości, że techniczne problemy z budową komputerów kwantowych napotkają ścianę, której długo nie będzie się dało się przebić.

Przewaga kwantowa

W 2019 r. Google ogłosiło tzw. przewagę kwantową – jego maszyna wykonała obliczenie, z którym, jak twierdzili badacze, klasyczny superkomputer musiałby się zmagać 10 tys. lat. Zostało to jednak szybko obalone, a już trzy lata później Feng Pan i jego współpracownicy z Chińskiej Akademii Nauk opublikowali szczegółowy przepis na to, jak wykonać dokładnie te same obliczenia w 15 godzin, i to bez dostępu do najlepszych superkomputerów. Niemal wszyscy wielcy świata technologii obstawiają jednak, że przełom jest za rogiem. W 2022 r. w firmy zajmujące się komputerami kwantowymi wpompowano 1,8 mld dolarów. Boston Consulting Group szacuje, że już w 2030 r. rynek komputerów kwantowych będzie wart przeszło 50 mld, jeśli uda się wcześniej rozwiązać kluczowe problemy, zwłaszcza te związane z korekcją błędów.

Co to oznacza dla naszej przyszłości? Nie doczekamy się z dnia na dzień superinteligentnej sztucznej inteligencji, choć być może jej szkolenie oparte na algorytmach kwantowych będzie tańsze i szybsze. Nie będzie latających samochodów czy robotów-służących. Ale wiele aspektów naszego świata – od tempa badań naukowych po sposoby, w jakie chronimy własne, poufne informacje – zmieni się niemal niezauważalnie.

Budowa praktycznych komputerów kwantowych, łączących w sobie odkrycia ponad wieku fizyki i niemal stulecia informatyki, jest wyzwaniem na miarę kolonizacji Marsa. W przeciwieństwie do tej ostatniej, jest na kursie, by osiągnąć swoje cele w ciągu kilkunastu, może kilkudziesięciu lat. I choć komputery kwantowe nie teleportują nas od razu do świata rodem ze „Star Treka" czy „Jetsonów", to mogą przeobrazić nasze społeczeństwo, gospodarkę, politykę czy życie prywatne w trudny do przewidzenia sposób. Nawet dla komputerów kwantowych.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II".

ELIZA

Kącka: *Przepraszam, to autyzm*

Tramwaj nr 16, jazda na Dolny Mokotów. Obok dwie starsze: „Dziś dzień papieski". „Rocznica". „Śnił mi się Jan Paweł". „O! To znak!". „Napisał wiersze i prosił o opinię". „Panią? Z jakiej racji?". „Też się zdziwiłam. Pytam: »Ojcze, czemu ja?«". „Właśnie". „Powiedziałam, że się do niego modlę. A ten: »Ty się za mnie módl, żebym to wydał«". „Pani Olu! To już bluźnierstwo". „Nie zmyślam". „Ja bym poszła do spowiedzi". „Ze snów mam się spowiadać?!". „Naturalnie. Papież wiersze pisze? I odwiedza taką parafiankę?". „O, przepraszam! Z panią by miał lepiej?". „Miałby". „Bo?". „Ja bym mu wybiła z głowy literaturę. Po kanonizacji?!". „Ech, prawda". „Zgrzeszyła pani z papieżem, pani Olu. Święci nie piszą wierszy".

Światowy Dzień Świadomości Autyzmu. Wskakuję do metra i jadę na konferencję w Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego, cała w stresie. Dosiadam się do matki z dzieckiem w wieku późnoprzedszkolnym. Po chwili wyczuwam napięcie, znajome bardzo. Chłopiec zaczyna buczeć i trzepotać rękoma, jakby chciał mnie odegnać. Wstaję i przesiadam się na ławę po drugiej stronie. Matka patrzy przepraszająco, dziecko cichnie i wraca do zabawy samochodzikami. Jeśli można to nazwać zabawą. Trzyma je kurczowo w dłoniach i prowadza po udach w tył, w przód, w tył, w przód. Gdyby miał krótkie spodenki, zobaczylibyśmy pręgi na skórze, ślady kół. Starszy po mojej prawej: „Po co się pani przesiada? Dzieciak ma humory – matka powinna nad tym panować". Starsza po mojej lewej: „E, proszę pana, nie wiemy, różne są schorzenia". Matka śledzi z bólem samochodzikową torturę dziecka. Wyciąga z torby notes, ostrożnie, jakby miała zaraz zdetonować bombę w przedziale. Pisze, popatrując to na nas, to na dziecko. Kreśli nerwowo kilka zdań. Na przystanku Ratusz Arsenał zrywa się i rzuca mi złożoną kartkę na kolana: więc to był list wyszarpnięty z notesu. Czytam. Wyciągam z torby książkę na podpórkę i odpisuję szybko na odwrocie kartki. I nie udaje się, bo na kolejnym wybiega z pociągu z dzieckiem, nie oglądając się na nas. Widzę ich na peronie. Mały siada na posadzce i rozjeżdża sobie nogi samochodzikami. Widać nie domknął czynności. Ona rzuca mi jeszcze spojrzenie ciężkie jak piłka lekarska. Ruszamy. W ręku trzymam dialog, którego już jej nie oddam. Ona: „Przepraszam, to autyzm. Syn musi mieć wolne siedzenie obok, denerwuje się. Ja nie chciałam. To za trudne". Ja: „Tak, za trudne. Przesiadłam się, bo już wiedziałam. Nikt nie zrozumie tego uwięzienia w lęku, kto nie...". Nie zdążyłam.

Przychodnia lokalna przy Chełmskiej, czekam pod budynkiem. Otwierają się o 7.30, zamykają rejestrację chwilkę później. Przesmyk dziesięciominutowy, a ludzi już dużo. Koczujemy na chodniku i trawnikach. „Wczoraj się nie załapałem – staruszek z opatrunkiem na oku – chociaż pokazałem oko. O tak, w szybkę tej pani okazywałem, a ona, że jutro, jutro". Starsza z laską: „Mam sto lat za chwilę". Winszujemy. Młoda, co się załapała na okupację schodków pod drzwiami: „Liczy się numerek, pani nie manipuluje". „Ale co też!". „Dobradobra, każdy tu ma stówkę, umówmy się". Staruszka podchodzi do mnie: „Pani wygląda na bez pretensji. Ruszy mi pani suwak? Coś się wcięło". Walczę z zamkiem, udało się. „Uff, aż mi gorąco od tego czekania". Przyszedł gość z małym dzieckiem: „Kto ostatni?". Babka ze wściekłą miną, w ortalionach, z wysokości schodka: „Może pan sobie darować". „Jestem z dzieckiem". Przyśmietnikowy z papierosem: „Też mogłem wziąć jakieś dziecko, pan nie bajeruje". Stulatka: „Ja tu mogę umrzeć". Gość z reklamówką: „Pani tu co tydzień doktórkę nachodzi, nic pani nie jest". „Pan też!". „No mówię, widzimy się". „To i panu nic nie jest!". Do mnie: „Szpicel". 7.32, a tam dopiero ruch za drzwiami. Reklamówkowy: „A potem powiedzą, że pięć minut zostało". Kobieta o kulach, warująca tuż przy mnie: „Puści mnie pani przodem? Mam większe problemy". Papierosowy: „Nie daje się pani, nie przeżyje pani w tym kraju". Drzwi otwierają się, wchodzimy.

Przychodnia, już pod gabinetem. Obok stulatka: „Udało się, jestem po pani". „Ano". „Pani tu nie ma doświadczenia, to powiem: niech się pani nie da od razu spławić". „Aha". „Wie pani, czego chce?". „Z grubsza". „Niech pani pamięta: tu się nie leczy, tu się wypisuje". „Z życia?". „Też. Ale jak zrozumieją, że pani nie ma interesu, to zaraz kończą. Niech pani coś z tego ma". „Skierowania potrzebuję". „I świetnie. Ja ich zamęczam". Gość po przeciwnej, zza donicy z obumarłym fikusem: „Potwierdzam. Pani nas tu szkoli". Stuletnia: „Szkolę. Polski się nie da przeżyć ot tak". Potwierdzam skinieniem. „Moją skuteczność potwierdza mój wiek". Śmiejemy się. Poważniała: „Wstyd zabił wiele kobiet". „Prawda". „Od lat im się narzucam – wskazuje brodą na gabinet – gdybym się nie uparła, byłoby po mnie". „Uhm". „I żyję na złość, bo już nie mam dla kogo". Gość zza kwiata: „Pani tak nie mówi". „Mówię, bo to dobry sposób. Na złość. Przecież nikt nas tu nie chce".

Park Promenada, przysiadam z książką. Eskalacja robót drogowych, tak łomoczą, że płoszą się ptaki, głupieją psy. Wysadzają Warszawę w powietrze, a ja do wtóru otwieram sobie felietony Ewy Szumańskiej. A ta cytuje panią w bardzo podeszłym wieku, która wspomina miasto dzieciństwa pełne konnych tramwajów, dorożek, furmanek. I że ich zniknięcie „musiało być straszne dla wróbli". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono".

W świecie, który dzieli,
my szukamy tego, co łączy.

Najnowsze, specjalne wydanie
„Tygodnika Powszechnego" powstało dla tych,
którzy mają dość prostych podziałów
na swoich i obcych.
To zaproszenie do rozmowy ponad liniami frontu,
ponad uprzedzeniami i schematami.
Dyskutujmy, zamiast się okopywać.
Bo Polska jest jedna – choć niejednorodna.

W numerze m.in.
▪ Bogdan **de Barbaro**
▪ Natalia **de Barbaro** ▪ Justyna **Bargielska** ▪ ks. Adam **Boniecki**
▪ Wojciech **Bonowicz**
▪ Olga **Drenda** ▪ Urszula **Honek**
▪ Dorota **Masłowska** ▪ Zbigniew **Mikołejko** ▪ Magdalena **Nowicka-Franczak** ▪ Michał **Okoński**
▪ Michał **Oleszczyk** ▪ Marek **Rabij**
▪ Tomasz **Stawiszyński**
▪ ks. Józef **Tischner**
▪ Ewa **Woydyłło**.

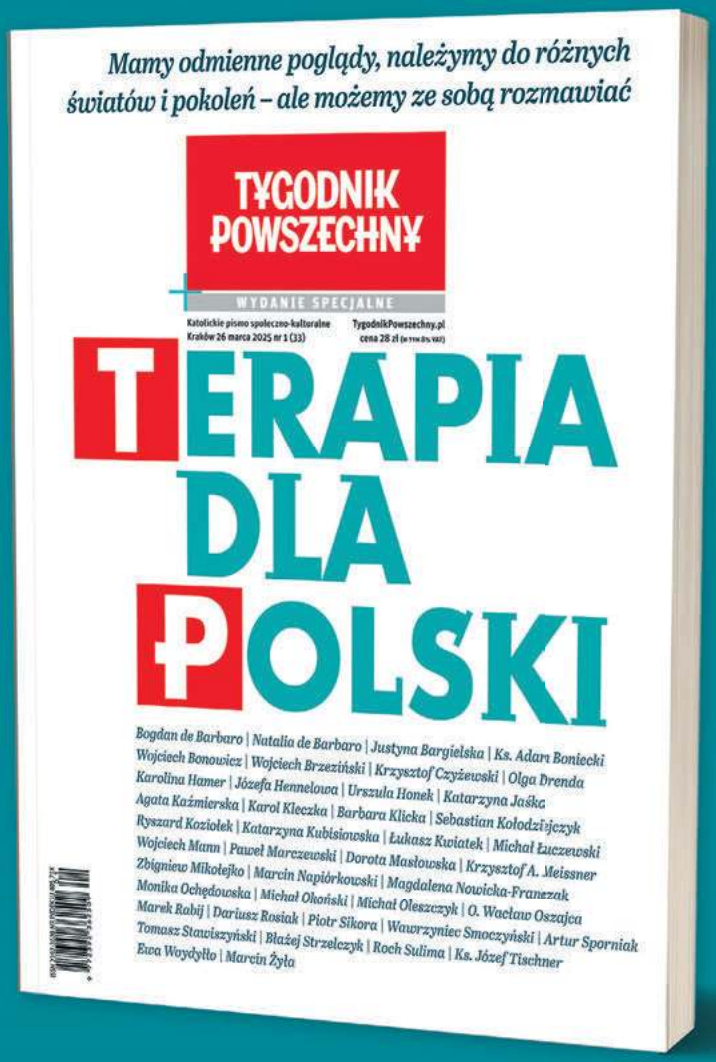

Weź, czytaj i rozmawiaj z nami!

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE

TERAPIA DLA POLSKI

W sprzedaży od środy 26 marca, w najlepszych salonikach prasowych i kioskach.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KULTURA

W LUSTRZANYM ŚWIECIE

Dwie osoby o tym samym imieniu zostają utożsamione ze sobą. To się zdarza. Ale jeśli ich zupełnie odmienne poglądy zostają zespolone w jedno spójne stanowisko, jest to już powód do namysłu nad światem.

KAROLINA MOCHNIEJ

DAVID LEVENSON / GETTY IMAGES

Gdy Naomi Klein, kanadyjska pisarka, dziennikarka i aktywistka, po raz pierwszy została pomylona z Naomi Wolf, zareagowała z mieszanką zdziwienia i rozbawienia. Był rok 2011 i w Stanach trwały właśnie demonstracje Occupy Wall Street, ruchu sprzeciwiającego się nierównościom społecznym i nadmiernemu wpływowi sektora finansowego na politykę.

Klein miała już wtedy na koncie swoje ikoniczne reportaże. W „No logo" (1999) przyjrzała się globalnym korporacjom i ich nieetycznym praktykom produkcyjnym, ale też rozłożyła na czynniki pierwsze pojęcie marki i to, jak agresywny branding wdziera się w różne obszary naszego życia. Z kolei w „Doktrynie szoku" (2007) prześledziła, jak w drugiej połowie XX wieku rządy na całym świecie wykorzystywały momenty kryzysowe, by wprowadzać drastyczne, niekorzystne społecznie reformy gospodarcze. Była już wtedy rozpoznawalnym na całym świecie głosem antykapitalistycznego aktywizmu.

Przemawiała również na demonstracji spod znaku ruchu Occupy, gdzie zwracała uwagę na to, że zarówno kryzys finansowy, jak i klimatyczny mają swoją genezę w korporacyjnej chciwości. Miała opublikować jeszcze wiele reportaży, między innymi wydany w 2014 r. „To zmienia wszystko", analizujący skalę i przyczyny globalnego ocieplenia oraz kierunek, w jakim musiałby pójść świat, żeby zapobiec katastrofie.

Ta druga

Naomi Wolf zasłynęła z kolei opublikowanym w 1990 r. reportażem „Mit urody", w którym dowodziła, jak wytwarzane przez kulturę nierealne standardy piękna i presja skupienia na wyglądzie odbierają kobietom czas i energię, które mogłyby poświęcić na realizowanie się w innych obszarach. Z początkiem nowego tysiąclecia zaczęła stopniowo zmieniać zainteresowania. W wydanej w 2007 r. książce „Koniec Ameryki", przyglądając się historii Niemiec i Włoch, opisała „10 kroków do faszyzmu" i przekonywała, że Stany Zjednoczone pierwszej dekady XXI wieku znajdują się na tej ścieżce.

Dla Naomi Klein pomyłka z „drugą Naomi" wciąż jeszcze była zabawną anegdotą. W końcu łączy je nie tylko imię – są też do siebie podobne fizycznie, w zbliżonym wieku, obie piszą reportaże o sprawach społeczno-politycznych i mają żydowskie korzenie. Problem pojawił się wraz z pandemią covid-19, kiedy Wolf zaangażowała się w ruch antyszczepionkowy (oraz wszystkie teorie spiskowe związane z „plandemią"). Stała się bardzo aktywna w mediach społecznościowych. I wtedy wielu odbiorcom narracje dwóch Naomi skleiły się w dziwaczną całość.

Tezy z „Doktryny szoku" Klein, wskazujące mechanizm kryzysów i kataklizmów wykorzystywanych przez rządy państw do przeprowadzania radykalnych reform, internetowy komentariat rozciągnął na obostrzenia, które większość krajów wprowadziła, by zapobiec rozprzestrzenianiu się wirusa. Notoryczne

Naomi Klein. Londyn, 13 czerwca 2024 r.

mylenie ze sobą dwóch Naomi zaczęło być wzmacniane przez algorytmy karmiące się konfliktem i polaryzacją. Sama Wolf odpłynęła w stronę ruchu alt-right, który gromadził wówczas antyszczepionkowców z przeróżnych środowisk. Stała się regularną gościnią programów Tuckera Carlsona i Stephena Bannona, byłego doradcy Donalda Trumpa.

To pomieszanie, na fali towarzyszących mu emocji – przerażenia przeplatanego z rozbawieniem, irytacją i zdumieniem – Klein postanowiła opisać w swej ostatniej książce „Doppelgänger. Podróż do lustrzanego świata" (2024). Kiedy wyszła w Polsce, jej echo nie było tak donośne jak te wynikające z poprzednich, które ustanowiły także u nas jej status gwiazdy. Jednak czytany dziś „Doppelgänger" brzmi niepokojąco aktualnie.

Język prawicy

Klein zwraca uwagę, że język ugrupowań skrajnie prawicowych jest tak przekonujący, gdyż poprawnie identyfikuje pewne problemy. Unaoczniło się to szczególnie w pandemii, gdy podstawę do teorii spiskowych stanowiło przekonanie, że światem kierują tajemnicze elity, chcące, przy użyciu kłamstwa o wirusie, przeprowadzić na ludziach eksperyment. I co? Po wygranej Trumpa w wyborach opadły wszelkie pozory i jawnie już wyłoniła się oligarchia złożona z miliarderów i gigantów branży technologicznej, podporządkowująca politykę swoim interesom. ↦

Podobnie słuszne wydawały się zarzuty ruchów antyszczepionkowych, które (mimo swojej oczywistej szkodliwości) trafnie wskazywały koncerny farmaceutyczne jako głównych beneficjentów pandemii. Jak szacował Bloomberg, pełne zaszczepienie całej ludności świata kosztowałoby około 50 miliardów dolarów. Tylko nieco więcej niż Elona Muska kosztowało przerobienie Twittera w X. Wymagałoby to jednak nagięcia prawa patentowego, które umożliwiło firmie Pfizer sprzedaż kolejnych dawek szczepionek krajom takim jak USA, Kanada czy państwa europejskie, zanim pierwsze dawki otrzymali mieszkańcy krajów afrykańskich. Wpłynęło to oczywiście na długoterminową skuteczność całego programu szczepień, bo mutujące wirusy nie znają granic między państwami. Ale pieniądze zostały zainkasowane.

W populistycznej retoryce każde pojęcie, idea, zwrot czy zarzut może zostać przejęty – pozbawiony oryginalnego znaczenia. Klein podaje przykład wyrażenia „fake news", które powstało, by wskazać dezinformację, wiadomość, która ma wyglądać na prawdziwą i celowo wprowadzać w błąd w celach propagandowych czy politycznych. Podczas swojej pierwszej kadencji Trump użył go publicznie ponad 2000 razy. Określił nim prawie każde większe medium prasowe i telewizyjne krytyczne wobec jego polityki, łącznie z CNN, „The Washington Post" i „New York Timesem". W lutym tego roku odwróceniu poddał słowo „dyktator", kiedy określił nim Wołodymyra Zełenskiego. Zapytany o to, czy określiłby w ten sposób prezydenta Rosji, odparł, że nie używa takich słów lekko.

Problemem, na który zwracają uwagę środowiska polityczne z prawej i lewej strony, choć z zupełnie innych powodów, jest też globalizacja, którą krytykują aktywiści tacy jak Klein, ze względu na to, że umożliwia eksploatację biedniejszych krajów i nieetyczne praktyki korporacyjne. Prawicowa krytyka otwarcia gospodarczego na resztę świata wyraża się w realizowanej przez Trumpa polityce izolacjonizmu i wojen celnych, wszczynanych z krajami będącymi jak dotąd najbliższymi partnerami handlowymi USA.

Oblicza kapitalizmu

We wpatrzonej w Stany Zjednoczone Polsce opowieść o tym, że każdy jest kowalem własnego losu, podatki to najgorsze zło, a do milionów na koncie dochodzi się ciężką pracą, wciąż porządkuje postrzeganie rzeczywistości ekonomicznej dużej części klasy średniej. W „Doppelgängerze" Klein zwraca uwagę na to, jak bardzo ta opowieść zdominowała naszą kulturę i postrzeganie rzeczywistości.

> Naomi Klein przekonuje, że alternatywne rozwiązania polityczne istnieją. **Wystarczy po nie sięgnąć.**

W krzywym lustrze kapitalizmu wszelkie jednostkowe niepowodzenia – ubóstwo, uzależnienia, długi – przypisuje się indywidualnemu nieudacznictwu, podobnie jak sukcesy, które mają świadczyć o ciężkiej pracy, determinacji i ogólnej wyższości osoby, która je osiąga. W rzeczywistości o tym, w jaki sposób potoczy się życie danego człowieka, w ogromnej mierze decydują czynniki, na które nie ma wpływu: gdzie i w jakiej klasie społecznej się urodził, ile pieniędzy ma jego rodzina, jaki kapitał kulturowy otrzymał w dzieciństwie.

Narracja o jednostkowej sprawczości powstała, by zbagatelizować istnienie nierówności społecznych, do których prowadzi skrajny, wolnorynkowy kapitalizm. „Doktryna szoku" Klein opowiadała historię narodzin systemu opartego na trzech filarach: prywatyzacji majątku państwowego, deregulacji i wypłaszczenia opodatkowania sektora korporacyjnego oraz cięcia wydatków socjalnych. Klein demaskuje mity i przekonania związane z tą ideologią.

Jednym z mitów jest utożsamianie takiego kapitalizmu z demokracją. W Polsce (będącej jednym ze studiów przypadku „Doktryny szoku") to przekonanie jest szczególnie silne, bo to właśnie przemiana ustrojowa 1989 r. była tym szokiem, który został wykorzystany przez ówczesną polską klasę polityczną do wprowadzenia drastycznych reform gospodarczych. Rzeczywistość ekonomiczna, która narodziła się po wdrożeniu planu Balcerowicza, jest w społecznym odbiorze utożsamiana z wolnością po upadku Związku Radzieckiego.

Tak naprawdę, tłumaczy Klein, to silne procesy demokratyczne stały na przeszkodzie wprowadzania przez rządy skrajnie wolnorynkowej polityki ekonomicznej, ze względu na jej niekorzystny społecznie charakter. Dlatego do jej forsowania wykorzystywano momenty szoku wywołanego kryzysami i kataklizmami. Pierwszym neoliberalnym poligonem doświadczalnym było Chile, gdzie w latach 70. po zamachu stanu i zamordowaniu wybranego demokratycznie lewicowego prezydenta Salvadora Allende władzę przejęła wojskowa dyktatura.

Prywatne i publiczne

Kolejnym mitem, który punktuje Klein w „Doktrynie szoku", jest przekonanie, że w idealnym świecie gospodarka wolnorynkowa powinna być posunięta jak najdalej, a każde odchylenie od tego modelu, nawet jeśli niechętnie uznane za konieczne, jest krokiem w stronę komunizmu. Taką wizję ekonomii głosił Milton Friedman, który uważał, że wszystkie gałęzie usług i przemysłu powinny być prywatne, państwo nie powinno w żaden sposób ingerować w gospodarkę, a rynek ma – niczym przyroda – naturalną zdolność do samoregulacji.

Przykłady na to, do czego prowadzi abdykacja państwa z jakiegoś sektora, nietrudno znaleźć po obydwu stronach Atlantyku. W Polsce potoczny termin „patodeweloperka" przedostał się już do języka publicystyki i literatury naukowej. Widać, że wystarczająco trafnie opisuje, co stało się z polską urbanistyką i rynkiem mieszkaniowym w pierwszych dekadach XXI wieku. Doprowadziła do tego deregulacja przepisów urbanistycznych i mieszkaniowych, która począwszy od ustawy o planowaniu przestrzennym z 2003 r. stopniowo zdejmowała z deweloperów kolejne ograniczenia i obowiązki.

Z kolei amerykański system prywatnych ubezpieczeń zdrowotnych jest zaprojektowany tak, by umożliwić firmom ubezpieczeniowym opóźnianie i odmowy wypłacania świadczeń. Amerykanie toną w długach medycznych albo całkiem rezygnują z leczenia, byle nie narażać siebie i swoich rodzin na gigantyczne koszty. Jednocześnie pogląd, jakoby służba zdrowia powinna zostać w jakiś sposób upaństwowiona, jest bar-

dzo niepopularny i natychmiast przywołuje komentarze o komunizmie.

W krajach neoliberalnych niełatwo przebija się do kolektywnej świadomości fakt, że priorytetem prywatnej korporacji, niezależnie, czy związanej z sektorem zdrowotnym, gastronomicznym, czy paliwowym, zawsze będzie generowanie jak największego zysku, a nie dobro ludzi będących ich odbiorcami.

Jak dowodzi Klein, wyważony kapitalizm, zakładający kompromis pomiędzy wolnym rynkiem a silnym państwem opiekuńczym, jest możliwy, bo zanim został wypaczony przez ideologię neoliberalną, istniał po wojnie w wielu krajach Europy i w Stanach Zjednoczonych. Wymagałby jednak od klasy politycznej faktycznego dążenia do wyrównania szans i reprezentowania interesu społeczeństwa, a nie miliarderów i wielkich korporacji.

Warunki życia

W książce „Doppelgänger" Klein zastanawia się, czy przebudzenie skrajnie prawicowych i faszystowskich nastrojów na Zachodzie jest rzeczywiście tak nagłe i zaskakujące. Podpowiada, że, szukając ich źródeł, należy przyjrzeć się podstawom, na których stoi „zachodnia cywilizacja". Historia Europy opierała się na supremacyjnym dążeniu do ekspansji, w wyniku którego „unicestwianie całych narodów i kultur jest nie tylko nieuchronnym elementem postępu, lecz także nieodzownym stadium w ewolucji rodzaju ludzkiego".

Jakaś forma tego przekonania o wyższości nad innymi narodami wciąż ma się dobrze na Zachodzie. XX-wieczna dekolonizacja świata, która miała zamknąć epokę kolonializmu i dominacji wielkich imperiów, nie stanowiła cezury kończącej eksploatację jednych krajów przez drugie. Mechanizmy te oraz ich skutki przeanalizował Martín Caparrós w swoim głośnym reportażu „Głód" z 2014 r. Opisuje w nim narracyjną ekwilibrystykę, którą musieliśmy wykonać, by usprawiedliwić dysproporcje bogactwa i warunków życia na świecie i fakt, że w XXI wieku, kiedy posiadamy jako cywilizacja wszelkie środki, żeby temu zapobiec, wciąż ponad 795 milionów ludzi głoduje, a 3 miliony dzieci każdego roku umiera z niedożywienia (dane z 2014 r.).

Caparrós analizuje też powojenny konsensus, podtrzymywany takimi instytucjami jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy, mający w założeniu dążyć do światowej stabilizacji, w rzeczywistości przyczyniający się do pogłębiania nierówności ekonomicznych na świecie. W ramach tego systemu kraje znajdujące się w trudnej sytuacji ekonomicznej otrzymują wsparcie w postaci kredytów czy dostaw żywności, ale w zamian muszą otworzyć się na globalny system handlowy i zaimplementować neoliberalne reformy gospodarcze. W praktyce prowadzi to do sytuacji, w której ceny zboża w krajach takich jak Niger czy Ghana są dyktowane wahaniami na giełdzie papierów wartościowych w Chicago. Wielkie korporacje mogą za to bez przeszkód eksploatować surowce w państwach afrykańskich, których nie stać na niezbędną do tego infrastrukturę i których społeczności nie mają możliwości partycypowania w zyskach.

Skutki tego mechanizmu naświetla również Naomi Klein w swoim debiutanckim reportażu „No logo". Opisuje tam praktyki marek odzieżowych, obuwniczych czy samochodowych, które outsourcują masową produkcję do Indonezji, Bangladeszu czy Filipin. Fabryki w powstających tam strefach przetwórstwa eksportowego mają wspólne cechy: kilkunastogodzinny dzień pracy, głodowe zarobki, niewspółmiernie niskie w stosunku do cen wytwarzanych w nich produktów, i... tymczasowość. Specjalne strefy ekonomiczne otrzymują bowiem kilkuletnie zwolnienia podatkowe dla firm przenoszących do nich produkcję, a po upływie tego okresu proces taki najczęściej zwija się i przenosi do innego kraju.

Polityka przyszłości

Zarówno „Doppelgänger", jak i mroczne rzeczywistości opisane w „No logo" i „Doktrynie szoku" pozostawiają jednak czytelników z iskierką optymizmu. Klein uparcie przekonuje, że alternatywne rozwiązania polityczne istnieją i funkcjonowały w różnych miejscach na świecie, zanim zostały wyparte przez tragiczne okoliczności. Wystarczy po nie sięgnąć.

Już w kontekście obecnych wydarzeń politycznych w USA Klein na swoich mediach społecznościowych nawiązuje do metafory sobowtóra i zakrzywionego lustra na poziomie jednostkowym i psychologicznym. Pisze, że konfrontacja z sobowtórem, zakrzywionym odbiciem, kimś wypaczającym idee, w które wierzymy, pokazuje nam wypartą część nas samych. Coś, czego w sobie nie chcemy, nie akceptujemy.

Łatwo takiego kogoś zaszufladkować, odciąć się i przyjąć pozycję moralnej wyższości. Ale jakakolwiek przyszłościowa polityka musi opierać się na empatii, szacunku i zacieraniu granic – skutki tej opartej na podziałach i poczuciu wyższości już znamy. © KAROLINA MOCHNIEJ

▪ DOPPELGÄNGER. PODRÓŻ DO LUSTRZANEGO ŚWIATA
Wydawnictwo Muza, 2023

Czy przebudzenie skrajnie prawicowych i faszystowskich nastrojów na Zachodzie jest rzeczywiście nagłe i zaskakujące?

▪ DOKTRYNA SZOKU. JAK WSPÓŁCZESNY KAPITALIZM WYKORZYSTUJE KLĘSKI ŻYWIOŁOWE I KRYZYSY SPOŁECZNE
Wydawnictwo Muza, 2007

O tym, jak w drugiej połowie XX w. rządy na całym świecie wykorzystywały momenty kryzysowe, by wprowadzać drastyczne, niekorzystne społecznie reformy gospodarcze.

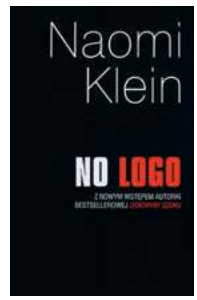

▪ NO LOGO,
Wydawnictwo Muza, 2002

Autorka przygląda się globalnym korporacjom i ich nieetycznym praktykom produkcyjnym. Rozkłada na czynniki pierwsze pojęcie marki i to, jak agresywny branding wdziera się w różne obszary naszego życia.

NEIL THOMSON / FORUM

Obecny skład zespołu The Beta Band: Steve Mason (gitara i wokal), Richard Greentree (bas), John Maclean (instrumenty klawiszowe) oraz Robin Jones (perkusja). 7 marca 2025 r.

Szkocka szkoła gry

BARTOSZ SADULSKI

To będzie najbardziej niespodziewany powrót na scenę tego roku. The Beta Band potrafili brzmieć jak każdy zespół, który był przed nimi i po nich, zachowując autentyczność i autonomię w swej dziwności.

Ich pięć minut przypadło na ostatni rok XX wieku. W filmowej adaptacji książki Nicka Hornby'ego „High Fidelity", znanego u nas pod figlarnym tytułem „Przeboje i podboje", sarkastyczny właściciel sklepu muzycznego Rob Gordon grany przez Johna Cusacka szepcze swojemu łysemu współpracownikowi na ucho, że zaraz sprzeda pięć kopii ich albumu. Po czym puszcza najbardziej znaną piosenkę The Beta Band: „Dry the Rain". Klienci zaczynają delikatnie falować w rytm trąbki i refrenu niczym trzciny poruszane wiosennym zefirkiem.

Przez krótką chwilę w sklepie panuje sielankowa atmosfera kosmicznej jedności. Jeden z kupujących, gładko ogolony meloman, najpierw pyta o nazwę zespołu, a otrzymawszy odpowiedź, z pewnym siebie uśmieszkiem stwierdza: „Są dobrzy". „Wiem" – odpowiada Gordon.

Szczodre i rozpasane

Nie dowiadujemy się, ile egzemplarzy kompilacji trzech minialbumów „The Three E.P.'s" znalazło nowych właścicieli w filmie Stephena Frearsa, bowiem rozkoszne gibanie zostaje przerwane brutalnym wtargnięciem realnego, czyli próbą kradzieży płyt. Amerykański wydawca potwierdził jednak, że w ciągu miesiąca od premiery filmu w marcu 2000 r. sprzedaż albumu wzrosła czterokrotnie.

Dlaczego w takim razie cztery lata później zespół z St. Andrews, miasta z najstarszym polem golfowym na świecie, zakończył działalność z długiem w wysokości ponad miliona funtów we własnej wytwórni? I dlaczego, chociaż nigdy nie podbili list przebojów i sprzedaży, to po reaktywacji właśnie wyprzedają na pniu bilety na swoje koncerty? „Zawsze wyobrażałem sobie, że będziemy tak wielcy jak Radiohead – mówił po rozwiązaniu zespołu jego założyciel, Steve Mason – ale tak się nie stało. Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego".

Najkrótsza i najprostsza odpowiedź byłaby taka, że wyprzedzili swoje czasy. Zwinęli się niedługo po powstaniu serwisu MySpace i przed narodzinami social mediów, które wobec medialnej fatwy, jaką zostali objęci, umożliwiłyby im swobodne kreowanie własnego wizerunku abnegatów skupionych na muzyce. W jednym z późniejszych wywiadów Mason przyznawał, że muzyka jego zespołu była reakcją na popularność miałkiego britpopu i toksyczną męskość tamtej epoki. Na fenomenie nowej rockowej rewolucji, jaka przetoczyła się przez świat

muzyki na przełomie stuleci, nie mogli daleko zajechać, bowiem nagrywali albumy zbyt szczodre i rozpasane, szalenie eklektyczne i heterogeniczne, nie poddające się łatwej kategoryzacji, będące koszmarem wytwórni i krytyków.

Ich muzyczny fenomen być może najlepiej ujął legendarny szkocki menadżer Alan McGee: „The Beta Band byli połączeniem bezgranicznego eksperymentowania, ostrej samokrytyki i radosnego humoru, którego możemy już nie zobaczyć". Humor był najjaskrawszym przejawem stanu permanentnej kontestacji, w którym tkwili od swoich początków. Jakby bycie w zespole było przykrywką do realizacji najbardziej bezecnych fantazji o sabotażu własnej kariery i branży muzycznej. Na przełomie tysiącleci było w niej całkiem sporo miejsca dla wszystkich i jeszcze więcej pieniędzy. To nie pozostawało bez znaczenia dla Szkotów. Mason wielokrotnie przyznawał, że otrzymywane od wytwórni setki tysięcy funtów paraliżowały go tak bardzo, że z rozkoszą przepuszczał je na nagrania – sobie wypłacali głodowe pensje, które porównywał do wypłat w McDonaldzie.

Z trąbką na wieloryba

Debiutancki album planowali zrealizować na trzech różnych kontynentach, stanęło ostatecznie na trzech miastach szkockiej prowincji: finiszowali gorączkowo w obawie przed terminem, czego nigdy więcej nie powtórzyli, i po wydaniu ogłosili, że „album jest straszny". „To zdecydowanie najgorsza płyta, jaką kiedykolwiek nagraliśmy i prawdopodobnie jedna z najgorszych, jakie ukażą się w tym roku" – mówił w 1999 r. Mason. Spektakularnie torpedowali promocję własnego debiutu, ale nawet mimo tego na koniec roku znaleźli się w niejednym muzycznym podsumowaniu. Za karę zostali przez wytwórnię wysłani na koncerty po europejskiej prowincji.

Pieniądze od wytwórni przepuszczali na ciągnące się w nieskończoność nagrania i tony sprzętu muzycznego czy kombinezony na rzepy, do których można było przyczepiać litery (technik zgubił je w metrze). Sami kręcili swoje teledyski, małe arcydzieła sztuki wideo. W trakcie jednego z koncertów w Stanach Mason urządził zbiórkę na broń, z której mógłby zastrzelić George'a Busha, w efekcie czego za zespołem podobno podążało FBI.

Wszystko, co robili, począwszy od włączania do swojego brzmienia elementów elektroniki, r&b, hip hopu, psychodelii i popu, przez zaproszenie do współpracy przy nagraniu najbardziej znanej piosenki faceta, który na trąbce potrafi imitować dźwięki wielorybów, a skończywszy na zatrudnieniu menadżera z Los Angeles tylko ze względu na jego absurdalnie kalifornijski akcent, było nieustraszoną zabawą w sztukę, niekończącym się performansem, którego cel wydaje się równie brawurowy, co mglisty.

Bez względu na to, czy powodowała nimi troska o własną niezależność i artystyczną wolność, czy niechęć do korporacyjnego świata muzyki, zdołali w ciągu zaledwie ośmiu lat nagrać trzy minialbumy oraz trzy płyty. Wszystkie były napakowane niekonwencjonalnymi pomysłami, ale też rozkosznie niekonsekwentne, lekceważące poziomem złożoności i długością piosenek zasady rynku i cierpliwość słuchaczy. Potrafili brzmieć jak każdy zespół, który był przed nimi i po nich, zachowując jednocześnie autentyczność i autonomię w dziwności.

Być może dlatego przetrwali. The Beta Band nie mieli prawa odnieść sukcesu w momencie, kiedy pozycję zespołów wyznaczały tradycyjne media, a radiowi didżeje mieli moc autarchów. Ich muzyka została jednak na stałe wprowadzona do muzycznego krwiobiegu świata, gdzie krążyła jak promile najlepszej szkockiej przez ostatnie dwadzieścia lat.

Dług jest spłacony

Ostatni koncert zagrali dzień przed moimi osiemnastymi urodzinami, zanim jeszcze zacząłem na poważnie interesować się muzyką, więc gdy odkryłem ich dla siebie kilka lat temu, byłem przytłoczony skalą, zróżnicowaniem i bezkompromisowością tego artystycznego projektu. „Dry the Rain" natychmiast zsynchronizowało się z moją wrażliwością sentymentalnego budowlańca, ale bogactwo muzycznego spektrum The Beta Band domagało się powolnej eksploracji, podobnie jak dorobek innych muzycznych kameleonów, np. Scotta Walkera czy Davida Bowiego.

Swoim odkryciem nieskąpo dzieliłem się ze światem, niczym Rob Gordon z „Przebojów i podbojów" namawiałem znajomych do słuchania kapeli z St. Andrews, a gdy potwierdzali, że „jest niezła", w duchu klepałem sam siebie po ramieniu i powtarzałem: „wiem". Miesiącami przymierzałem się do napisania o nich, choćby przy okazji rocznicy dwudziestolecia ostatniego koncertu, ale czy ktokolwiek chciałby czytać o zespole, który nawet we własnym kraju wydawał się zapomniany? W żadnym muzycznym sklepie Szkocji i Londynu nie udało mi się kupić ich płyt.

Po rozwiązaniu zespołu muzycy zostali z niczym. Mason przez jakiś czas pracował na budowie, a swoje długi spłacał przez dwanaście lat. Realizował solowe projekty, ale też przyznawał, że nie jest w stanie zrobić niczego, co dorównuje nagraniom The Beta Band. Tłumaczył, że w latach 90. cierpiał na kliniczną depresję, którą próbował leczyć kwasem i „magicznymi grzybkami". Choroba z jednej strony przydawała muzyce zespołu głębokiej, nieco niepokojącej melancholii, ale z drugiej owocowała napadami szału lidera, który potrafił zmasakrować samurajskim mieczem instrumenty.

Przez lata nie było mowy o reaktywacji, chociażby ze względu na konflikty personalne wewnątrz kapeli, ale kiedy już nam się szczęśliwie przydarzyła, wydaje się najbardziej naturalną rzeczą na ziemi. Teraz, w marcu, po 21 latach, zespół ogłosił, że ruszy w trasę koncertową po Wielkiej Brytanii i Ameryce. Zaczną we wrześniu. Na razie odświeżyli swoje profile w mediach społecznościowych.

Ich powrót nie jest odpowiedzią na wiszące w powietrzu zachłanne zapotrzebowanie czasów popkulturowej posuchy czy wołanie nowego pokolenia fanów. Ale sami organizatorzy musieli być zaskoczeni, kiedy niezbędne okazały się dodatkowe terminy koncertów. Dopiero teraz, kiedy nie muszą z nikim walczyć, a Mason uporał się z demonami, mogą się skupić wyłącznie na muzyce. Ostatecznie to o nią przecież w tym wszystkim chodzi. ©

Autor jest poetą, prozaikiem i dziennikarzem. Laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich. Sekretarz redakcji miesięcznika „Herito".

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM **www.radiokrakow.pl**

Wielka dewaluacja

MARCIN BEŁZA

Społeczne oddziaływanie polskich nagród literackich jest właściwie bez znaczenia. W dodatku uległy one prywatyzacji: ich faktycznymi beneficjentami nie są już twórcy i czytelnicy, ale nagradzający.

Warto to sobie uprzytomnić, nim zacznie się literacki sezon: w Polsce jest ponad sto nagród literackich. Zdecydowana większość z nich przyznawana jest cyklicznie. Mimo tej niewątpliwej inflacji wciąż ich przybywa i nic nie wskazuje, żeby miało przestać.

Za najważniejszy laur w tej dziedzinie często i z nawyku uznaje się Nagrodę Literacką „Nike", która przez lata swoim prestiżem i oddziaływaniem przyćmiewała inne wyróżnienia. Z czasem wyrosły jednak kolejne, które zbudowały własną, niemałą renomę – w wymiarze regionalnym, ale przede wszystkim środowiskowym: Nagroda Literacka Gdynia, Nagroda Literacka Europy Środkowej „Angelus", Nagroda Conrada, Nagroda Literacka im. Witolda Gombrowicza, Paszporty „Polityki" w kategorii literatura czy Nagroda Literacka m.st. Warszawy.

Pytani przeze mnie wydawcy twierdzą, że nagrody „przestały już sprzedawać" – nie wpływają na czytelniczy popyt. Dotyczy to również Nagrody Literackiej „Nike", która przez lata cieszyła się opinią lauru mającego przełożenie na promocję i sprzedaż – książek-laureatek, a nawet książek-finalistek.

Jedną – choć nie najważniejszą – z przyczyn tej deprecjacji konkursów literackich jest skala rynku książkowego. W Polsce ukazuje się ponad osiemdziesiąt tytułów dziennie! Mówimy tu oczywiście o wszystkich książkach, z których większość nie ma nic wspólnego z literaturą piękną (stanowi niecałe 40 proc. ogółu). Mogłoby się wydawać, że ten zalew książek powinien sprzyjać oddziaływaniu nagród – mogłyby być latarniami dla czytelników dryfujących po tym oceanie. Dlaczego tak się nie dzieje?

Polskie nagrody literackie w swych mechanizmach funkcjonowania są mętne, czasem wręcz wątpliwe etycznie. Ich reguły funkcjonowania są zabetonowane oraz odporne na krytykę, i wreszcie – co najważniejsze – ekonomia prestiżu, która im towarzyszy, jest wyłącznie środowiskowa.

W ostatnich latach większość rozstrzygnięć w najważniejszych konkursach budziła moje wątpliwości, a nieraz wprawiała w osłupienie.

Benefity

Każdy werdykt jury w tak delikatnej materii jak literatura jest arbitralny i musi wywoływać spolaryzowany rezonans, to naturalne. Taki ferment sprzyja obiegowi literackiemu i pobudzająco oddziałuje na czytelników. Tylko że owe spory w naszym polu literackim właściwie wygasły, dyskusja wokół rozstrzygnięć konkursowych spadła niemal do zera – krytycy i recenzenci co najwyżej manifestują swoje niezainteresowanie werdyktami.

Jest to część szerszego procesu – programowej likwidacji krytyki literackiej jako platformy do prowadzenia kulturowych i ideologicznych sporów. Przykładem są teksty Macieja Jakubowiaka i Konstantego Famulskiego w „Dwutygodniku" – wokół literatury, jak zdają się postulować autorzy, ma być miło i cicho (pisałem o tym niedawno na łamach „Kultury Liberalnej", a Barbara Rojek i Sonia Nowacka w „Małym Formacie").

W krajach Europy Zachodniej jest zupełnie odwrotnie – co roku toczą się gorące debaty dotyczące rozstrzygnięć ważnych konkursów literackich – Akademii Goncourtów (najważniejsza nagroda literacka Francji), Nagrody Bookera (najważniejszy europejski laur literatury języka angielskiego) czy Literackiej Nagroda Nobla.

W tym ostatnim przypadku za dowód niech posłuży niezwykle ostra debata wokół zeszłorocznej noblistki – Han Kang – która toczyła się na łamach prasy światowej. W Polsce, poza nielicznymi recenzjami krytycznymi dzieł koreańskiej noblistki i to wyłącznie w niszowej prasie, ten temat przeszedł niemal bez echa. W ogóle krytyczna recepcja dzieł nagradzanych w Europie w ostatnich latach na łamach polskiej prasy właściwie wygasła. To wszystko powoduje, że i polskie nagrody nie mają szans wywierać realnego wpływu na czytelników, a w efekcie przynoszą niewiele korzyści pisarzom i pisarkom.

Owe korzyści ograniczają się najczęściej do niepewnych szans – na przykład na większe zainteresowanie wydawców kolejną książką laureata, najczęściej bez korzyści materialnych w postaci wysokości zaliczki czy tantiem. Nagrody mogą też budować lepszą pozycję autorów w staraniach o grant czy rezydencję literacką, sprzyjają chwilowemu zainteresowaniu mediów czy bibliotek. Nie jest to dużo i są to benefity możliwe do zdyskontowania wyłącznie w bardzo krótkim czasie.

Jurorzy

U podstaw wygaszania „mocy" polskich nagród leżą regulacje prawno-organizacyjne, na których ufundowane są konkursy.

Po pierwsze: skład jury jest powoływany bez żadnych czytelnych kryteriów przez fundatora. Prezydenci polskich miast rozdają wiele sowitych nagród. Mamy nagrodę prezydentów Gdyni, Radomia, Warszawy czy Wrocławia.

Nie ma żadnych ostrych kryteriów powoływania jury – poza tym, że mają to być „wybitni specjaliści w dziedzinie literatury" (to zapis wprost z jednego regulaminu). Z regulaminów trudno jednak wywnioskować, co to właściwie oznacza. Ba! – są nagrody, w których nie ma literalnie żadnych kryteriów rekrutacyjnych jury, przykładem (jednym z wielu) jest Nagroda im. Witolda Gombrowicza przyznawana przez prezydenta Radomia.

Powstaje zasadnicze pytanie – jakie kompetencje literackie ma, dajmy na to, prezydent Szczecina, żeby rozstrzygnąć o tym, kto ma decydować o wyróżnieniach literackich? Dlaczego tego typu decyzje nie są poddawane szerszej, publicznej debacie? I wreszcie najważniejsze – jakimi zasadami rekrutacyjnymi kieruje się ten czy inny urzędnik? Głównym kryte-

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Przygotowania do Gali Nagrody Literackiej „Nike". Warszawa, 2 października 2022 r.

rium w takim wypadku staje się zawodowstwo jurora w jurorowaniu.

Pula osób, które jurorują, jest zwarta i rzadko otwiera się na nowych ludzi. Po wygaśnięciu kadencji w jednym jury, „juror-specjalista" powoływany jest do kolejnego. A w tych nagrodach, których regulaminy pozwalają bez ograniczeń powtarzać kadencję (co samo w sobie uznaję za patologię), są jurorzy, którzy pracują tam z krótkimi przerwami całymi latami. Przykłady pierwsze z brzegu: Stanisław Bereś i Inga Iwasiów przepracowali ponad pięć lat, Przemysław Czapliński – ponad dziesięć w jury Nagrody „Nike".

Oczywiście nie podważam ich kompetencji i olbrzymich zasług. Chcę tymi przykładami (reprezentatywnymi dla większości konkursów) zobrazować tylko, jak bardzo elitarne i hermetyczne stały się gremia jurorskie.

Warto też podkreślić, że wskazania jurorów są także warunkowane osobistymi preferencjami literackimi oceniających, co jest rzecz jasna naturalne. Nie ma przecież żadnego wzorca estetycznego czy kulturowego, który mógłby dyktować twarde kryteria werdyktów konkursowych. Jednak w wąskich, elitarnych gremiach trudno uniknąć uwspólnienia osądów. A brak fermentu nie sprzyja zróżnicowaniu werdyktów i ożywieniu obiegu literackiego.

Książki autorstwa członka lub członkini kapituły nie mogą wziąć udziału w konkursie, co nie wyklucza zgłoszenia książki członka jury do innego konkursu; jest tych konkursów tyle, że żaden juror, który jest twórcą (a takich jest wielu) nie może czuć się pokrzywdzony z tytułu pracy w tej czy innej kapitule. A co ważniejsze – po zakończeniu pracy w jury danej nagrody autor może zgłosić swoją książkę do oceny w konkursie, w którym wcześniej pracował. Mamy wtedy do czynienia z sytuacją, kiedy to jury ocenia książkę swojej koleżanki lub kolegi. I nie jest to wyłącznie teoretyczna możliwość – tak działo się wielokrotnie. Zresztą w programowo zamkniętym krwiobiegu jurorów jest to nie do uniknięcia. Podobnie jak przypadek, kiedy nagrodę odbiera niegdysiejszy jej juror.

Nie bez znaczenia są też kwestie pokoleniowe. Mamy wysoką średnią wieku jurorów. Brak istotnej reprezentacji młodych krytyczek czy akademiczek w składach jurorskich zawęża horyzont nagród. Wystarczy zderzyć teksty krytyczne młodego pokolenia z pracami starszych krytyków czy akademików – rozbieżności ocen wartości literackich dzieł w wymiarze estetycznym czy społeczno-kulturowym są znaczące.

Co więcej, spektrum tytułów będących przedmiotem zainteresowania specjalistów także pokoleniowo się różni. Ale w Polsce mamy do czynienia, by tak rzec, z ligą zawodowych graczy w nagrody.

Poważne zastrzeżenia budzą też zależności ekonomiczne jurorów. Wielu z nich, za pieniądze wydawców, regularnie prowadzi spotkania autorskie lub aktywnie uczestniczy w premierach książek. Dzieła te są później zgłaszane przez wydawców do konkursów, w których decyzje o wyróżnieniach podejmują ci sami, którzy wcześniej odpłatnie promowali ich autorów. Niejednokrotnie zdarza się też, że jurorzy piszą (także za pieniądze wydawców) blurby, czyli polecenia, które czytelnik może znaleźć na okładkach książek.

Pieniądze

Niemal żadna z analizowanych przeze mnie nagród literackich nie podejmuje próby reformy swoich reguł. Najbardziej jaskrawym przykładem jest ta ponoć najważniejsza – „Nike". Jej wysokość jest niezmienna od prawie 30 lat – wynosi 100 tys. zł. Już od dawna nie jest to najwyższa kwota, jaką pisarz lub pisarka może otrzymać (przykładem „Angelus", który daje 150 tys. zł). Na pewno waloryzacja finansowa Nagrody Literackiej „Nike" mogłaby powstrzymać spadek jej znaczenia i prestiżu.

Jednak ważniejsze jest to, że „Nike" wyłania tylko jedną książkę spośród tak różnych gatunków jak proza, poezja, reportaż czy esej. Ta reguła była wielokrotnie krytykowana, bez echa rzecz jasna. A przecież mamy w Polsce dobre i sprawdzone praktyki – przykładem Literacka Nagroda Gdynia, która przyznaje laury w czterech kategoriach – poezji, prozie, eseistyce i przekładzie. Podobnie Nagroda m.st. Warszawy, która przyznaje równorzędne wyróżnienia w kilku gatunkach literackich.

„Nike" nie nagradza też finansowo nominowanych i finalistów, co także wydaje się niezrozumiałe w przypadku nagrody kreowanej na tę najważniejszą. Ale także w przypadku innych nagród zwycięzca jest zwykle jeden – nominowani odchodzą z niczym.

Nagrodzie „Nike" towarzyszyło kilka skandali – także takich, które dotyczyły składu lub funkcjonowania jury. Ostatnio okazało się, że członkinią kapituły ↦

ANNA REZULAK / MATERIAŁY PRASOWE NLG

Spotkanie z nominowanymi do 18. Nagrody Literackiej Gdynia w kategorii Proza. Od lewej: prowadząca spotkanie redaktorka naczelna „Dwutygodnika" Zofia Król oraz Mateusz Górniak, Zyta Rudzka, Agnieszka Jelonek, Wiktoria Bieżuńska i Małgorzata Żarów, sierpień 2023 r.

↦ była osoba oskarżona o mobbing w podległej jej instytucji kultury. Nagroda Literacka Nobla zawiesiła – także w związku ze skandalami wokół jury – swoją działalność na rok, żeby dokonać samooczyszczenia oraz realnej, i to publicznie konsultowanej, reformy. „Nike" trwa od trzydziestu lat niewzruszona i posiada najbardziej zabetonowane reguły ze wszystkich polskich nagród, co powodowało już gorszące patologie.

Tajemnica

To, co łączy wszystkie nagrody, to tajność – od wynagrodzeń za pracę jurora (w żadnym regulaminie nie znalazłem kwoty honorarium, poza informacją, że tę ustala fundator), po protokoły z obrad. Nie wiemy, czy w ogóle takie protokoły powstają. Nawet Literacka Nagroda Nobla otwiera swoje archiwa; archiwa polskich nagród – o ile istnieją – są zapieczętowane na wieczność.

Owa tajność ma jeszcze inny, krzywdzący autorów i autorki wymiar. Otóż fundatorzy i kapituły polskich nagród nie dbają o komunikację z czytelnikami. Rozstrzygnięcia toczą się na zamkniętych balach i bankietach, żeby następnego dnia przepaść w zmilczeniu. Wyłącznie dwie nagrody mają intensywną komunikację, ale tylko dlatego, że ich współorganizatorami są wysokonakładowe pisma – „Gazeta Wyborcza" („Nike") i „Polityka" (Paszporty).

Przytłaczająca większość wyróżnień literackich jest fundowana z publicznych pieniędzy. A konkursy literackie to niezwykle kosztowne przedsięwzięcia. Wystarczy policzyć budżety na nagrody – w przypadku niektórych przekraczają 300 tys. zł. Jeśli doliczyć do tego wynagrodzenie jurorów (tajne) oraz koszty organizacji (również tajne) okaże się, że budżety wszystkich corocznych nagród rozdawanych za publiczne pieniądze to kwota co najmniej siedmiocyfrowa.

W tym świetle brak profesjonalnej komunikacji skierowanej do czytelników zakrawa na skandal. Organizatorzy i fundatorzy nagród nie potrafią zadbać o marketing, który mógłby przyciągać uwagę czytelników, a tym samym wpływać na ich realną wartość kulturotwórczą. Jakby nikt nie był nią zainteresowany. Kapitał – ekonomiczny, kulturowy, towarzyski – obraca się wyłącznie wśród wąskiej elity.

James F. English, autor książki „Ekonomia prestiżu. Nagrody, wyróżnienia i wymiana kulturowa" wydanej w 2005 r. (polskie wydanie – 2013), będącej efektem pionierskich badań, stwierdza: „Nagrody są formą waluty w ekonomii prestiżu, sposobem na zamianę osiągnięć kulturowych w kapitał społeczny i ekonomiczny".

Sądzę, że ta myśl w skomplikowanym i mętnym uniwersum nagród literackich w Polsce pod koniec drugiej i na początku trzeciej dekady XXI w. ma przewrotną ważność: beneficjentami owego kapitału społecznego i ekonomicznego nie są nagrodzeni (pisarze i pisarki), a już w żadnej mierze odbiorcy kultury. Są nimi przede wszystkim nagradzający – zarówno miasta przyznające laury, jak i jurorzy oraz jurorki. A także prowadzący gale popularni prezenterzy i prezenterki.

Mojemu zainteresowaniu nagrodami, których ciemniejące fluktuacje śledzę od lat, towarzyszy perwersyjna ambiwalencja, bliska tej, jaką w książce „Moje nagrody" dobitnie zamanifestował austriacki pisarz Thomas Bernhard: „Przez te wszystkie lata, kiedy obsypywano mnie nagrodami, byłem zbyt słaby, by odmówić. To poważna skaza mojego charakteru. Gardziłem tymi, co dawali mi nagrody, ale nigdy nie odmówiłem przyjęcia. Wszystko to wydawało mi się wstrętne (...) Nienawidziłem tych ceremonii, ale brałem w nich udział, nienawidziłem fundatorów nagród, ale brałem od nich pieniądze. Dziś już bym tego nie zrobił". © MARCIN BEŁZA

Autor jest publicystą „Kultury Liberalnej" i „Małego Formatu".

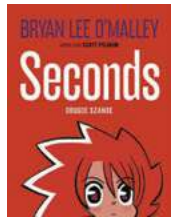

▪ *Bryan Lee O'Malley,*
SECONDS. DRUGIE SZANSE,
przeł. Elżbieta Janota,
wyd. Nagle Comics

Katie Clay zbliża się do trzydziestki. Mieszka w klitce na poddaszu restauracji, w której pracuje. Mimo że Seconds (pol. repeta) jest najpopularniejszą jadłodajnią w mieście, utalentowana szefowa kuchni traktuje ją wyłącznie jako przystanek na drodze ku spełnieniu marzeń, to jest otwarciu własnego lokalu. Piętrzące się problemy podsycają jednak jej wątpliwości. Obsesyjne pytanie o słuszność życiowych decyzji jest lejtmotywem „Drugich szans", będących mariażem literatury young adult i miejskiej baśni. Drugi z gatunków objawia się w postaci podróży w czasie, jawiących się Katie jako nadzieja na naprawę błędów młodości. Bryan Lee O'Malley, wzorem klasyków fantastyki udowadnia, że igranie z czasem niesie ze sobą katastrofalne konsekwencje. Kanadyjski autor przygląda się osobistym rozterkom zagubionej kucharki, aby z humorem opowiedzieć o bolączkach młodych dorosłych i kryzysie ćwierćwiecza. W „Drugich szansach" pobrzmiewają także echa amerykańskich kreskówek i anime, takich jak „Schin-chan" czy „Doraemon". Charakterystyczna kreska O'Malleya pozwala uwypuklić targające bohaterką emocje, a zarazem sprawia, że introspektywna historia nabiera przygodowego nerwu i dynamiki.
© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

▪ *Stanisław Łubieński,*
DRUGIE ŻYCIE CZARNEGO KOTA,
wyd. Agora

Warszawa pojawia się w naszej prozie sezonowo. Oto do księgarń trafia naraz kilka książek, których akcja rozgrywa się w stolicy, potem na jakiś czas literatura oddala się ku wschodnim i zachodnim granicom, a po jakimś czasie znów wraca na Centralny. Tak jest i tej wiosny. Niedługo po warszawskich książkach Waldemara Bawołka, Marka Bieńczyka, Doroty Masłowskiej i Pawła Sołtysa ukazują się eseje Stanisława Łubieńskiego. „Drugie życie czarnego kota" to – w największym skrócie – historia Warszawy opisana poprzez dzieje jej przyrody. Tak naprawdę jest to jednak wciągająca książka przygodowa, a momentami nawet, co tu kryć, detektywistyczna. Łubieński zabiera na spacer po ulicach i parkach lupę, szczypce i specjalne woreczki, a potem, jak prawdziwy śledczy, pozwala nam wspólnie odkrywać, co takiego znaleźliśmy w trawie. Bywają jednak w tej opowieści także znaleziska archeologiczne: na przykład dowiadujemy się, co rosło na Woli podczas interglacjału eemskiego, bo pradawne pyłki roślin można wydobyć spod ośmiu metrów sprasowanej ziemi i dokładnie przeanalizować. Inna niespodzianka czeka nas, gdy autor wśród śmieci wydobytych z dna Wisły trafia na ząb trzonowy z dolnej szczęki nosorożca włochatego. Jak przygoda, to tylko w Warszawie.
©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

▪ *Deep Silver,*
KINGDOM COME: DELIVERANCE II, *Warhorse Studios, platformy: PC, PS5, XSS/XSX*

Henryk, główny bohater serii „Kingdom Come: Deliverance", jest trochę jak Franek Dolas z „Jak rozpętałem drugą wojnę światową". Na pierwszy rzut oka nie wyróżnia się niczym szczególnym, ale w interesujący sposób prowadzi nas przez zawirowania czeskiej historii. Na skutek najazdu Zygmunta Luksemburskiego Henryk traci rodzinę, po czym brawurowo pnie się po całej drabinie feudalnej, by osadzić na tronie czeskim brata Zygmunta, Wacława. Następnie, na skutek szalonych zdarzeń, w Czechach rozpoczyna się długi i krwawy okres, najpierw kryzysu gospodarczego, religijnego i politycznego, a potem wojen husyckich. W tym wszystkim próbuje się odnaleźć i nasz bohater. Wspólnie ze swoim przyjacielem – historycznym Janem Ptaszkiem – staje w centrum wydarzeń, by dać grającym spróbować wszystkich uroków życia w średniowieczu, łącznie z walką, romansami, pańszczyzną i, oczywiście, grą o tron. „Kingdom Come: Deliverance II" wzbudziło ogromną sympatię odbiorców podobnie jak część pierwsza gry, która, choć ukazała się w 2018 r., wciąż przyciąga fanów. To wielka, zrobiona z niezwykłym rozmachem pierwszoosobowa gra RPG, pełna wspaniałych widoków, rycerskich pojedynków i czeskiego humoru.
© KONRAD JANCZURA

ARCHIWUM PRYWATNE // GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kłopoty w raju

ANITA PIOTROWSKA

W żywiole życia nie istnieją rozwiązania idealne. Każdy wybór musi mieć swoją cenę. Ciekawe, jaką lekcję wyciągnie z tego filmu najmłodsze pokolenie.

Tak naprawdę milczącym bohaterem tego filmu jest dom – taki, o którym mogłaby tylko pomarzyć większość Polek i Polaków. Chociaż niektórzy, szczególnie młodsi, woleliby urządzić go zupełnie inaczej, trudno oprzeć się pragnieniu zamieszkania na zawsze w tych solidnych murach, jasnych wnętrzach, w otulinie wypielęgnowanego ogrodu ze starodrzewem i altaną. Dla takiego miejsca można zawrzeć z życiem wiele kompromisów i na wiele nadużyć przymknąć oko.

„Skrzyżowanie", zrealizowany skromnymi środkami filmowy moralitet, napisany i wyreżyserowany przez Dominikę Montean-Pańków, opowiada przede wszystkim o narastającym poczuciu winy i przy okazji podejmuje rzadki w polskim kinie temat posiadania. Domu jako głównej stawki w grze, domu jako pułapki i wielkodusznie składanej ofiary.

Jan Englert wciela się w postać Tadeusza, emerytowanego ordynatora, szczęśliwego męża, ojca i dziadka, który potrącił autem młodego motocyklistę, doprowadzając do jego śmierci. Tabloidowa wyobraźnia natychmiast uruchomia skojarzenia z głośnymi przypadkami drogowych wykroczeń popełnianych przez uprzywilejowane osoby, ale scenariusz nie idzie po znaczonych śladach. Status głównego bohatera, jego społeczny autorytet ma tu jednak znaczenie, łatwo bowiem zaufać powszechnie szanowanej postaci, a nieżyjący nie może się już obronić.

Lecz udowodnienie przez domniemanego sprawcę własnej niewinności i umorzenie sprawy to jedno, czym innym natomiast są nagie fakty, czyli pozostawiona w następstwie wypadku młoda wdowa w zaawansowanej ciąży i na dodatek w finansowych tarapatach. Tadeusz, coraz bardziej zadręczający się winą i coraz bardziej osamotniony, chciałby jakoś zadośćuczynić rodzinie ofiary, sprowadzając wszystko do aktu materialnego poświęcenia. A to wymagałoby sprzedaży domu, na co nie chcą się zgodzić jego obnosząca się ze swoją religijnością małżonka Helena (Anna Romantowska) oraz syn Marek (Michał Czernecki). I mają w tym swoje racje. Tymczasem na rodzinnej posesji ma się odbyć za chwilę wesele wnuczki Tadeusza (gra ją Martyna Byczkowska).

Im bardziej bohater upiera się przy swoim pomyśle, tym głębiej wchodzimy w tę fasadową rodzinę, aczkolwiek prawda nigdy nie zostanie do końca ujawniona i ma swoje odcienie. Tak czy inaczej, zbyt wiele było tutaj zamiatania pod dywan i oglądane przez nas „kłopoty w raju", również w małżeństwie Marka, są w dużej mierze konsekwencjami rozmaitych postępków, późniejszych zaniechań i przemilczeń. Najważniejsza będzie teraz postawa samego Tadeusza, a Englert rozbiera swoją postać z masek, póz i emeryckich marzeń o świętym spokoju, wydobywając jej wewnętrzne komplikacje.

Weźmy choćby obsesję na punkcie zmarłego chłopaka – kiedy bohater prowadzi ukryte dochodzenie, kim był motocyklista, jak żył, a poniekąd kim mógłby się stać, gdyby nie zginął. Czyżby w nieżyjącym studencie medycyny były lekarz zobaczył własne, idealistyczne, uduchowione i młodsze o dwie generacje wcielenie? Albo próbował, w sposób dalece zastępczy, naprawić popsutą relację z własnym synem? Krzysztof Zanussi to lubi, jakkolwiek reżyserka nie dopowiada za dużo, bo wie, że twarz aktora i milczenie postaci mają w kinie zdecydowanie więcej do powiedzenia. Zwłaszcza gdy trzeba pokazać na ekranie dokonującą się niespiesznie przemianę Tadeusza, który wreszcie zaczyna dostrzegać, na jakich fundamentach opierał się przez całe dekady jego idealny dom.

Film Montean-Pańków wyprodukowało Studio Munka, specjalizujące się w ciekawych polskich debiutach, by wymienić „Cichą noc" (2017) Piotra Domalewskiego, „Supernovą" (2019) Bartosza Kruhlika, „Chleb i sól" (2022) Damiana Kocura czy „Tyle co nic" (2023) Grzegorza Dębowskiego. Mimo ograniczeń budżetowych czuje się w nich kreatywne wsparcie producenckie i zgraną pracę zespołową, choć czasem, prócz starannego rzemieślniczego wykończenia, chciałoby się bardziej zindywidualizowanego charakteru pisma i większej odwagi.

W „Skrzyżowaniu" z konieczności dominuje stylistyka telewizyjna (kameralność, psychologizm, klasyczna robota) i świadectwami indywidualizmu stają się ambitne nawiązania filmowe czy pozafilmowe. Już sam tytuł mieni się zamierzoną niejednoznacznością, odsyła-

MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT

SKRZYŻOWANIE
– reż. Dominika Montean-Pańków. Prod. Polska 2025. Dystryb. Kino Świat. W kinach.

Dominika Montean-Pańków jest reżyserką znaną głównie z filmów dokumentalnych, jak „Marsz samotnych kobiet" (2006), „Kazimierz otwarty" (2007) i „Za czapkę gruszek" (2010). Ma na koncie także spektakl teatru telewizji „O doglądaniu draceny" (2022). Za pełnometrażowy dokument „Głos" (2022) była nagradzana w Polsce i za granicą. „Skrzyżowanie" to jej debiut fabularny.

Na zdjęciu: Jan Englert w scenie z filmu „Skrzyżowanie"

jąc nie tylko do miejsca tragicznego wypadku czy do postawionego tam krzyża, ale i na życiowe rozdroże, gdzie główny bohater dopiero uczy się, jak nie wymuszać na innych moralnego pierwszeństwa.

Jeśli ma on obsesję na punkcie Wenus z obrazu Botticellego, to nie przypadkiem żona zmarłego (Maria Kowalska) będzie mieć urodę tamtej blondwłosej bogini (czy prześladuje go naprawdę, czy jest wyłącznie urojeniem?). A motyw złożenia w ofierze ukochanego domu jako ostoi życiowego bezpieczeństwa odsyła, na szczęście nie do końca, w rejony znane z kina Tarkowskiego. Fraza „odkupienie winy", choć zawiera w sobie element transakcyjny, oznacza przecież coś więcej niż szeroki gest.

Dlatego film Montean-Pańków chwilami przypomina rozciągnięty w czasie odcinek „Dekalogu". Ponad ćwierć wieku temu Kieślowski z Piesiewiczem pytali ówczesnych Polaków (i nie tylko), czym właściwie jest dla nich grzech albo po prostu elementarna uczciwość w obliczu postępującej laicyzacji, coraz większej niepewności i chaosu. Pokazywał też tamten serial, że w żywiole życia nie istnieją rozwiązania idealne i każdy wybór musi mieć swoją cenę.

W nowym polskim filmie moralne dylematy najlepiej sprawdzają się nie tyle w dialogach, chwilami bardzo dobrych, czasami jednak zbytnio zagadujących problem, co w aktorstwie i języku wizualnym. Kamera Bartosza Świniarskiego, często statyczna, ustawiona frontalnie, lubi akcentować symetrię i estetykę kadru, zwłaszcza w ciepłych wnętrzach domowych, by finalnie pokazać całą tego ulotność i ułudę. Główne miejsce akcji, jego wystrój i energia mówią o jego mieszkańcach, o ich aspiracjach, przyzwyczajeniach, wyobrażeniach, dużo więcej od nich samych.

I nawet gdy w „Skrzyżowaniu" średnie pokolenie rozlicza się z pokoleniem ojców – z ich hipokryzji, pychy, różnie rozumianego wygodnictwa – robi to bez osądzania. Przecież Marek zdążył już wiele przejąć z Tadeusza. Ciekawe, jaką lekcję wyciągnie z tego dla siebie najmłodsze pokolenie filmowej rodziny, dopiero wchodzące w dorosłość, dziwnie bierne w tym konflikcie o posiadanie i o pryncypia. I jakie filmy będzie kiedyś o tym kręcić. ©

Lektor:

Dlaczego mleko się nie kwasi

▪ *Sławomir Mrożek*
OPOWIADANIA ZEBRANE. TOM I
Noir sur Blanc, Warszawa 2025, ss. 760

Kolejny tom serii, w której oficyna Noir sur Blanc wznawia teraz dzieła Mrożka. Poręczny mały format, książka rozkosznie pękata. Zaczyna się od debiutanckich „Opowiadań z Trzmielowej Góry" (1953) i wydanych w tym samym roku „Półpancerzy praktycznych". Obie pozycje noszą na sobie piętno epoki, w której powstały, ale już następne, czyli „Słoń" (1957) i „Wesele w Atomicach" (1959) to najlepszy Mrożek, ten, którym do dziś mówimy i który może nadal stanowić klucz do polskich paradoksów i absurdów.

Joanna Olczak-Ronikier wspomina, jak „Słoń" posłużył jej do oswajania z surrealizmem polskiej rzeczywistości niemówiącego jeszcze po polsku męża, którym był niemiecki dziennikarz Ludwig Zimmerer. „Przy pomocy słowników przedzieraliśmy się przez utwór »Z ciemności«: »Bo trzeba wam wiedzieć, że u nas nocami coś tak wyje, tak wyje... że aż się serce kurczy. Jedni mówią, że to duch biedniaka Karasia tak zawodzi na kułaków, inni – że to bogacz Krzywdoń po śmierci tak się skarży na obowiązkowe dostawy. Ot, zwyczajna walka klasowa«. Ludwik patrzył na mnie osłupiały. Był naiwnym idealistą, który próbował połączyć katolicki światopogląd z marksizmem. (...) Chciał działać na rzecz polsko-niemieckiego pojednania. Teraz usiłował zrozumieć zdanie: »Wy nam mówicie: Europa. A tu, co postawimy mleko na kwaśne, to skądś wyłażą garbate karzełki i szczają nam do garnków«. Bałam się, że trzaśnie książką o ziemię. Ale uznał, że musi natychmiast przetłumaczyć te opowiadania na niemiecki". I tak stał się jednym z architektów międzynarodowej sławy przyszłego autora „Tanga"...

Pierwsze wydania „Słonia" i „Wesela..." to dzięki oprawie graficznej Daniela Mroza edytorskie arcydziełka i antykwaryczne rarytasy. W „Opowiadaniach zebranych" wykorzystano rysunki samego Mrożka, a na okładce – jego portret autorstwa Feliksa Topolskiego. No i nie wspomniałem jeszcze o ostatniej części książki, którą wypełniają teksty z „Podwieczorku przy mikrofonie". Młodzieży należy się wyjaśnienie, że w epoce raczkującej telewizji tej radiowej audycji słuchała cała Polska. Monologi Mrożka (których bohaterem jest pewien Prezes!) wykonywał Edward Dziewoński, poza tym w audycji występował kwiat polskiej estrady – Hanka Bielicka, Rena Rolska, Irena Santor, Barbara Rylska, Kazimierz Rudzki, Kazimierz Brusikiewicz, aż po sołtysa Kierdziołka, czyli Jerzego Ofierskiego. Było śmiesznie – choć nie zawsze. ©℗

PAWEŁ

Bravo

Słodka zemsta Malgaszy

ALEXANDER MOGILCO / SHUTTERSTOCK

Siedemset trzydzieści milionów dolarów to mało w skali handlu międzynarodowego. Tyle co nic, orzeszki. Czy raczej w tym wypadku strączki, bo królową naszego stołu będzie dziś wanilia. Ta niewielka suma – uzyskana głównie z jej wywozu – stanowi poważną pozycję w budżecie Madagaskaru. Wyspy tak biednej, że lokalny popyt na elektryczne samochody otwierane salutem prawego ramienia czy pozostałe zaawansowane cacka z Ameryki nie jest stanie zrównoważyć wartości przyprawy i paru innych eksportowych towarów.

Dlatego Madagaskar stał się winny skandalicznej krzywdy uczynionej niewinnej Ameryce, zmuszając ją podstępem do osiągnięcia wyjątkowo dużego – procentowo, przypominam, bo mówimy o małych kwotach – deficytu handlowego. Zdradliwi Malgasze wykorzystali bez skrupułów fakt, iż amerykańskie łasuszki są od wanilii uzależnione, co widać nawet w języku – wszak *vanilla* znaczy w ich wersji angielskiego: zwyczajne, proste, powszednie. I nie mają za bardzo wyboru, tylko sprowadzać ją z wielkiej wyspy u wybrzeży Afryki. Alternatywne źródła najcenniejszej odmiany tego osobliwego storczyka zwanej „bourbon" (nic wspólnego z ohydnym destylatem, dobrym co najwyżej do czyszczenia części rowerowych), czyli np. Uganda, dopiero powoli się pojawiają na rynku. Prezydent Trump przywalił tymczasem Madagaskarowi 47-procentowe cło. Jedno z najwyższych w ogóle na liście, przed którą w ostatnich dniach nie sposób było uciec.

GRAŻYNA MAKARA

Co za wielka radość, skądinąd, dla mnie, gastro-numeryka, maniaka liczb i wskaźników, traktującego kuchnię jako hipostazę rynku spożywczego. Wszyscy dookoła mówią procentami. Nie czuję się już jak odmieniec, kiedy się budzę i zanim sięgnę po kawę (wiecie, że dalej bardzo drożeje, podobnie jak kakao, i na razie końca trendu nie widać?), muszę coś posprawdzać. Np. jak wygląda dynamika spożycia buraków na głowę Polaka w rozbiciu na dawne zabory albo wzrost wartości sprzedaży burraty w stosunku do mozzarelli. Nie śmiejcie się, to ciekawe zjawisko, jeden z lepszych symptomów tego, jak się wzbogaciliśmy i zrobiliśmy wybredni: ćwierć wieku temu mało kto wiedział, co to w ogóle ta burrata, a dostępna powszechnie mozzarella była jak wybielony odpad z fabryki opon.

Przerażeni prawdziwym sensem tego spektaklu, którym niewątpliwie jest dominacja nagiej siły i wydobycie na wierzch temperowanej przez kulturę i religię fascynacji przemocą, uciekamy w pocieszycielskie eksponowanie absurdów. Takie jak ta biurokratyczna wtopa z ocleniem importu z wysepek zamieszkałych wyłącznie przez pingwiny. Zwierzęta skądinąd wykazujące w życiu par i zbiorowości wzorce zachowania sprzeczne z tym, jak ma wyglądać społeczny ustrój i postulowane cechy idealnego mieszkańca ponownie wielkiej Ameryki. Może to taki subtelny sygnał dla świata: nie bądźcie jak pingwiny, fraki zostają w szatni, Wersal się skończył. Wolę jednak się przyglądać takim właśnie mniej absurdalnym, a za to po prostu rozpaczliwym sytuacjom, jak ta z Madagaskarem.

Pośród narodów bogatszej części świata tylko Francuzi spożywają na głowę więcej wanilii niż Amerykanie (równowartość około dwóch lasek rocznie). Jedną z ważnych cech tej przyprawy jest to, że wzmacnia odczuwanie słodyczy, co pozwala zatem zastosować nieco mniej cukru w przepisach. Wziąwszy pod uwagę, że i tak amerykańskie przepisy są wedle naszego smaku po dwakroć przesłodzone, to skok cenowy wanilii, a zatem mniejsza jej ilość w kuchni, skończy się okrutnie dla ich wątrób i trzustek. Chyba że wróci do łask syntetyczna alternatywa – etylowanilina. Substancja będąca dla mojego pokolenia smakowym emblematem peerelowskiej szarej bidy, życia w krainie wielkiej namiastki.

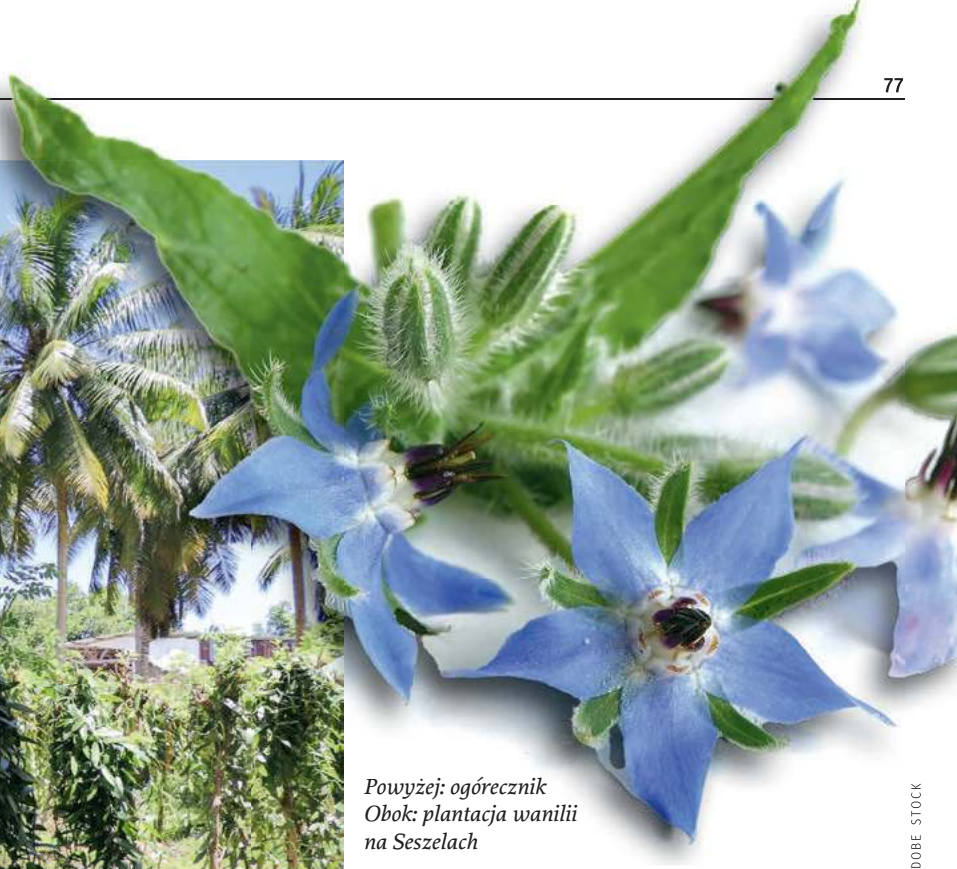

Powyżej: ogórecznik
Obok: plantacja wanilii na Seszelach

MBERIZA / ADOBE STOCK

Pierwsze prawdziwe laski, jakie stopniowo się pojawiały w moich dłoniach, nie były wcale wysokiej jakości, ale i tak czyniło to różnicę. Co to była za rozkosz, rozcinać je czubeczkiem noża, wydłubywać ze środka mokre mikroziarenka, moczyć potem strączek w mleku i czekać, aż się ogrzeje, wydzielając słodki, ale wcale nie mdlący zapach, który zostawał na palcach. Pachniało też cudownie w szafce, gdzie wyjęte z mleka i osuszone strączki oddawały swą duszę w słoju z cukrem pudrem. To był awans cywilizacyjny. Zetknięcie z potęgą rzeczy drobnych, z tym zadziwieniem, jak drobinki organicznej materii, zaschnięte owoce, kwiatki, pestki, potrafią nadać zwyczajnej potrawie czy ciastu niebywałą moc, inny wymiar – dla mnie do dziś egzotyczny, choć teraz używam ich regularnie i bez ograniczeń.

Tylko szafran traktuję z respektem, jego pręciki są tak potężne, że łatwo o przesadę. I o dziurę w budżecie. Prawdziwy, jedyny warty swej nazwy szafran z Iranu, odważany przez sprzedawcę wagą jubilerską (a może dilerską? każdemu jego skojarzenia), wciąż pozostaje wielką kosztownością. Akurat za tę przyjemność Amerykanie nie zapłacą wiele więcej (chyba że przechodzi przez europejskie firmy). Otóż Iran dostał tylko bazowe, 10-procentowe cło, sporo mniej niż Izrael (17 proc.). Jeśli dzięki temu na polskim rynku zrobi się nagle więcej dobrego za'ataru, to ja się nawet ucieszę i nie będę udawał, że coś z tego rozumiem.

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Risotto z ogórecznikiem

SKŁADNIKI: pęczek liści ogórecznika 320 g ryżu 100 ml białego wina litr bulionu warzywnego 3 łyżki koziego twarożku ▪ oliwa

Pomimo nagłego ochłodzenia, weszliśmy w sezon wczesnych jadalnych listków i kwiatów. Pochód otwierają czosnek niedźwiedzi i pokrzywa. Jedna z czytelniczek prosiła mnie o przepisy na pół-dziką zieleninę i przez kilka tygodni postaram się towarzyszyć jej i Wam wszystkim w spacerze po wiosennych zaroślach.
Dziś spróbujmy znaleźć liście ogórecznika – roślinę u nas szanowaną tylko z powodu pysznych kwiatków. We włoskiej kuchni jako borragine jest ceniona szczególnie w Ligurii. Należy brać do jedzenia młode, jeszcze nie bardzo owłosione listki. Blanszujemy je przez minutę w osolonym wrzątku, miksujemy na rzadką papkę, do której dodajemy trochę oliwy. Na suchej patelni prażymy na średnim ogniu ryż, delikatnie mieszając, kiedy zrobi się gorący, „gasimy" winem; gdy odparuje, podlewamy regularnie bulionem, w miarę jak będzie się wchłaniał. Pod ok. 14 minutach dodajemy papkę z liści, kończymy gotować do miękkości, wyłączamy ogień, dodajemy dwie łyżki oliwy, intensywnie mieszamy, dodajemy kozi twarożek i znów mieszamy, odstawiamy na minutę, żeby odpoczęło. Na wydaniu miło byłoby przybrać przepięknymi kwiatkami, ale te raczej pojawią się dopiero pod koniec wiosny.

Zamiast blanszować i miksować, liście można drobno posiekać i poddusić na patelni z oliwą i odrobiną cebuli, ale ja wolę tę wersję, lepiej czuć delikatny kwaskowy smak. ©℗

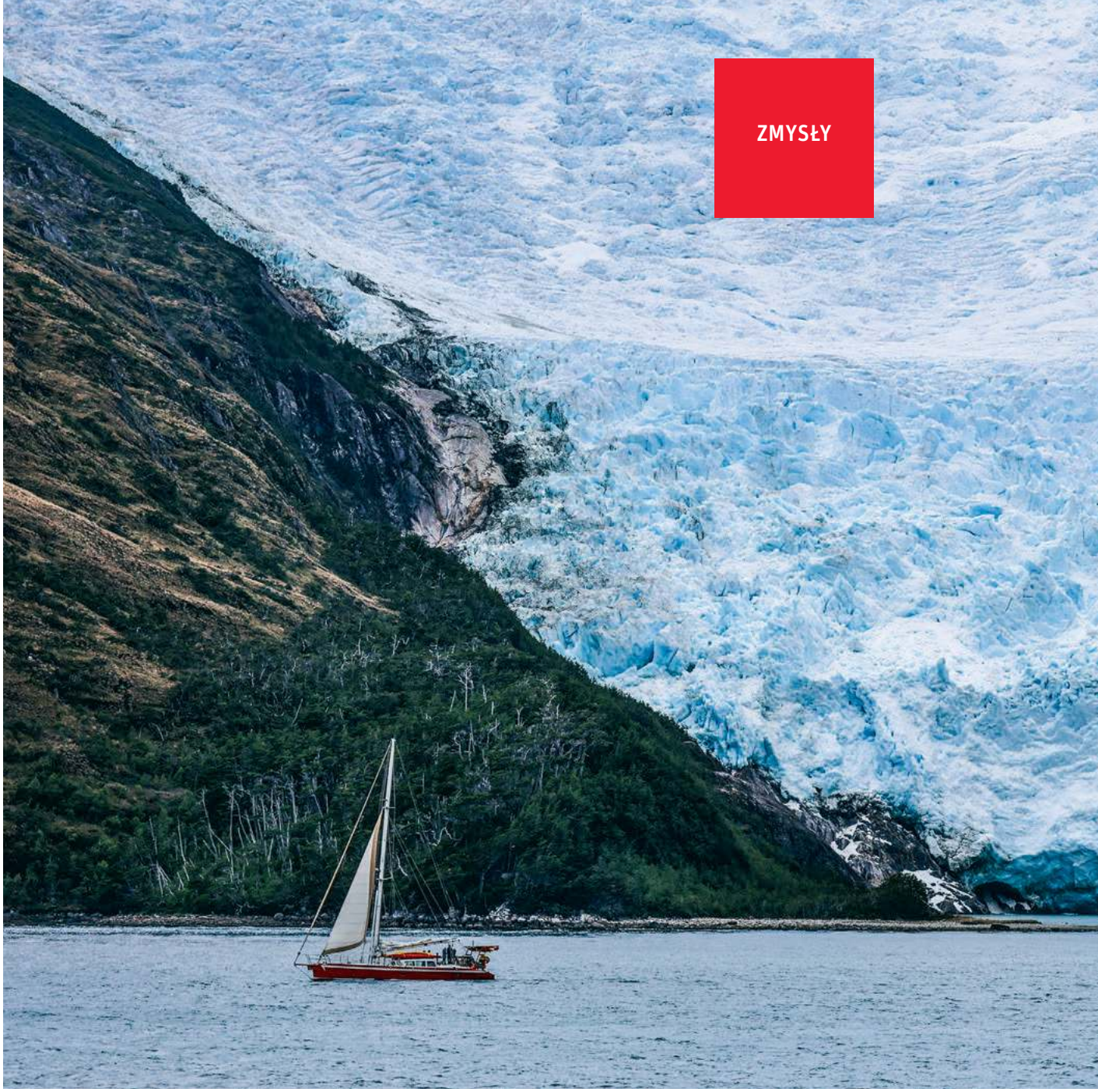

KRESY

W oddali zobaczyłem cień statku. Rozpoznałem go. Było to widmo karaweli Trinidad dowodzonej przez Magellana. Płynęła w tym samym kierunku co my. Trup kapitana jeszcze żył.

TEKST I ZDJĘCIA MICHAŁ MILCZAREK

Patagonię pokrywały białe plamy solnisk i błękitne jeziora biorące początek w lodowcach. Stalowe chmury płynęły nad niemym horyzontem. Świata było mało. Małe mieściny i *estancie* na pustkowiu. Ziemia się zwęziła. Od Atlantyku po Andy ciągnął się wypłowiały step. Wiało bez końca – zawsze z zachodu, od Pacyfiku. Wiatr nadawał chmurom owalne kształty. Przypominały soczewki lub migdały, dlatego można je było pomylić z UFO. Deszcz zostawał w Andach, dalej nie docierał. Był to świat sprzed człowieka. Bardziej Uran niż Ziemia.

W poczekalni dworca autobusowego w El Calafate spały bezdomne psy. Miasto leżało w dole. Ludzie posadzili topole, ale niewiele to zmieniało. Wiatr niósł pył. Ludzie nie przejmowali się za bardzo. Wykańczała ich inflacja, ale nie marudzili. Uśmiechali się dosyć często, jak na ten klimat. Był w nich pewien luz. Tylko z Malwinami nie umieli sobie poradzić. Wszędzie stały

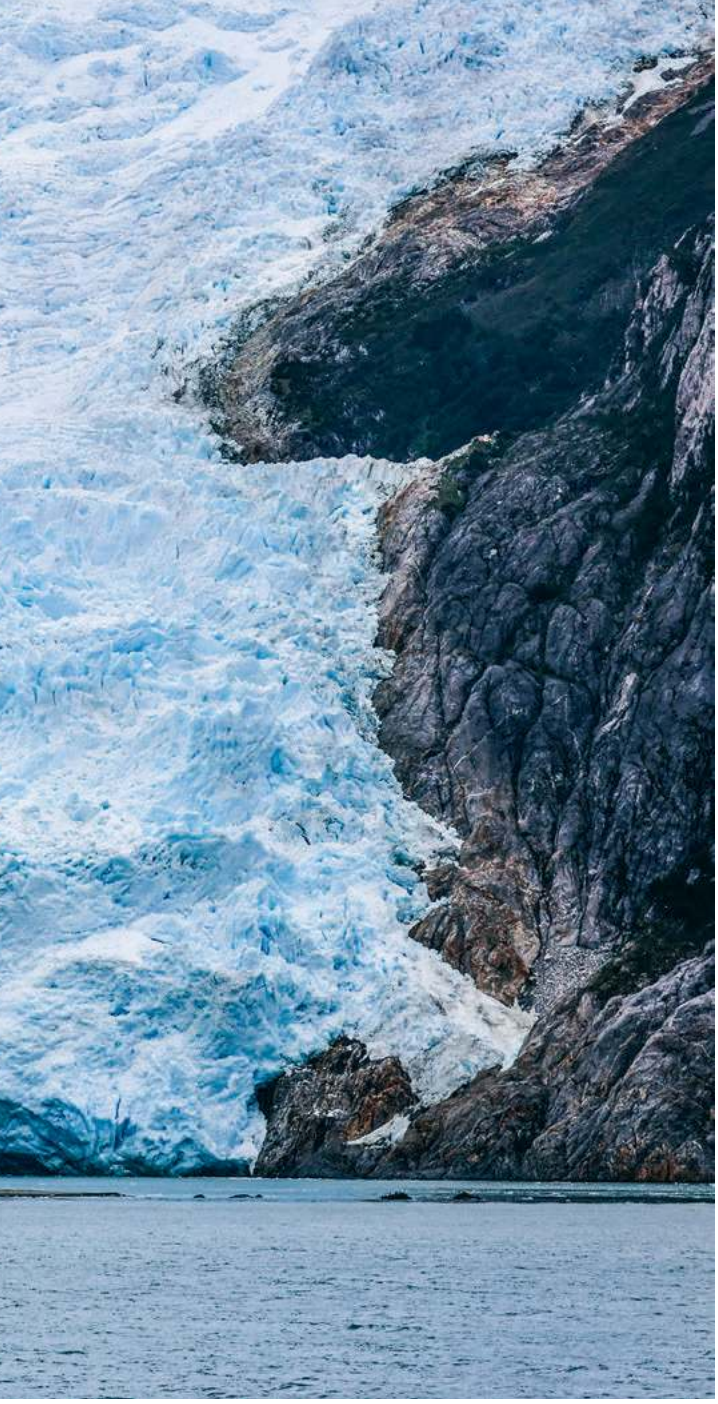

Kanał Beagle, Chile, marzec 2024 r.

pomniki, podkreślające ich oderwanie od macierzy, albo tablice informujące o odległości. Z El Calafate było 876 kilometrów. Jątrzyli tę ranę. Malwinynasze, Falklandyniewasze. Uzależnili się od bólu wyobrażonej utraty i wciąż chcieli go czuć.

W osłoniętych andyjskich dolinach pojawiały się pierwsze drzewa – bukany chilijskie o małych, delikatnych liściach. Słońce było ostre, jakby cała atmosfera wyparowała, a zieleń iskrzyła się jak na sterydach. Z przełęczy spełzały błękitno-białe lodowce. W głębi leżał Lądolód Patagoński – trzecia największa na świecie masa lodu. Biły stamtąd mrok i chłód. Chmury dotykały lodu.

To dziwne, ale patrząc na ów lód, czułem ciepło. Chciałem iść w głąb, choć był to kierunek przeciwny życiu. Od pociętego przez szczeliny lodowca dzieliła mnie błękitna zatoka, do której co jakiś czas wpadały z hukiem wielkie odłamki, ale i tak chciałem. Lodowiec tchnął chłodem, który mnie ogrzewał. Tak jakby to ciepło było większe i głębsze niż ja. Pomyślałem, że jest produkowane przez śmierć – wytwarzają je zmarli. Czułem, że muszą być właśnie tam.

To do nich podróżuję. Szukam na mapie krain umarłych, bo umarłych jest przecież coraz więcej. Odumierają nas. Dlatego zmierzałem na południe, poszukiwałem miejsc, w których świat i życie wyczerpują się, znikają. Chciałem ich odnaleźć. Myślałem, że ich widma zamieszkują lodowce, bo lodowce są przeciwieństwem życia. Dlatego było mi ciepło. Wyczuwałem ciepło promieniujące z głębi lodu i głębi czasu, aż po plejstocen. Wydawało mi się, że byli tam, gdzie światło mieszało się z cieniem. Szli, ciągnąc sanie. W śmierci prowadzili życie z epoki lodowcowej. Zwłaszcza wtedy, gdy robiło się mrocznie. Gdy zjawiało się słońce, chowali się. Musieli przeczekać życie. Byli widmami, dlatego mogli żyć w lodowatej utopii. W nicości, której nie ma.

Zmarli kryją się w szczelinach mapy, na terytoriach niezamieszkanych, na końcach dróg, na przylądkach, w lodzie. W mroku, który zaczyna się na krawędzi geografii. Dlatego ciągle tam jeżdżę. Szukam swoich zmarłych. I przez mgnienie czuję ich obecność. Na Grenlandii albo na Lądolodzie Patagońskim. Geografia to nekropolia.

W przyszłości

Potem pojechałem dalej na południe – do Chile. Był wieczór. Na głównym placu stały niewielki kościół, betonowy budynek poczty i kilka parterowych domów z drewna. Na środku przycięte drzewa, popiersie i powiatowa fontanna. Umieszczoną za szybą figurę Najświętszej Panienki zdobiły sztuczne kwiaty. Było po deszczu. Krawężniki pomalowano na żółto, asfalt błyszczał. Słońce wysunęło się spod dżdżystych chmur i wylało na miasto zimne światło. Myślałem, że jestem na północno-wschodnim skraju dawnej Rzeczypospolitej. Puerto Natales było jak zdrowie.

Wystarczyło jednak zejść nad Seno Última Esperanza – Zatokę Ostatniej Nadziei, żeby mózg się zresetował. Przestrzeń eksplodowała i opustoszała. Powidok łąk zielonych i pagórków leśnych wyparował. Ślepy fiord kończył się ośnieżoną górą Balmaceda, z której spływał biały jak śmierć lodowiec. Za nią szczerzyły się szczyty Torres del Paine, wyglądające jak żuchwa dinozaura.

250 kilometrów dalej znajdowało się Punta Arenas. Wiał zimny wiatr od Antarktydy, a ziemia wyczerpywała się. Miasto było dziwne, trochę jak tani kalejdoskop. Ludzie migrowali tu zewsząd i budowali je tak, jak umieli – z pamięci. Wszystko się pomieszało. Trochę niskich kamieniczek, trochę chilijskiego modernizmu. Pałacyk owczych magnatów sprzed 120 lat – czasów *prosperity*. Tu spał Amundsen, a tam plastikowy pingwin zapraszał na piwo. Nad ulicami plątanina kabli. Ogromne anteny skierowane na północ sąsiadowały z pomnikiem Shackeltona wskazującego ręką biegun południowy. Miszmasz. Wreszcie wielki napis farbą na ceglanym murze: „Nordrhein-Westfalen 1972–1986". Gapiłem się jak na poniemieckie prześwity w Szczecinie. Pięćdziesiąty trzeci równoleżnik, na nabrzeżu szosa, pył i pustki jak po bombardowaniu – wszystko pasowało. Rozwłóczenie, mozaikowość i poczucie, że najlepsze czasy przeminęły. ↦

↦ Po drugiej stronie Cieśniny Magellana leżał Porvenir – „przyszłość" po hiszpańsku. Chodziłem po szachownicy pustych ulic i patrzałem na przyszłość. Nic nie zasłaniało widoku. Każda ulica prowadziła na koniec miasta. Dalej ciągnęły się stepy Ziemi Ognistej. Wiało. Drzewa kapitulowały. Połowa sklepów była zamknięta. Na głównym placu stał pomnik przedstawiający pasterzy i ich owce. Świat był odwrócony do góry nogami. Było południe, a miasto spało. Życie toczyło się gdzieś indziej. Przyszłość nie przyszła. Porvenir był za daleko.

Na przełomie XIX i XX w. migrowało tam sporo Chorwatów. Poszła fama, że na południu Chile czeka na nich przyszłość. Zamienili ciepło na zimno, słońce na wiatr, Adriatyk na Cieśninę Magellana. Chorwacja na Ziemi Ognistej. Croacia del Fuego. Chorwacja, w której zawsze jest zimno. Z wielorybami i pingwinami. Ślady były nadal widoczne. Naklejki na samochodach, flagi albo kluby Croatia. Najbardziej na cmentarzu, gdzie ciała i kości się przemieszały, tworząc Chilorwację.

Obiekty łowów

Potem popłynąłem na chilijski i południowoamerykański koniec świata – do Puerto Williams. Odbiliśmy z przystani na przedmieściach Punta Arenas, kierując się na południe, gdzie nie było już prawie nic. Prom był mały, na otwartym pokładzie stało kilka ciężarówek, trochę kontenerów i garstka osobówek. Nie było kajut, spało się na krzesłach. W mesie wisiał portret Darwina.

Prom rozcinał szarą wodę Cieśniny Magellana. Słońce już zaszło. Stałem na dziobie opatulony we wszystko, co miałem. Niebo było potężne i dzikie. Wiatr szalał. Patrzałem, jak kończy się świat. Do wnętrza ciała wpełzał mrok. Coraz mniej światła, coraz mniej świata. Wielorybie oddechy wystrzeliwały gdzieś w oddali.

Na horyzoncie rosły czarne brzegi Wyspy Dawson, gdzie niegdyś istniały obozy koncentracyjne. Pierwszy założyli pod koniec XIX w. salezjanie – był przeznaczony dla Indian Selk'nam. Na Ziemi Ognistej, gdzie mieszkali od tysiącleci, groziło im ostateczne rozwiązanie. Traktowali owce podobnie jak guanako – jako własność wspólną, obiekt łowów. Hodowcy wypowiedzieli im wojnę. Skoro oni zabijają nasze zwierzęta, my zabijemy ich. Zaczęło się polowanie na ludzi. Za zabójstwo płacono funta, a jako dowód służyły odcięte uszy albo dłonie. Wystrzelano niemal wszystkich.

Salezjanie próbowali ocalić niedobitków. Przesiedlili ich na Wyspę Dawson, zbudowali baraki, przywieźli ubrania i głosili słowo Boże. Uczyli ich prostych rzemiosł i próbowali uczynić ludźmi, bo nie dowierzali, że już nimi są. Ale Selk'namowie umierali. Marnieli w barakach, kurczyli się w kapeluszach i sukniach z falbanami. Zarażali się nieznanymi dotąd chorobami i umierali. Salezjanie nic z tego nie rozumieli. Nie pojmowali, że słowo Boże może być trucizną, a cywilizacja więzieniem. Po dwudziestu latach obóz zamknięto. Z blisko 900 dusz przetrwało 25.

Później utworzono tu obóz dla wrogów dyktatury Pinocheta. Przetrzymywano bliskich współpracowników Salvadora Allende. Na wyspie znaleźli się ministrowie, senatorowie, prezydenci miast, rektor uniwersytetu i prezes banku narodowego. Były baraki, nary, wieże wartownicze, drut kolczasty, śnieg, praca przymusowa przy wyrębie lasów magellańskich i niewystarczające racje żywnościowe – wszystko jak należy. Chilijska Kołyma.

Po drugiej stronie Cieśniny znajdowały się miejsca nie mniej mroczne. Leżało tam Puerto del Hambre, Port Głodu – pierwsza osada na tych ziemiach, założona przez Hiszpanów w 1584 r. Wylądowało tam ok. 300 ludzi, aby wkrótce wymrzeć z głodu, zimna i bezsilności. Trzy lata później dotarł do nich angielski żeglarz Thomas Cavendish – na miejscu zastał garstkę snujących się w poszukiwaniu jedzenia dochodiagów.

Kawałek dalej kontynent rozpadał się na labirynt wysp. Ameryka znikała. Ląd urywał się na Przylądku Froward. Krajobraz kostniał. Przestrzeń była rozdarta. Coś w niej krzyczało, szarpało się, rwało, na przemian wynurzało z wody i tonęło. W ciemności majaczyli utopieni marynarze, samobójcy o przerażonych twarzach, szkielety zagłodzonych, pozbawione uszu głowy ludu Selk'nam oraz oprawcy reżimu i ich ofiary poddawane wymyślnym torturom.

W oddali zobaczyłem płynący cień statku. Rozpoznałem go. Było to widmo karaweli Trinidad dowodzonej przez Magellana. Przegniły drewniany kadłub był pełen dziur, a postrzępione żagle łopotały na wietrze. Spowita mrokiem jednostka płynęła w tym samym kierunku co my. Trup kapitana jeszcze żył.

Zdrętwiały Portugalczyk szukał drogi na Pacyfik, krążył w ciemności, zaglądał do ślepych zatok, patrzył w nieznane gwiazdy i naciągał na zżółkłe i wychudzone przez wieki ciało wciąż spadające spodnie. Widział na niebie Wielki Obłok Magellana, ale nie mógł sobie przypomnieć jego nazwy. Gapił się na mdłą galaktyczną mgłę i śnił o słońcu, lecz słońce zamarzło. Na krańcach ziemi dostrzegał tylko pojedyncze płomyki. To Jaganie palili ogniska w swoich łódkach. Byli nadzy, chronili się przed zimnem smarując ciała tłuszczem fok. Nikt nie dotarł dalej na południe niż oni.

Mapa rozczarowań

Rano na świat opadł cień. Opuchnięte chmury wisiały nad szarą wodą. Z morza wyrastały gołe góry. Na szczytach leżał

Puerto Williams, Chile, marzec 2024 r.

śnieg – lato było zbyt krótkie i zimne, żeby stopniał. Wszystko zostało z tyłu. Jedynym śladem ludzkiej obecności były małe latarnie morskie i znaki nawigacyjne. Na horyzoncie widać było Cieśninę Drake'a. Wiatr hulał. Od czasu do czasu powietrze przecinał deszcz.

Kres Ameryki Południowej był postrzępiony, pocięty przez fiordy, zatoki, kanały. Wyglądało na to, że ziemia nie wytrzymuje naporu wody i wiatru, jest za słaba, rwie się na kawałki, znika, jest jej coraz mniej. Świat się wyczerpywał, a krajobraz zakleszczał. Tkwiły w nim chłód i opuszczenie. Życie stygło. Prom rozpruwał ciemne wody Bahía Desolada – Zatoki Spustoszenia. Potem wpłynęliśmy do Kanału Ballenero – Wielorybników. Topografia tworzyła mapę rozczarowań, zbłądzeń i walki o przetrwanie. Seno Última Esperanza – Zatoka Ostatniej Nadziei. Isla Desolación – Wyspa Zgryzoty. Bahía Desengaño – Zatoka Rozczarowania. Bahía Inútil – Zatoka Bezużyteczna. Seno Obstrucción – Zatoka Obstrukcji. Isla Furia – Wyspa Furii. Isla Deceit – Wyspa Podstępu. Bahía Escape – Zatoka Ucieczki. Żeglarze, którzy nadali te nazwy, słusznie przeczuwali, że zbliżają się do kresu.

Do Kanału Beagle'a spływały lodowce. Tkwił w nich bezbrzeżny smutek i trupi chłód. Antarktyda była blisko. Za blisko. Nie dało się uniknąć jej przemożnej obecności, lodowatego ogromu. Świat kurczył się, kulił z zimna, zamierał w oczekiwaniu na cios.

Na końcu drogi leżało Puerto Williams. Minęło 31 godzin rejsu, była pierwsza w nocy. Ulice stolicy Antarktyki Chilijskiej były puste. W kawiarni grał melancholijny koncert fortepianowy. „Cześć" mówili tu wszyscy do wszystkich. Ale ludzi nie było widać. Samochody często stały na flaku. Asfalt kończył się zaraz za rogatkami. Wyspa. Konie chodziły luzem. Wszędzie wisiały flagi. Rzędy identycznych domów pokrytych białym sajdingiem. Rzędy flag. Rzędy skrzynek na śmieci. Rzędy samochodów. Trochę jak koszary.

Czasami ktoś rąbał siekierą drewno na opał, bo tam pali się w piecu nawet latem. Prąd od czasu do czasu wysiadał. Białe chmury spełzały z gór i wisiały nad miastem jak wata. Kierowcy zatrzymywali się przed znakiem stop, nawet jeśli nic nie jechało. Stali i patrzyli krowim wzrokiem na puste ulice. Pieszych przepuszczali najgrzeczniej na świecie i czasami pozdrawiali zza szyby. Tylko bezpańskie psy i konie chodziły jak chciały.

Psy gromadziły się pod dwoma spożywczymi. Kasjer miał zakręcony do góry wąsik, jak Salvador Dalí. Papryka się zepsuła, banany nie dotarły. Po ósmej na ulicach nie było już absolutnie nikogo, chociaż wciąż było widno. Wiało. Ręce kostniały z zimna. Czułem się bezradny, bo nie umiałem ułożyć sobie tego w głowie.

Jaganie żyli tam od dziesięciu tysięcy lat. Mieszkali w osadzie za miastem – zepchnięci na margines. Prowadziła tam droga Fin del Mundo. Z kominów unosił się dym. Na podwórkach widać było sieci, zużyty sprzęt, wraki samochodów. Wokół kałuże. Z kurnika dobiegał głos piskląt. Na placu zabaw leżały kości wieloryba.

Ostatnia kobieta znająca język już umarła. Nie przeżyli spotkania z cywilizacją z północy. Oduczyli się żyć.

Dno planety

Za miastem rosły lasy magellańskie. Zajmowały dolinę osłoniętą od wiatru. Bukany *nothofagus pumilio* były wytrzymałe na mrozy, zaskakująco wysokie i gęste. Liście jarzyły się w słońcu, a szarą korę pokrywały porosty. Umarłe gałęzie przypominały kości rąk. Szedłem do góry błotnistą ścieżką. Zza drzew prześwitywała leżąca naprzeciwko Ziemia Ognista. Nad Kanałem Beagle'a od czasu do czasu pojawiały się srebrne smugi deszczu. Był to ostatni las na świecie. Po deszczu wyglądał jak dżungla, jego bujność była niepokojąca. Nie pasował do położenia na mapie. Ostatni wykwit witalnych mocy przed wielkim lodem. Jednak 500 metrów wyżej drzewa skarlały, a następnie zniknęły. Rozciągała się tam wietrzna tundra. Pod nogami były tylko mchy i rzadkie kępki anemicznych traw. Zimny wiatr znowu się rozpędził, a niskie chmury ocierały o pustą ziemię.

Na końcu było urwisko. Poniżej otwierała się dolina z płytkimi, polodowcowymi stawami. Resztki śniegu zalegały na kamienistych osypiskach – udało im się przetrwać lato. Horyzont zamykały szczyty szczerzące się jak psie kły. Za nimi Wyspa Navarino urywała się. 110 kilometrów dalej, na Archipelagu Wollaston, znajdował się Przylądek Horn. Wszystko się skończyło. Cały świat został na północy. *Fin del mundo.*

Dalej leżała Antarktyda. Zaświaty. Antypoda. Białe dno planety. Prosta rzeczywistość, składająca się z kilku podstawowych elementów. Powietrze, woda i lód. Fizyka i przestrzeń – kierunki geograficzne, odległości i współrzędne. Światło i ciemność. Byt, bycie, nicość – pojęcia graniczne. Biały kontynent filozofii. 14 milionów kilometrów kwadratowych, prawie jak Rosja. Oślepiająca biel, w której wszystko znika. Niebo i piekło jednocześnie. Kosmos na ziemi. W samym sercu biegun, który jest jak śmierć. Punkt bez żadnych wymiarów, czysta abstrakcja we wnętrzu lodu. Miejsce, w którym ty i nic to jedno.

To koniec, pomyślałem, dalej nie pójdę. 54 stopnie, 58 minut. Czułem, jakbym opadał. Spojrzałem w przepaść, przed oczami przelecieli mi umarli. Zobaczyłem ojca. Rysiek pokiwał głową. Babcia jak zawsze siedziała w okularach do czytania na swoim fotelu pod kominem, żeby grzać plecy. Obrała jabłko i pokroiła je na kawałki, bo nie lubiła jeść ze skórką. Wiedziałem, że jestem blisko. Bliżej niż kiedykolwiek. Na chwilę przestało wiać. Wyszło słońce. Babcia wyciągnęła dłoń z kawałkiem jabłka. Poczęstuj się. Musnąłem ręką powietrze i schowałem ją do kieszeni. Powiedziałem, że jeszcze nie. Przyjdę później.

Odwróciłem się i poszedłem z powrotem na północ.

© MICHAŁ MILCZAREK

TOMASZ

Stawiszyński: *Test na demokrację*

W NIESZCZEGÓLNIE UDANYM ARTYSTYCZNIE, ale ciekawym diagnostycznie serialu „Dzień zero" – w reżyserii Erica Newmana, z Robertem De Niro w roli głównej – od samego początku wodzeni jesteśmy za nos. I bardzo dobrze, to wszak fundamentalny mechanizm każdego porządnego thrillera czy kryminału: mylić tropy, podsuwać błędne hipotezy i dopiero na końcu odsłonić prawdę. Rozbiwszy uprzednio, ma się rozumieć, wszelkie piętrowe teorie na temat autentycznej tożsamości złoczyńcy, jakie widzowie bądź czytelnicy zdążyli sobie po drodze spreparować. Jednak przy całej typowości tego serialu, zakończenie czyni różnicę. Z góry ostrzegam tych, którzy jeszcze „Dnia zero" nie oglądali, a chcieliby – za chwilę będzie spoiler. Decyduję się nań z wyżej wskazanego względu – rzecz jest znacznie ciekawsza jako prowokacyjna diagnoza dzisiejszego stanu rzeczy, aniżeli filmowa rozrywka.

Oto Ameryka staje się ofiarą gigantycznego cyberataku. Na chwilę – krótką, ale wystarczającą do wywołania powszechnej paniki – znika prąd, przestają działać internet i GPS. Najważniejsze instytucje państwowe są bezradne. Na czele zespołu mającego odnaleźć sprawców, ale i uspokoić rozchwiane społeczne nastroje, staje George Mullen, były prezydent cieszący się dużym zaufaniem, a przy tym człowiek ze skomplikowaną przeszłością (w tej roli De Niro). Zagadkę rychło i pomyślnie rozwiązuje, choć finał okazuje się niemałym zaskoczeniem.

Owszem, jeden z głównych złoczyńców to wprawdzie biały heteroseksualny mężczyzna w późnośrednim wieku (jak wiadomo – źródło wszelkiego zła), niemniej – a tak to zwykle ostatnimi czasy bywa, zwłaszcza w brytyjskich serialach – ani z niego prawicowo-populistyczny radykał, ani nawet chrześcijański fundamentalista. Wręcz przeciwnie: to raczej przedstawiciel politycznego centrum (choć partyjnej przynależności bohaterów twórcy zasadniczo nie ujawniają). Podobnie – część jego wspólników, którzy, jak córka Mullena, mają wyjściowo całkiem dobre intencje. A zatem, reasumując, największy w historii USA cyberatak – tak to prezentują twórcy „Dnia zero" – przeprowadzają elity, które chcą w ten sposób przypomnieć społeczeństwu, jak bardzo jest bezbronne, podzielone, a przez to podatne na rozmaite uwiedzenia. A przy okazji – jakżeby inaczej – planują zyskać dla siebie jeszcze więcej władzy.

Jak się od samego początku domyślamy, Mullen nie tylko to wszystko odkryje, ale jeszcze – pomimo rozmaitych nacisków, zastraszeń, szantaży moralnych i emocjonalnych – ujawni. I w ten właśnie sposób, paradoksalnie, ale w zgodzie z optymistyczną logiką filmową, przywróci obywatelom wiarę w porządek demokratyczny i odporność instytucji. Zwłaszcza że jedną z osób uwikłanych w tajną zmowę elit będzie także jego własna córka. Mullen odrzuci więc lojalność rodzinną na rzecz państwowej. Zobaczcie, są jeszcze na tym świecie – pocieszają nas twórcy „Dnia zero" – prawdziwi mężowie stanu.

Serial ten – powtórzę: artystycznie nieudany, nietrzymający napięcia, momentami utykający fabularnie, ewidentnie za długi – wydał mi się niezwykle prowokacyjną i nieoczywistą politycznie diagnozą stanu znacznej części amerykańskich i europejskich elit. Wciąż przywiązanych do pewnego typu opowieści o świecie, głęboko zakorzenionych w charakterystycznym dla lat 90. przekonaniu o nieuchronnym końcu historii, zwieńczonym liberalną demokracją i globalizacją.

Otóż twórcy „Dnia zero" zadają przedstawicielom tych elit, beneficjentom *status quo* – do których sami się przecież zaliczają – jedno fundamentalne pytanie: jak się zachowacie (jak się zachowamy), kiedy wasza (nasza) pozycja ulegnie zachwianiu? I jeszcze: jak daleko jesteście (jak daleko jesteśmy) w stanie się posunąć, żeby – w imię, owszem, ważnych dla was (nas) wartości, w imię sprawy waszym (naszym) zdaniem słusznej i szlachetnej, ale także, nie oszukujmy się, w imię zajmowanych pozycji, prestiżu i potęgi – utrzymać system, który rozpada się nie za sprawą jakiegoś zamachu stanu czy wrogiego przejęcia, lecz wyborców wycofujących wam (nam) mandat i przyznających go waszym (naszym) oponentom? A do tego – *last but not least* – jaki to będzie miało dalekosiężny wpływ na stan demokracji? Na przyszłość polityki? Wreszcie – na samych wyborców, którzy przyglądają się tym starciom, a następnie przy urnach decydują, kto wypada z gry, a kto do niej triumfalnie wkracza? W kontekście niebywale intensywnej atmosfery politycznej dookoła, dyskusji, sporów, konfliktów, wojen podjazdowych, rozliczania przeciwników przed sądem i wytaczania przeciwko nim najwyższych możliwych dział – oskarżeń o agenturalność tę czy inną, zarzutów o wywrotową antysystemowość itp. – pytania stawiane przez „Dzień zero" brzmią zaskakująco aktualnie. Owszem, to filmowa fantazja, owszem, pokazuje sytuację ekstremalną – kiedy politycy w sposób najbardziej dosłowny z możliwych interpretują zasadę „cel uświęca środki" – ale niekiedy właśnie przez pryzmat fikcyjnego ekstremum da się wyraźnie dostrzec jakieś rzeczywiste procesy. W tym przypadku ilustrujące prostą regułę: istotnie, sprawowanie władzy jest testem dla demokracji, ale jest nim również utrata władzy albo widmo takiej utraty.

I dotyczy to w tym samym stopniu wszystkich bez wyjątku aktorów politycznego spektrum: prawicy, lewicy i środka. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

TYGODNIK POWSZECHNY

InPost

Twój Tygodnik bliżej, niż myślisz.
Dostawa za darmo przez InPost Paczkomat®

„Tygodnik Powszechny" – czytasz, kiedy chcesz, jak lubisz.
Bez algorytmów, bez ekranów, bez pośpiechu.

Papierowe wydanie dostarczane co tydzień przez InPost Paczkomat®
– płacisz tylko za tygodnik, przesyłka jest całkowicie **ZA DARMO!**
To rewolucja na rynku prasy – nasza odpowiedź na znikające punkty sprzedaży.

Przy zakupie na **6 miesięcy**:
366 zł zamiast ~~390 zł~~
(z blik rabat **6%**)

Przy zakupie na **12 miesięcy**:
686 zł zamiast ~~780 zł~~
(z blik rabat **12%**)

OFERTA SPECJALNA

Zamawiając TP z odbiorem w InPost Paczkomat® otrzymasz także:

- całoroczny dostęp do wydania internetowego „Tygodnika Powszechnego" za 1 zł – **oszczędzasz 357 zł**
- dostęp do **odcinków specjalnych podkastu „Szkoła uczuć" z profesorem Bogdanem de Barbaro, do kursu medytacji chrześcijańskiej** oraz do innych **podkastów i newsletterów** od autorów i autorek Tygodnika

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Dodatkowo, jeśli skorzystasz z oferty **DO KOŃCA KWIETNIA**, otrzymasz wyjątkową książkę **ks. Adama Bonieckiego „Vademecum" z autografem autora.**

dowiedz się więcej!

www.TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

REKLAMA

PORYWAJĄCA OPOWIEŚĆ O POLITYCE, WOJNIE I EROTYCZNEJ OBSESJI.

„SUNDAY TIMES"

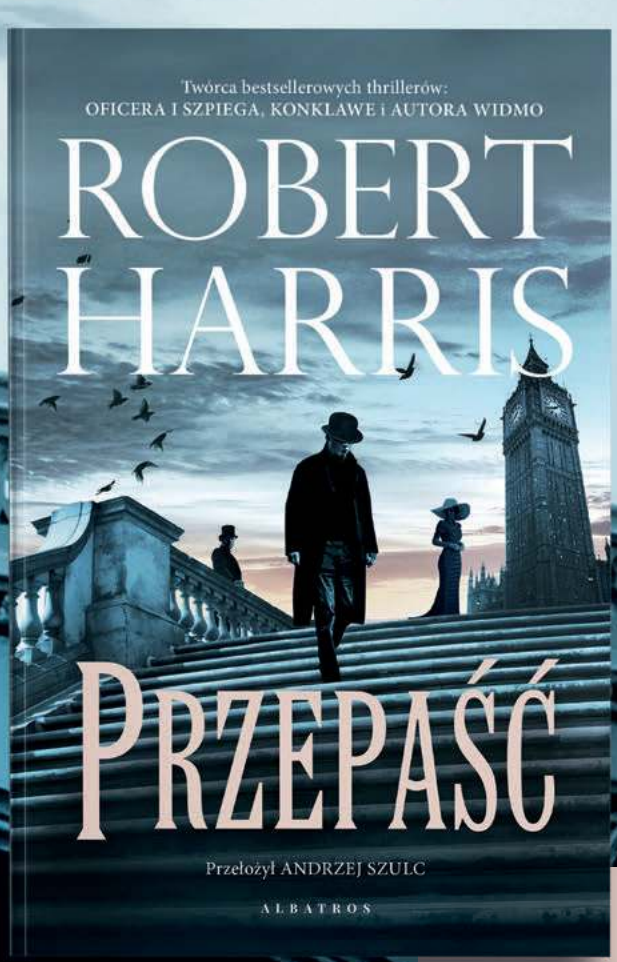

WYDAWNICTWO ALBATROS

ROBERT HARRIS jak zwykle po mistrzowsku łączy fakty historyczne z fikcją literacką, tworząc pełną napięcia i rozgrywek politycznych, ekscytującą fabułę.

Lato 1914 roku.

Świat zmierza ku katastrofie. Venetia Stanley, młoda arystokratka, nawiązuje romans z premierem H.H. Asquithem, mężczyzną ponad dwukrotnie od niej starszym. Kochanek koresponduje z nią namiętnie, dzieląc się przy tym najbardziej delikatnymi – i ściśle tajnymi – sprawami państwowymi…

Romans, który połączył Herberta Asquitha z Venetią Stanley, był faktem.

W latach 1914 i 1915 Asquith stał się od niej całkowicie zależny. Kochanka zachowała 560 listów od zauroczonego premiera, do wielu z nich załączono tajne rządowe telegramy i raporty. Robert Harris czerpie z nich obficie, pogłębiając naszą wiedzę o historii i bezlitośnie ujawniając słabości człowieka, który przewodził Wielkiej Brytanii 110 lat temu, na początku I wojny światowej. A także ukazując Venetię Stanley jako jedną z najbardziej wpływowych kobiet w dziejach Wysp.